

kwiecień – wrzesień 2017

42
43

ISSN 2449-5328

częstochowski magazyn literacki Towarzystwa Galeria Literacka



poezja ■ proza ■ szkice ■ recenzje ■ eseje ■ felietony ■ humoreski ■ fraszki ■ satyra



**GAUDE
MATER**
ošrodek
promocji
kultury

kwiecień – wrzesień 2017

SŁOWO OD REDAKCJI

- Bogdan Knop, *Ośrodkowi Promocji Kultury „Gaude Mater”
stuknęło dwadzieścia pięć lat!* 3

POŻEGNANIA

- Andrzej Kalinin, *Wspomnienie o Julii Hartwig (1921–2017)
– wielkiej Poetce* 5
- Janusz Mielczarek, *Paweł Pierściński (1938–2017).
Wybitny artysta i przyjaciel* 8

WYDARZENIA

- Kalendarium: styczeń – kwiecień – sierpień 2017* 10

GOŚCINNIE W GALERII

- Zbysław Janikowski, *Lipcowe leniwe rozmyślania* 12

LAURÓW WIENIEC

- Srebrny jubileusz Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”* 13
- Tadeusz Piersiak 14
- Małgorzata Zuzanna Nowak 15
- Mariola Florek 16
- Elżbieta Hurnik 18
- Marian Panek 18
- Janusz Jadczyk 19
- Małgorzata Sętowska 21
- Irena Biełuńska 22
- Zbysław Janikowski 23

POEZJA – DEBIUT W GALERII

- Janusz Mielczarek, *Ból podzielony* 24
- Małgorzata Grajewska, *Bezprzestrzeń poetycka* 25

POEZJA

- Bożena Gorska, *Ostatni błysk* 27
- Mira Kieniewicz-Kopcińska, *Z tomu Przemyślenia rozsiane* 27
- Małgorzata Franc, *Inspiracje poetyckie* 32
- Grzegorz Słobodnik, *Zapalanie świateł* 34

PROZA

- Zbysław Janikowski, *Kminek* 37
- Rafał Socha, *Obywatel Fake, cz. 3. Krowa1* 47
- Konrad Ludwicki, *Miniatury (wybór)* 51



Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2017 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

DRAMAT

- Wiesław Wyszyński, *W białym oknie snu. Pop-opera eklektyczna.*
Dzień pierwszy 57
- Jan Ciesielski, *Puder szoł – na wszystkie tematy* 68

CONVERSATIO

- Muzyka sakralna jako owoc wiary.*
 Z O. Nikodemem Kilnarem OSPPE rozmawia Barbara Strzelbicka 74
- Pisanie jest dążeniem do nieśmiertelności.*
 Z Konradem Ludwickim rozmawia Marian Panek 81

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

- Bożena Gorska, *Et in Arcadia ego albo Leszka Długosza kronika liryczna* ... 86
- Janusz Mielczarek, *Kto chce, niech wierzy. Jazkowa trzynastka* 91
- Tomasz „Aztzenty” Barański, *Mikołaj Kopernik – miejsce dziewiętnaste* ... 94
- Barbara Strzelbicka, *Festiwalowe jubileusze* 97

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

- Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Czas* 104

HISTORIA W GALERII

- Magdalena Syguda, *Kalendarium historyczne* 112
- Jarosław Kapsa, *Kobieta wśród skorpionów* 114
- Kacper Korbela, *Nie samymi pątnikami żyła Częstochowa* 122

WIDZIANE Z GALERII

- Subiektywna kronika wypadków kulturalnych* 127

NOTY O KSIĄŻKACH

- Renata Radlak-Dominik, *Gwiazdy na piasku. Joginki opowieść o Indiach* . 133
- Wojciech Orliński, *Lem. Życie nie z tej ziemi* 133
- Rafał Socha, *Abubaka* 133
- Konrad Ludwicki, *Bóg – Zło – Modlitwa. Wokół „Uwag 1940-1942”*
Karola Ludwika Konińskiego 134
- Ryszard Stefaniak, *Płk Michał Kamiński. Kawaler Orderu Wojennego*
Virtuti Militari 134
- Artur Gielezy, *M* 134

FELIETON

- ZEP, *Sprzedawca szczęścia* 135

ZAPISKI GALERJANA

- Jan Ciesielski, *Marzenie* 138

FOTO GALERIA

- Marcin Szpadrowski 139

NOTY O AUTORACH

- Małgorzata Grajewska 26
- Mira Kieniewicz-Kopcińska 31
- Grzegorz Słobodnik 36
- Konrad Ludwicki 85
- Kacper Korbela 126

Szanowni Państwo,

jest ważna okazja – Ośrodkowi Promocji Kultury „Gaude Mater” stuknęło dwadzieścia pięć lat! A w każdym razie coś koło tego – jak wynika z tekstu wspomnieniowego Tadeusza Piersiaka. Zatem w tym numerze Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” dużo miejsca poświęcamy Ośrodkowi, przecież nie z czystej kurtuazji. Ale też nie kierowani pochlebstwami! A skąd wiadomo, że nie? Ano stąd, że od trzech z górą lat adres Dąbrowskiego 1, pierwsze piętro, wejście między księgarnią a kawiarnią, czyli adres, gdzie mieści się OPK „Gaude Mater”, określa nasz drugi dom. Tu, w każdy czwartek o siedemnastej, mamy spotkania Towarzystwa. Tu odbywają się nasze Walne Zebrania raz do roku i tu spotykamy się na promocjach książek wydawanych przez Galerię Literacką. Gdyby zatem naszego głosu w obchodach 25-lecia istnienia OPK „Gaude Mater” zabrakło, należałoby uznać to za zaniedbanie co najmniej, jeśli nie afront.

Przekazujemy czytelnikom kilka impresji spisanych przez osoby związane z Ośrodkiem, współtworzące go czy też będące bliskie mu programowo. Są wśród nich: obecny dyrektor Tadeusz Piersiak, poprzednia dyrektor Małgorzata Zuzanna Nowak, a także związani od dawna z „Gaude Mater” – Mariola Florek, pełniąca obowiązki dyrektora przez niespełna dwa lata i Robert Sękiewicz, któremu zawdzięczamy udostępnienie fotografii tworzących oprawę graficzną „Galerii”.

Wspominając przyjazne związki naszego Towarzystwa z OPK „Gaude Mater”, warto przytoczyć kilka wspólnych inicjatyw. Przede wszystkim organizację rocznic dwóch częstochowskich poetek – Haliny Poświatowskiej i Ludmiły Mariańskiej, czego dowodem są dwa numery „Galerii” – 34 z 2015 r. i 38 z 2016 r.,

każdy poświęcony twórczości wybitnej poetki. Dalej: wspólna organizacja pobytu Białoruskiego poety i działacza – Uładzimira Niaklajeua i białoruski numer „Galerii”, wreszcie podjęcie trudu wydania poezji Waldemara Gaińskiego i organizacja wieczoru poświęconego poecie przez wiele lat – aż do śmierci – związanemu z Częstochową. Tych inicjatyw było więcej (np. wystawa ikon), rzecz jednak nie w tym, by je skrupulatnie tu inwentaryzować, lecz by pokazać skalę bliskości i otwarcia obu organizacji. Oczywiście „Gaude Mater” jest instytucją prowadzącą działalność na skalę nieporównywalnie większą niż nasze Towarzystwo, mamy jednak poczucie nie tylko przychylności, ale i partnerstwa. Wróży to dobrze na przyszłość, a już na jesień będzie okazja do wspólnego działania w związku z obchodami 50. rocznicy śmierci Haliny Poświatowskiej.

Tematu przewodniego – jubileuszu OPK „Gaude Mater” – nie sposób zamknąć na kilku kartach, bowiem łączą się z nim inne wątki, obecne w bieżącym numerze „Galerii”. Są nimi: 27. edycja Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, bogata nie tylko w muzykę, ale także w jubileusze, rozmowa z O. Nikodemem Kilnarem OSPPE, którego zasługi dla polskiej kultury muzycznej są nie do przecenienia, sylwetka Marcina Szpąderskiego, fotografa dokumentującego Festiwal „Gaude Mater”, animatora wydarzeń fotograficznych w naszym mieście.

Tyle rocznicowo. W numerze również wspomnienia: Andrzeja Kalinina o niedawno zmarłej Julii Hartwig, której pamięci dedykowała wiersz Bożena Gorska i wspomnienie Janusza Mielczarka o fotografii Pawle Pierścińskim. Jak zwykle dużo dobrej poezji i prozy. Publikujemy po raz pierwszy wiersze poetów, którzy debiuty mają już za sobą: Małgorzaty Grajewskiej, Miry Kieniewicz-

-Kopcińskiej i Grzegorza Słobodnika oraz wiersze Małgorzaty Franc, inspirowane poezją. Jako prozaik zadebiutował w „Galerii” Zbysław Janikowski, powrócili na nasze łamy nieobecni od pewnego czasu Rafał Socha i Konrad Ludwicki, którzy właśnie wydali książki, krótko przez nas zaprezentowane, a Konrad Ludwicki udzielił nam wywiadu. Pozwolę sobie zwrócić także uwagę czytelników na publikowany u nas premierowo fragment dramatu Wiesława Wyszynskiego *W białym oknie snu*, całość jest doprawdy warta wystawienia! Na wystawienie – tym razem w kabarecie – zasługują także małe formy dramatyczne autorstwa Jana Ciesielskiego. W dziale recenzji godzien polecenia jest pełen dygresji tekst Boże-

ny Gorskiej o najnowszej książce Leszka Długosza. Swingująca refleksja Janusza Mielczarka o częstochowskim Festiwalu Jazzu Tradycyjnego i tekst Tomasa „Az-tzಂತego” Barańskiego o Mikołaju Koperniku dopełniają dział.

Dział historyczny zawiera, oprócz kalendarium, opowiadanie Jarosława Kapsy o niezwykle interesujących, zasługujących na scenariusz filmowy, wydarzeniach oraz tekst młodziutkiego autora, poświęcony Częstochowie. Poza tym nasze stałe rubryki, które publikujemy w nadziei, że znajdą Państwo przyjemność w ich lekturze – podobnie jak w lekturze całego magazynu „Galeria”.

Bogdan Knop



25 lat

GAUDE
MATER
ośrodek
promocji
kultury

Andrzej Kalinin

WSPOMNIENIE O JULII HARTWIG (1921-2017) – – WIELKIEJ POETCE

4 lipca 2017 roku, przebywając u córki w amerykańskim Gouldsboro w stanie Pensylwania, zmarła Julia Hartwig – wybitna polska poetka, eseistka i tłumaczka literatury pięknej z języka francuskiego i angielskiego. W sierpniu skończyłaby 96 lat. Była rówieśniczką Tadeusza Różewicza, ale także Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Oznacza to szmat czasu, ale także zakres zainteresowań literackich poetki. Pewnie dlatego Julia Hartwig zawsze była pisarką dobrego stylu. Oczywiście, była przede wszystkim poetką, ale zajmowała się również prozą i eseistyką. Była także znakomitą tłumaczką literatury francuskiej, angielskiej i amerykańskiej. To Jej zawdzięczamy przekłady takich autorów, jak Michaux, Jacob, Cendrars Supervielle, Plath i Moore, Ginsberg i Williams. To dzięki Jej tłumaczeniom znamy pisma filozoficzne Diderota, listy Rimbauda czy korespondencję Fryderyka Chopina z George Sand i jej dziećmi. Razem ze swoim mężem, również literatem, Arturem Międzyrzeckim, wydała tom poezji amerykańskiej, a po śmierci męża zbiór wierszy amerykańskich poetek „Dziki brzoskwinie”. W Jej dorobku nie ma zbyt wielu tomów poetyckich, jednak te, które stworzyła, okazały się nieprzemijające i zapewniły Jej trwałe miejsce w historii literatury polskiej.

Julię Hartwig miałem szczęście i honor poznać osobiście równe 23 lata temu w Domu Literatury w Warszawie w trakcie wręczania mi Nagrody Literackiej Czesława Miłosza za książkę *...i Bóg o nas zapomniał*. Pani Julia była wtedy przewodniczącą kapituły przyznającej tę nagrodę. Oczywiście znałem Ją wcześniej, ale tylko z Jej książek i licznych informacji me-



foto Wikipedia

dialnych. Wiedziałem więc na przykład, że była nie tylko wybitną poetką i pisarką, ale też aktywnie uczestniczyła w życiu literackim i kulturalnym naszego kraju. W życiu politycznym również. W roku 1976 była na przykład sygnatariuszką tzw. „Memoriału 101” – otwartego listu pisarzy i naukowców protestujących przeciwko planowanym zmianom w Konstytucji PRL, do której miały być wprowadzone zapisy o nienaruszalnym sojuszu z ZSRR. Trzeba było wtedy wielkiej odwagi, żeby do takiej akcji dołączyć.

O tym wszystkim wiedziałem już wcześniej. Więc wiedziałem też, kim w naszej literaturze jest Julia Hartwig.

Pewnie dlatego byłem ogromnie stremowany, gdy już w trakcie bankietu po części oficjalnej tamtej imprezy w Domu Literatury, pani Ludmiła Marjańska, częstocho-wianka, a wówczas prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, przywiodła mnie do sto-liku, gdzie obok kolejnej znakomitości lite-ratury polskiej, Jana Józefa Szczepińskiego, siedziała Julia Hartwig.

W dwa lata potem spotkaliliśmy się z Panią Julią powtórnie. Zostałem bowiem wybrany przez pisarzy Krakowskiego Od-działu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich delegatem na IV. bodaj Kongres SPP w Warszawie. Współpracowaliśmy potem przez dwie kadencje, czyli osiem lat, bo Ju-lia Hartwig była wtedy wiceprezesem Zarządu Głównego SPP, ja zaś przewodni-czyłem komisji rozjemczej. Mieliśmy więc czas, żeby zapoznać się lepiej.

Panią Julię Hartwig zapamiętałem jako osobę bardzo elegancką, dystygowaną i opanowaną, z jakimś takim ciepłem za-wsze od niej emanującym. Gdy zabierała głos, to mówiła ciekawie, z nienaganną dykcją i piękną polszczyzną. Nigdy też nie widziałem jej zdenerwowanej, zawsze bo-wiem miała w sobie jakiś taki wielki spo-kój.

Znawcy uważają, że o poezji Juli Har-twig, jak też o niej samej, sporo mówią tytuły jej wierszy: *Czuwanie* na przykład albo *Obcowanie* czy *Zobaczone*, *Mówiąc nie tylko do siebie*, *Bez pożegnania*, *Gorzkie żale* i wiersz *Czułość*, który na poparcie powyż-szej tezy przytoczę.

Czułość

Patrzy na ciebie zadarłszy główkę
do góry
Jesteś jej niebem i twoja twarz stanowi
na tym niebie
słońce i niepogodę
Jest małym pisklęciem,
które chciałoby usiąść wśród gałęzi
twoich ramion

pełna świergotów i tak od ciebie za-leżna
że wzruszyłoby to nawet serce z ka-mienia
Już tyle lat minęło a w lustrze w które
patrzysz
wciąż jeszcze jawi ci się obraz jej ma-lutkiej
stojącej obok ciebie z zadartą główką
i zapomnianą już dziś prośbą czy
pytaniem
na które teraz odpowiedzieć za późno

Julia Hartwig urodziła się 14 sierpnia 1921 roku w Lublinie. Zadebiutowała jako 15-letnia poetka w gazetce szkolnej. W czasie okupacji niemieckiej była łączniczką Armii Krajowej. Po wojnie studiowała filologię polską i romańską na KUL-u w Lublinie. Był to w Polsce czas władzy ludowej. Julia Hartwig nie podda-wała się jednak obowiązującym nurtom czy kulturalnemu blichrowi tamtych lat. Tworzyła swoją poezję i prozę poetycką z nieprzeciętną finezją, patrząc na świat okiem subtelnej kobiety, której nie unie-sie żaden polityczny trend. Swoje utwory publikowała w „Wyborze wierszy poetów lubelskich”. Drukowała także na łamach „Twórczości” i „Kuźnicy”.

W jakiś czas potem wyjechała do Francji. Wtedy na placówkach zagra-nicznych na Zachodzie żyło już i two-rzyło kilku wybitnych polskich literatów. Putrament w Paryżu, Przyboś w Szwaj-carii, Miłosz w Waszyngtonie. I wtedy do Paryża wyjechała również młodziutka Julia Hartwig ze swoim pierwszym mę-żem Zygmuntem Kałużyńskim, o którym powie potem bardzo zwięźle: „Nie mam dobrych wspomnień. To był po prostu: zły wybór”. Kolejnym złym wyborem poetki był znany pisarz Ksawery Pru-szyński. To małżeństwo także zakończy-ło się szybkim rozwodem.

W roku 1952 Julia Hartwig wróci-ła do kraju i zamieszkała w Warszawie.

Swoje wiersze i przekłady z literatury francuskiej publikowała na łamach „Nowej Kultury”, „Świata”, „Poezji”. Była też autorką słuchowisk nadawanych w Polskim Radiu.

W roku 1954 poślubiła poetę i prozaika Artura Międzyrzeckiego. I to był strzał w dziesiątkę. Razem stanowili znakomicie dobraną parę, wspierającą się wzajemnie tak w życiu, jak pracy na niwie literackiej.

W latach 1970–1974 Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki przebywali w Stanach Zjednoczonych. Poetka była wtedy uczestniczką programu *International Writing Program*. Prowadziła też wykłady na University of Ottawa (1971) i Carleton University (1973) w Kanadzie.

Po powrocie do Warszawy zaangażowała się bardzo aktywnie w działalność polityczną. Należała do NSZZ „Solidarność” (1986–1991). Wcześniej była członkiem Związku Literatów Polskich i należała do Polskiego PEN-Clubu (od 1956 r.). W Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich była w latach 1990–1999 wiceprezesem Zarządu Głównego. W roku 1989 została członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie.

Dorobek literacki Julii Hartwig obejmuje kilkanaście zbiorów poezji i prozy poetyckiej oraz monografie, eseje, tłumaczenia, książki dla dzieci. Tomy poetyckie to między innymi: *Pożegnania* (1956), *Czuwanie* (1978), *Czułość* (1992), *Zawsze od nowa* (1999), *Nie ma odpowiedzi* (2001), *Błyski* (2002), *Bez pożegnania* (2004), *To wróci* (2007), *Jasne niejasne* (2009), *Wiersze wybrane* (2010), *Gorzkie żale* (2011), *Zapisane* (2013), *Spojrzenie* (2016). Julia Hartwig jest także autorką tomów poematów prozą: *Mówiąc nie tylko do siebie* (2003), szkiców: *Pisane przy oknie* (2004), książek dla dzieci: *Pierwsze przygody Poziomki* (1961).

Tłumaczyła na język polski twórczość takich pisarzy, jak: Guillaume Apollinaire,

Allen Ginsberg, Max Jacob (*Poematy prozą*, 1983), Blaise Cendrars, Pierre Reverdy, Marianne Moore, William Carlos Williams. Niektórym z nich poświęciła monografie: *Apollinaire* (1962), *Gérard de Nerval* (1972).

Utwory Julii Hartwig były tłumaczone na języki: francuski, angielski, niemiecki, włoski, rosyjski, grecki, węgierski, fiński, litewski, serbski, holenderski, flamandzki.

Krytycy literaccy na ogół zgodnie twierdzą, że poezja Julii Hartwig należy do wybitnych. Wielki Czesław Miłosz w pełni to potwierdzał.

„Ktoś mi kiedyś powiedział – mówił – że każdy wiersz liryczny jest częstką autobiografii, nawet jeżeli nic w nim nie ma z wyznań. Wierszy Julii Hartwig nie umiem czytać inaczej niż układając z nich autobiograficzną opowieść. Osobą, która opowiada, jest kobieta z polskiej inteligencji, mająca za sobą doświadczenia lat wojny, dużo podróżująca, o znacznej wiedzy o sztuce, wyposażona w znajomość obcych języków, zadowolona w trzech miastach: Warszawie, Paryżu i Nowym Jorku. Osoba ta jest też poetką, szukając określenia, wybrałbym przymiotnik: wykwintną, przez co chyba rozumiem jej powściągliwość. Jej życie, tak jak ukazuje się w tej poezji, było pełne nieszczęść i klęsk, ale znalazła sposób, żeby mówić o tym jakby okólnie, poprzez nazywanie zjawiających się przed oczami obrazów. Jej głos jest równy, nie ścisza się do szeptu, ani nie nasila się do krzyku”. [Czesław Miłosz, „Zeszyty Literackie” 2000/1]

Z wielkimi twórcami kultury tak już jest, że choć odchodzą, to zostawiają po sobie część siebie. To, co było w nich pięknego albo intrygującego lub dającego do myślenia. Na tym polega ich wielkość i udział w naszym życiu. Dla mnie z Julią Hartwig jest podobnie.

Janusz Mielczarek

PAWEŁ PIERŚCIŃSKI (1938-2017). WYBITNY ARTYSTA I PRZYJACIEL



Paweł Pierściński, foto Janusz Mielczarek

Wprzedsiedniu swoich 80. urodzin, po ciężkiej chorobie, odszedł od nas wybitny i wszechstronny artysta, Prezes Honorowy Związku Polskich Artystów Fotografików, Paweł Pierściński. Osierocił polską fotografię, dla której uczynił tak wiele i tych wszystkich, którzy go kochali.

W roku 1958 w budynku Muzeum Częstochowskiego w parku Staszica prezentowana była ogólnopolska wystawa

fotografii artystycznej, organizowana przez Częstochowskie Towarzystwo Fotograficzne. Jednym z autorów, którego pracę przyjęto na wystawę, był dwudziestoletni wówczas Paweł Pierściński z Kielc, później wybitny artysta i teoretyk sztuki, dla którego był to debiut wystawienniczy. Wiele lat później, kiedy mogłem doświadczyć Jego życzliwości i przyjaźni, przy różnych okazjach wspominał o debiucie na częstochowskiej wystawie.

Fotograficznie spotkaliśmy się m.in. w roku 1970, na głośnej w tamtych czasach, obrzucanej inwektywami przez władzę PRL i dewocję, pierwszej polskiej wystawie aktu „Venus 70”. Miałem szczęście, że przyjęto na tę ekspozycję dwie moje fotografie; Paweł Pierściński był wówczas laureatem Grand Prix wystawy.

Moje trzecie spotkanie z fotografią tego artysty miało miejsce w ówczesnej siedzibie CTF przy ul. Krakowskiej w Częstochowie w roku 1993, gdzie prowadzący tam niewielką galerię, przyjaciel fotografujących i wspinały człowiek, Edmund Mularz, prezentował około trzydziestu czarno-białych fotografii pejzażowych Pierścińskiego. Zajrzałem tam przypadkowo i opuściłem wystawę... zażenowany, że fotografując krajobrazy, które nie należały do moich ulubionych tematów fotograficznych, robiłem to byle jak, po prostu beznadziejnie.

Było to akurat w czasie, kiedy kilka lat wcześniej wziąłem rozbrat z fotografowaniem – bardziej oddając się literaturze – i dlatego pozbyłem się podstawowego sprzętu oraz wyposażenia ciemni. Potrzeba zmazania „plamy na honorze”

była tak wielka, że w najbliższą niedzielę za pożyczone pieniądze kupiłem na foto giełdzie w Warszawie najniezbędniejsze sprzęty. Miał to być jedynie chwilowy powrót do fotografowania serio, ale trwa do dzisiaj.

Wkrótce Paweł Pierściński pojawił się w moim życiu artystycznym jak ktoś ważny, bliski i serdeczny; nie odmawiał porady, napisania tekstu do katalogu wystawy, udzielił mi poparcia przy wstępowaniu do ZPAF, pilotował na plenerach, dzielił się tajemnicami technik fotograficznych. Chętnie przyjeżdżał do Częstochowy na wernisaże „Salonów martwej natury w fotografii” i innych wystaw. Cenił sobie bardzo prezentowanie swoich prac w częstochowskich galeriach: w Rejonowym Ośrodku Kultury, Miejskiej Galerii Sztuki (wspólnie z przyjaciółmi z „Kieleckiej szkoły krajobrazu”), w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”, w Akademii im. Jana Długosza. Zawsze chętny do rzeczowej dyskusji, ale potrafiący korygować swoje opinie, uznający także czyjąś argumentację.

W wyjątkowo obszernym i wszechstronnym dorobku twórczym Pawła Pierścińskiego, na który złożyły się tysiące fotografii, w tym także te znajdujące się w ważnych zbiorach europejskich i światowych, poczesne miejsce zajmuje literatura fotograficzna, opracowania teoretyczne oraz setki druków pomieszczonych w folderach i albumach innych autorów, a także zbiory... poezji!

Chciałbym szczególnie zwrócić uwagę na jedno opracowanie wyjątkowe, niemające precedensu w polskiej literaturze fotograficznej, i ośmielę się zauważyć, że nikt w przyszłości nie zdobędzie się na podobne. Jest to przygotowany w duecie: Paweł Pierściński – Jerzy Piątek album „Mistrzowie polskiego pejzażu”. Jego twórcy przez dwa lata (1998-2000) wędrowali po Polsce busem, w którym

żyli, a często także nocowali, odwiedzając osobiście większość z prezentowanych w wydawnictwie 137 fotografów, z którymi wspólnie wybierali prace do albumu. Są w nim także twórcy pochodzący z Częstochowy: Tomasz Gębuś, Sławomir Jodłowski, Janusz Mielczarek i Wojciech Prażmowski.

W roku 2015 Paweł Pierściński ofiarował pracowni fotograficznej Akademii im. Jana Długosza niezwykle cenną kolekcję swoich 270 fotografii, liczne foldery z wystaw oraz inne dokumenty. Były one prezentowane na wystawie uczelnianej oraz w OPK „Gaude Mater” z udziałem autora.

Dla mnie szczególną wartość, obok tekstów, które Paweł Pierściński był uprzejmy napisać do katalogów moich trzech ważnych wystaw, mają odręczne pisma, w których wypowiada swój osąd o napisanych przeze mnie książkach literackich. To nie tylko uczta obcowania z pięknym językiem i jego wyszukaną składnią, ale także obraz, więcej – pejzaż, układający się ze słów pisanych czarnym atramentem przez Poetę, który kochał świat i ludzi, a więc i mnie też może odrobinę. I za to, Pawle, dziękuję Ci od siebie i paru jeszcze innych osób.

KALENDARIUM KWIECIEŃ – SIERPIEŃ 2017 r.



KWIECIEŃ

- 1.04.** – włączenie Centrum Promocji Młodych do struktury Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”,
- 5-8.04.** – Festiwal im. Kaliny Jędrusik – OPK „Gaude Mater”
- 6-8.04.** – obchody jubileuszu 100-lecia śmierci dr. Władysława Biegańskiego,
- 7.04.** – obchody jubileuszu 25-lecia Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”,
- 8.04.** – wernisaż wystawy pokonkursowej III Międzynarodowego Konkursu Artystycznego „Pejzaż współczesny” Częstochowa 2017 – Miejska Galeria Sztuki,
- 12.04.** – spotkanie z cyklu „Poloniści Częstochowy” – Jadwiga Wrzaszczyk i Leokadia Kołodziejczyk – OPK „Gaude Mater”,
- 13.04.** – otwarcie wystawy malarstwa Jana Wołka „Oczywiście” – Miejska Galeria Sztuki,
- 21.04.** – zmarła Magdalena Abakanowicz,
- 21.04.** – uroczyste otwarcie kantoru Wymiany Sztuki – Konduktorownia,
- 22.04.** – zmarł Stefan Sutkowski,
- 22.04.** – zmarł Witold Pyrkosz,
- 26.04.** – zmarł Zdzisław Pietrasik,
- 26.04.** – wykład i koncert Rafała Blechacza – Akademia im. Jana Długosza,
- 26.04.** – otwarcie wystawy poplenerowej „Masuria 2016” – Filharmonia Częstochowska,
- 26.04.** – otwarcie wystawy „Ś.P. Ja – Janina

Plucińska-Zembrzuska o sobie” – Muzeum Częstochowskie,

28.04. – otwarcie wystawy pokonkursowej XX Międzynarodowego Konkursu Cyfrowej Fotokreacji CYBERFOTO 2017 – Rejonowy Ośrodek Kultury,

28.04. – wernisaż wystawy fotografii Ryszarda Czernowa „Martwe natury” – Konduktorownia,

29.04. – zmarł Wiktor Osiatyński.

MAJ

30.04-7.05. – 27. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”,

1.05. – zmarł Tomasz Burek,

8.05. – promocja książki Kaliny Słomskiej i Zbigniewa Mygi *Poświatowska we wspomnieniach i inspiracjach*, OPK „Gaude Mater”,

12.05. – otwarcie wystawy poplenerowej ISD Huty Częstochowa – Ratusz Miejski,

17.05. – spotkanie z cyklu „Poloniści Częstochowy” – Gustaw Gracki – OPK „Gaude Mater”,

20.05. – Noc Muzeów,

21-28.05. – „Wokół Beksińskiego” – Miejska Galeria Sztuki,

22.05. – zmarł Zbigniew Wodecki,

22.05. – zmarł Paweł Pierściński,

25.05. – wernisaż wystawy malarstwa Arkadiusza Zająca – OPK „Gaude Mater”,

25.05. – wernisaż wystawy malarstwa Danuty Króliszewskiej – OPK „Gaude Mater”,

26-28.05. – IV Częstochowski Festiwal Filmów Dokumentalnych im. Braci Krzemieńskich „Moja Mała Ojczyzna”,

27.05. – Dzień Samorządu Terytorialnego w Częstochowie,

29.05. – promocja książki Ryszarda Stefaniaka *Pułkownik Michał Kamiński, Kawaler Orderu Wojennego Virtuti Militari* – OPK „Gaude Mater”,

29.05. – wernisaż wystawy fotograficznej Adama Wróbla „Beatyfikacja Jana Pawła II” – Muzeum Monet i Medali.

CZERWIEC

- 1.06.** – obchody 500-lecia Reformacji w Polsce – Ratusz Miejski,
1-4.06. – 13. Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego „Hot Jazz Spring”,
2.06. – wernisaż wystawy „Redi Bo. Akwarele” – Konduktownia,
8.04. – wernisaże wystaw: Monika Wanyura-Kurośad „Paul Celan. Odlamki snu”, „Symulatory” z kolekcji OBMS Daniela Zielińskiego i „Dyplomy” – Miejska Galeria Sztuki,
9.04. – dzień Doktora Władysława Biegańskiego w Archiwum Państwowym w Częstochowie,
9.06. – wernisaż wystawy malarstwa Stanisława Bąja „Czarna rzeka” – Miejska Galeria Sztuki,
10.04. – Industriada 2017 – VIII Edycja Święta Szlaku Zabytów Techniki Województwa Śląskiego,
12.06. – wernisaż wystawy zbiorowej „Miejsca. Terra recognita” – OPK „Gaude Mater”,
14.06. – spotkanie z cyklu „Poloniści Częstochowy” – Edmund Łągiewka – OPK „Gaude Mater”,
16-18.06. – XXIV Ogólnopolski Festiwal Orkiestr Ochotniczych Straży Pożarnych,
22.06. – wernisaż wystawy malarstwa Małgorzaty Sętowskiej – OPK „Gaude Mater”,
23.06. – wernisaż wystawy Przemka Pintala „Tenisiści” – Konduktorownia,
24-25.06. – Festiwal Frytka Off – Park Lisiniec,
30.06. – wernisaż wystawy prac studentów i pracowników Katedry Malarstwa AJD „Malarze 5” – Konduktorownia.

LIPIEC

- 6.07.** – premiera Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” nr 41 – OPK „Gaude Mater”,
7.07. – wernisaż wystawy fotografii Krzysztofa Pierzgałskiego „Ślady/Wieś jurajska” – OPK „Gaude Mater”,
7-9.07. – Medalikon. Konwent Częstochowskich Miłośników Fantastyki,
8.07. – Festiwal Retro,
11.07. – otwarcie wystawy malarstwa człon-

ków Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza „Poplenerowe pejzaże bliższe i dalsze” – Rejonowy Ośrodek Kultury,

- 14.07.** – zmarła Julia Hartwig,
14.07. – wernisaż polsko-niemieckiej wystawy problemowej „Dionizos – ślad mitu” – Miejska Galeria Sztuki,
22.07. – retrospektywa Międzynarodowego Jurajskiego Pleneru Karykaturzystów – OPK „Gaude Mater”,
22-23.07. – Weekend Kultury Niezależnej,
26.07. – zmarł Marian Konieczny,
27.07. – wernisaż wystawy malarskiej Anity Owsianej „Defekt” – Miejska Galeria Sztuki,
28-30.07. – Festiwal Hip Hop Elements.

SIERPIEŃ

- 2.08.** – otwarcie wystawy z okazji 300-lecia koronacji Cudownego Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej – Zamek Królewski w Warszawie,
3.08. – zmarła Wanda Chotomska,
4.08. – wernisaż zbiorowej wystawy malarskiej „Ślad” – Konduktorownia,
5.08. – zmarł Bogusław Wolniewicz,
6-13.08. – Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej 2017 – kościół ewangelicko-augsburski,
19.08. – zmarł Janusz Głowacki,
20.08. – Niedziela z Teatrem im. Adama Mickiewicza – Plac Biegańskiego,
21.08. – Wieczór z Antonim Fertnerem – OKF „Iluzja”
21-27.08. – Tydzień z architekturą,
25. i 27.08. – 25. Dni Częstochowy 2017,
26.08. – widowisko ku czci Królowej Polski – Jasna Góra.
27.08. – wręczenie wyróżnienia „Mecenas Kultury” i Nagród Prezydenta Miasta Częstochowy w Dziedzinie Kultury – Ratusz,
27.08. – promocja książki Zuzanny Talar *Henryk Talar i Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie lata 1994-1997* – Ratusz.

Barbara Strzelbicka

Zbysław Janikowski

LIPCOWE LENIWE ROZMYŚLANIA

Lpiec, jako taki, nie sprzyja pracy twórczej, więcej nawet: myślenie jest trudne, taki jest lipiec i także jego uroda. To tyle i aż tyle...

Więc (tak nie wolno zaczynać zdania ale w lipcu), więc siedzę na parkowej ławce, spacerować się nie da, bo bruk brukowanych parkowych alejek temu nie sprzyja. Więc siedzę i myślę, ale o czym tu myśleć w lipcu, wiosna już za nami, jesień dopiero przed nami, a do zimy jeszcze bardzo daleko. Więc lato, kanikuła, marazm, ale czy tak bez reszty, do końca? Chyba tak!

No to o kanikule. Kanikuła ma swoje prawa, swoje tematy, żyje swym kanikularnym (czy to brzmi dobrze?) życiem, są politycy, ale oni stają się już nudni, żeby chociaż z jeden się utopił albo chociaż porządnie upił, a tu nic, co najwyżej żonę maltretuje, też mi coś. Nuda. Relacje z wycieczek do Egiptu, do dżungli czy na jakieś wyspy, co roku takie same. Co jeszcze, sezon grzybowy dopiero przed nami, więc nawet o sromotniku i jego amatorach nie można. A teraz?

Jest!

Kleszcz!!!

Całe stada kleszczy!

O kleszczach ciągle telewizja trzeszczy, a niejeden pokąsany z bólu wrzeszczy.

Ale poważnie. Siedzę w tym parku na ławce i wcale się nie boję, choć rozłożyste drzewo nade mną. Nie boję się, że z tego drzewa kleszcz na mnie spadnie albo nawet skoczy.

???

Tak, kleszcz na pewno nie skoczy, bo primo – kleszcz nie żaba i skakać nie umie, secundo – wzrok ma słaby i mógłby mnie przeoczyć, tertio – czy kleszcz to małpa, która po drzewach skacze?

Ale czy takie tłumaczenie uspokaja? Tylko częściowo, bo przecież kleszcz na mnie z tego drzewa skakać nie musi, on zwyczajnie spać może. W to też powątpiewam bo, primo – jak ten mały kleszcz na takie duże drzewo wlaźby i jak długo by to trwało, i czy w ogóle by mu się to opłacało. Secundo – jaką pewność miałby ten kleszcz, że mnie pod tym drzewem spotka. Tertio – czy chciałby ryzykować tak niepewną imprezę. Quarto – sumując – czy kleszcz jest aż tak głupi, że taki wysilek i takie ryzyko podjąłby, przecież spadając mógłby się nawet zabić.

Specjaliści od kleszczy tłumaczą, że kleszcze najczęściej żyją na trawnikach, z których do naszych nóg mają dużo łatwiejszy dostęp niż z wysokiego drzewa. Ale w parkach na alejkach trawa nie rośnie, no, powiedzmy, poza małymi wyjątkami, tak że i w tym przypadku nie ma co się tych kleszczy lękać.

Ale o kleszczach głośno, a jak głośno, to i straszno. Straszą, o różnych potwornych przypadkach opowiadają. Zresztą z żelazną logiką – „moja kochana pani, u nas w...”.

Kleszczowe tematy nadmuchiwane są niczym odpustowe balony, póki nie pękają, a pękają, gdy na widowni pojawiają się komary.

Komary, całe ich chmary!

W niedzielę 16 lipca 2017 roku



SREBRNY JUBILEUSZ OŚRODKA PROMOCJI KULTURY „GAUDE MATER”



Drużyna OPK „Gaude Mater”; od lewej: Robert Sękiewicz, Mariola Florek, Bogumiła Jodłowska, Tadeusz Piersiak, Katarzyna Strojec, Agnieszka Gępcard (foto ze zbiorów OPK „Gaude Mater”)

Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” został powołany 5 grudnia 1991 r. i jego główną funkcją miała być organizacja Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. W pełni działalność Ośrodka mogła rozpocząć się wraz z nowym rokiem budżetowym, zatem jubileusz był oficjalnie świętowany w kwietniu 2017 r. Instytucją kierowali kolejno:

- Krzysztof Pośpiech – grudzień 1991 – lipiec 1995,
- Małgorzata Zuzanna Nowak – sierpień 1995 – lipiec 2012,
- Mariola Florek – sierpień 2012 – marzec 2014,
- Tadeusz Piersiak – kwiecień 2014.

W ciągu 25 lat istnienia Ośrodek wrósł w pejzaż kulturalny Częstochowy. Zakres jego działalności znacznie się poszerzył, chociaż najstarsze dziecko – Festiwal Muzyki Sakralnej – przed pięcioma laty opuściło gniazdo, by się usamodzielnic. OPK „Gaude Mater” nadal skupia ludzi twór-

czych, daje wsparcie i możliwość realizacji wielu inicjatywom, inspiruje do kreatywności. Ponieważ i nasze Towarzystwo Galeria Literacka znalazło tutaj miejsce na cotygodniowe spotkania robocze, na promocje naszych książek i „Galerii” oraz wsparcie dla literackich inicjatyw, chcemy na łamach „Galerii” uczcić jubileusz ćwierćwiecza tej szacownej Instytucji, oddając głos tym z Państwa, którzy byli i są z Ośrodkiem związani. Poszczególne wypowiedzi, złożone w całość, pozwolą ułożyć opowieść o początkach i dalszym ciągu funkcjonowania tej jakże ważnej dla Częstochowy instytucji kulturalnej, bez której pejzaż naszego miasta byłby znacznie uboższy. Bo choć niewiele zajmuje miejsca i niewielu zatrudnia pracowników, OPK „Gaude Mater” spełnia ważną rolę kulturotwórczą, którą w pełni można docenić smakując jej owoce.

Życzymy Ośrodkowi stu lat w dobrej kondycji!

Redakcja

Tadeusz Piersiak, dyrektor OPK „Gaude Mater”



Jubileusz Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” zawiera w sobie aż dwie graniczne daty. Powołany został do życia 5 grudnia 1991 roku, więc 25-lecie instytucji świętować można by już w roku ubiegłym. Jednak dopiero w kwietniu 1993 roku jego pracownicy przenieśli się do wyremontowanych i lekko zmodernizowanych pomieszczeń po Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Aby więc nie robić rocznicowej fety dwukrotnie, rok 2017 uczyniliśmy czasem obchodów jubileuszu.

Los sprawił, że dane było mi towarzyszyć budowaniu historii OPK od samego początku. Nawet od jego prehistorii, czyli czasów organizowania przez Krzysztofa Pośpiecha pierwszej edycji Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. Skromne biuro festiwalowe mieściło się wtedy w gmachu organizatora – Państwowej Filharmonii – gdzieś na najwyższej kondygnacji. Później, kiedy staraniem ówczesnego Prezydenta Częstochowy Tadeusza Wrony po pierwszej udanej edycji „Gaude Mater” przejęło Miasto, siedziby nowo powołanej

instytucji użyczył Teatr im. Mickiewicza. Ówczesne biuro było w pomieszczeniach dziś wykorzystywanych na pokój gościnny. Było mi dane bywać i w tych pomieszczeniach; już z zadaniami dziennikarskimi. Samodzielność Ośrodka okupiona była bardzo skromnymi warunkami pracy wyrażającymi się choćby w meblach pozbieranych pewnie z rozmaitych rezerw Urzędu Miasta, a pamiętającymi z pewnością wczesnego Gierka.

Tam jednak klimat tworzył dyrektor OPK Krzysztof Pośpiech. W biurze festiwalowym był więc nastrój pogody i optymizmu przy lekkim artystycznym bałaganie. Dziś z perspektywy kilku lat po jego przedwczesnej śmierci mówi się o nim, że był Małym Wielkim Człowiekiem częstochowskiej kultury. Dość, że ten uroczy gaduła potrafił wydeptać ścieżkę na każdym gruncie, by dojść oczekiwanych korzyści. Dla Festiwalu czy Ośrodka. Nie dla siebie! To on dał podwaliny pod Festiwal „Gaude Mater”, to on zbudował nową siedzibę przy ul. Dąbrowskiego. Oczywiście – twórcą tej przestrzeni był architekt-artysta Roman Lonty, który w zaprojektowane pomieszczenia wprowadził standardy, od których nowoczesności usta otwierały się z podziwu. To Krzysztof Pośpiech jednak spędzał całe dnie na budowie nadzorując postępy. On w nowych murach zbudował zespół Ośrodka.

Spotkałem go w 2005 roku, po jego odejściu ze stanowiska. Rozmawialiśmy na ulicy, traf chciał – przy murze bloku przy ul. Dąbrowskiego 1. Mówił o tym, że jest dyrygentem – to jego powołanie, a nie praca administracyjna i dyrektorskie stołki. W oczach miał jednak wielki żal. Ośrodkowi pozostał jednak wierny, prezesując Stowarzyszeniu Przyjaciół Gaude Mater.

Do niego i Małgorzaty Nowak, dyrektorki Festiwalu oraz późniejszej szefowej

Ośrodek, dołączyli (jeszcze pod starym adresem) do dziś pracujący: Mariola Florek (która kierowała OPK po odejściu Małgorzaty Nowak) oraz Robert Sękwicz. W tym rozszerzonym okresie rocznicowym oboje mieszczą swoje jubileusze pracy dla „Gaude Mater”. Nowoczesne pomieszczenia dały temu zespołowi szansę rozszerzenia działalności – z zadań

biura festiwalowego po szeroki profil obejmujący zarówno muzykę, jak i literaturę czy plastykę, czym z oddaniem zajmują się po dziś dzień, kiedy comiesięczny kalendarz działań Ośrodka pęka w szwach. Dopełnieniem tej obfitości stało się dołączenie do zespołu kolegów niedawnego Centrum Promocji Młodych.

Małgorzata Zuzanna Nowak, dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, dyrektor OPK „Gaude Mater” w latach 1995-2012

W grudniu 1991 roku, dokładnie w 200. rocznicę śmierci Mozarta, został powołany do życia decyzją Rady Miasta Częstochowy Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”. O powstanie instytucji, której głównym zadaniem miała być organizacja Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej o tej samej nazwie, z dużą determinacją zabiegał Krzysztof Pośpiech – wyjątkowy człowiek, pierwszy dyrektor OPK i zarazem pomysłodawca festiwalu. Jemu zawdzięczamy również siedzibę, którą budował, i w której do dzisiaj funkcjonuje Ośrodek. Osób zaangażowanych w powstanie w Częstochowie pierwszej samorządowej instytucji kultury było wielu, a wśród nich Tadeusz Wrona – ówczesny Prezydent Miasta. Miałam zaszczyt pracować w tej najmłodszej częstochowskiej placówce kultury przez 20 lat; od 1995 do 2012 roku pełniąc funkcję jej dyrektora. Prężny i młody zespół pracowników w krótkim czasie stworzył z Ośrodka miejsce znane w całej Polsce, do którego chętnie zaglądali częstochowianie. Choć większość czasu zabierała organizacja kolejnych festiwali „Gaude Mater”, to z roku na rok przybywało ciekawych cyklicznych



projektów: Dni Europejskiej Kultury Ludowej, Festiwal Dobrej Piosenki im. Kaliny Jędrusik, Noc Kulturalna. OPK nie poprzestał na propozycjach realizowanych we własnej siedzibie. Liczne partnerstwa z instytucjami w Częstochowie i całej Polsce owocowały kolejnymi wydarzeniami – często premierowymi, jak chociażby „Kilara Exodus Polskie”, jeden z najwięk-

szych i najciekawszych projektów, jakie realizował Ośrodek w swojej historii. W strukturach OPK przez te lata działał też Zespół Pieśni i Tańca „Częstochowa”, będący znakomitą wizytówką miasta. Umiejętność pozyskiwania środków z różnych konkursów dotacyjnych umożliwiały instytucji nawet realizację przedsięwzięć zagranicznych. Koncerty w Londynie, Paryżu, Moskwie czy Kijowie w ramach autorskiego projektu „POLISH SACRED MUSIC «Gaude Mater» 2011” czy polsko-litewska wystawa Wojciecha Prażmowskiego „Miłosz Tutejszy” pokazywały możliwości merytoryczno-organizacyjne Ośrodka. Aż trudno uwierzyć, że wszystkie te przedsięwzięcia realizowała zaledwie garstka pracowników. Ale instytucja nie uniknęła też problemów. Sakralny festiwal i nazwa placówki do niego nawiązująca nie podobała się SLD, które po latach objęło w Częstochowie władzę. Rok 1999 po raz pierwszy przyniósł informację o chęci likwidacji OPK „Gaude Mater”. Powstało wtedy Stowarzyszenie Przyjaciół instytucji, które, jak czas pokazał, było najlepszą inicjatywą. I choć ówczesna lewicowa wła-

dza samorządowa wycofała się z decyzji, to temat powrócił po 13 latach, kiedy Prezydentem został Krzysztof Matyjaszczyk. Rok 2012 to dla OPK rok zmian – i to nie tylko na stanowisku dyrektora – ale przede wszystkim brak w ofercie programowej Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej, którego organizację przejęło Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater”. Najważniejsze, że OPK nie zniknęła z mapy kulturalnej miasta. Wraz z nowym 2017 rokiem rozpoczął kolejne 25-lecie, a to najlepszy dowód na to, że idea, która zrodziła się przed laty, była dobra.

Na koniec pozwolę sobie na osobistą refleksję. Kiedy odchodziłam z instytucji, wtedy w poczuciu porażki, że mój pomysł na funkcjonowanie Ośrodka rozminął się z oczekiwaniami nowego prezydenta, nie przypuszczałam, że będę mogła jeszcze kiedykolwiek pracować w miejscu tak kreatywnym i tak otwartym na artystyczne działania, jak OPK „Gaude Mater”. Dziś wiem, że każda zmiana to rozwój – i tego rozwoju życzę również „mojemu” Ośrodkowi.

Mariola Florek, kierownik działu organizacji imprez OPK „Gaude Mater”, p.o. dyrektora od sierpnia 2012 do marca 2014

Do Częstochowy sprowadziliśmy się z mężem w sierpniu 1991 roku, dokładnie w czasie VI Światowych Dni Młodzieży. Po kilku latach wspólnej pracy w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, gdzie się poznaliśmy, stwierdziliśmy, że czas gdzieś osiąść na stałe.

Ja wychowałam się na Pomorzu Zachodnim, mąż, co prawda, urodził się w Zabrzu, ale pochodzi z Podkarpacia. Postanowiliśmy w drodze konsensusu zamieszkać w Warszawie, ale tak się złożyło,

że mąż dostał propozycję pracy w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie i przelożyliśmy naszą wyprawę do stolicy o jeden rok i... tak mieszkamy tutaj już 26 lat. Śmiejemy się, że jedyną częstochowianką w naszej rodzinie jest nasza córka Maja, która jest już dorosła i mieszka na stałe w Warszawie.

Do pracy w OPK „Gaude Mater” trafiłam, można powiedzieć, dzięki zbiegowi okoliczności. Był rok 1992, gdy wbiegając na III piętro do garderoby mojego

męża w teatrze zauważyłam na półpiętrze drzwi z napisem „Gaude Mater”. Zaintrygował mnie ten napis i zaczęłam wypytywać aktorów, co tam jest, ale też nie bardzo wiedzieli.

Wkrótce, przy okazji fety po premierze w teatrze, poznałam Janusza Jadczyka, ówczesnego inspektora w Urzędzie Miasta i dopiero on wyjaśnił mi, że „Gaude Mater” to Ośrodek, który organizuje Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej i że w mieście są plany powołania Ośrodka Promocji Kultury. Dodał jeszcze, że ośrodek dostanie siedzibę po Empiku przy Dąbrowskiego 1 i poszerzy swoją działalność o inne dziedziny sztuki.

Bardzo mnie to zaintrygowało... Pracowałam w zawodzie tancerki, ale po kilku latach na scenie teatru w Chorzowie i pracy z własnym zespołem za granicą wiedziałam, że po trzydziestce trzeba będzie wreszcie zaprzestać życia na walizkach. Pomiędzy wyjazdami na zagraniczne kontrakty mogłam studiować. Skończyłam pedagogikę pracy kulturalno-oświatowej na Uniwersytecie Śląskim. Miałam świadomość, że muszę skończyć studia, gdyż całe życie tańczyć nie będę.

Gdy tylko dowiedziałam się, że w „Gaude Mater” będą potrzebni pracownicy, postanowiłam wykorzystać nową szansę i starać się o poważną, stałą posadę, by bez żalu móc pożegnać się ze sceną. Ówczesny dyrektor „Gaude Mater” Krzysztof Pośpiech, zanim mnie zatrudnił, przeprowadził ze mną nie jedną, ale kilka rozmów.

Tak zaczął się ten ważny i nowy w moim życiu zawodowym etap. W styczniu 1993 roku rozpoczęłam pracę w Ośrodku wraz z Robertem Sękiewiczem, który wcześniej dał się poznać dyrektorowi przy okazji zleceń różnych projektów plastycznych.

Krzysztof Pośpiech zawsze dobierał współpracowników bardzo dokładnie i dlatego nigdy potem swoich decyzji nie żałował. Był z nas zadowolony i czę-

sto dawał nam to do zrozumienia. Pod koniec stycznia dołączyła do nas Małgorzata Nowak. Miała pełnić funkcję dyrektora Festiwalu Muzyki Sakralnej, a Pośpiech dyrektora Ośrodka.

Byliśmy bardzo młodym, kreatywnym i chętnym do pracy zespołem. Bardzo się lubiliśmy, spotykaliśmy się prywatnie, panowały wręcz rodzinne stosunki w pracy. Niejednokrotnie podczas festiwalu pomagali nam znajomi i rodzina. Za darmo, z czystej przyjaźni i życzliwości. Wtedy nie wiedzieliśmy nawet, że to nazywa się wolontariat. Nie byliśmy dużym zespołem: dwa etaty merytoryczne, dwaj dyrektorzy, jedna księgowa, pół etatu osoby sprzątającej i Danusia Morawska, która przyszła do nas z Zespołem Pieśni i Tańca „Częstochowa” i pełniła funkcję nie tylko kierowniczką zespołu, ale również sekretarki, kasjerki, magazynierki i archiwistki.

Każdy zajmował się tym, w czym był dobry i praca sprawiała nam wielką radość. OPK „Gaude Mater” był pierwszą samorządową instytucją kultury w mieście, jedyną z nielicznych, tak prężnie działających w kraju. Nasza instytucja rozwijała się z każdym rokiem, przyrastało imprez małych i dużych oraz nowych pracowników. Festiwal Muzyki Sakralnej stał się znany nie tylko w Polsce, ale i w świecie. Dyrektor Pośpiech odszedł z pracy w 1997 roku, ale zawsze nas chętnie odwiedzał, uczestniczył w imprezach, pomagał w pracach Rady Artystyczno-Programowej Festiwalu. Gdy umarł w 2011 roku, na jego pogrzebie wybrzmiało tak dobrze nam znane „Requiem” Mozarta, a my, jego dawni współpracownicy, poczuliliśmy wtedy, że coś się dla nas skończyło i „Gaude Mater” nie będzie już takie jak dawniej. Może będzie lepsze, nowocześniejsze, bardziej dostosowane do współczesnej rzeczywistości, a może po prostu inne.

Prof. dr hab. Elżbieta Hurnik, literaturoznawczyni

Moje kontakty z Ośrodkiem Promocji Kultury „Gaude Mater” zaczęły się mniej więcej dwadzieścia lat temu. Przechodziłam wówczas na spotkania literackie, poznałam krąg ludzi związanych z Ośrodkiem – pracowników oraz stałych bywalców, a także ludzi mierzących się z trudną sztuką słowa, działających w klubach literackich lub poza nimi, przedstawiciele starszego i młodszego pokolenia. Z czasem zaczęłam pełnić funkcję jurora w Turnieju Jednego Wiersza, prowadziłam też spotkania literackie.

Najbardziej utkwilo mi spotkanie z Tadeuszem Gierymskim (w lutym 2002 roku), głównie dlatego, że tak zaczęła się moja znajomość z Tadeuszem, trwająca do Jego śmierci; od tej chwili datują się także moje ściślejsze kontakty z OPK „Gaude Mater”. W ciągu wielu lat miałam zaszczyt i przyjemność prowadzić spotkania z tak znakomitymi pisarzami, jak Hanna Krall, z poetą związanym w młodości z Częstochową, żyjącym od lat 60. w Stanach Zjednoczonych Tadeuszem Chabrowskim, z naukowcem i poetą – profesorem Marianem Kisielem z Uniwersytetu Śląskiego, a także z przedstawicielami naszego środowiska, którzy znani są poza Częstochową – Krystianem Piwowarskim czy Arkadiuszem Franią.

W Ośrodku odbywały się też promocje moich książek, co sprawiło, że miejsce to stało się mi bliskie z powodów osobistych. Gdy w Państwowym Instytucie Wydawniczym w Warszawie ukazała się moja pierwsza książka na temat poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, na promocji w OPK pojawili się niemal wszyscy przyjaciele i rodzina; część z tych Osób już odeszła, ale trwają w mojej pamięci między innymi jako goście tego spotkania.

Ośrodek Promocji Kultury to swego rodzaju klub literacki, gdzie pisarze, debiutanci i słuchacze mają okazję dyskutować o literaturze. To także miejsce, gdzie można obcować z muzyką – piękna karta w tego typu działalności to Festiwal Muzyki Sakralnej. Tu prezentowane i promowane są różne rodzaje wypowiedzi artystycznej: dzieła sztuk plastycznych, film, forma teatralna. Wiele wydarzeń utrwaliła „taśma filmowa” mojej pamięci, rejestrująca to, co ważne, ale też ulotne chwile: okruchy rozmów, wzruszeń, radość wspólnego przeżywania.

Obecnemu dyrektorowi Ośrodka Promocji Kultury, Tadeuszowi Piersiakowi i Współpracownikom życzę, by udało Im się zachować piękne tradycje tego miejsca.

Dr Marian Panek, artysta malarz

Moje wspomnienia o Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” sięgają czasu jego inkubacji i narodzin. Początki narodzin nie były łatwe, choć spektakularne i entuzjastyczne. Nielatwe – bo dla każdej instytucji kultury, jak wszystkim wiadomo, istotna jest właściwa siedziba i pieniądze na jej wartościową działalność. U podstaw powstania tej niewątpliwie pierwszej samorządowej

instytucji kultury w Częstochowie, powołanej po przemianach ustrojowych w Polsce po roku dziewięćdziesiątym ubiegłego wieku, był szeroko komentowany w mieście znaczący sukces artystyczny i organizacyjny w skali ogólnopolskiej I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. W jego organizację zaangażowało się również wielu znanych artystów plastyków.

Znak graficzny festiwalu zaprojektował Janusz Pacuda, przestrzenne dekoracje w postaci rozwieszonych kolorowych żagli w ciągu Alei Najświętszej Maryi Panny wykonał Włodzimierz Karankiewicz. Scenografię do finałowego koncertu w Częstochowskiej Filharmonii przygotowała Jolanta Winiarska, a projekt plakatu – Andrzej Pągowski. Osobiście miałem przyjemność wspierać wysiłki organizacyjne pomysłodawców tego przedsięwzięcia: dyrygenta Krzysztofa Pośpiecha i muzykologa księdza Lucjana Nowakowskiego – jako ówczesny dyrektor Wydziału Kultury i Spraw Społecznych Urzędu Wojewódzkiego w Częstochowie towarzyszyłem im w wyjazdach do Ministerstwa Kultury i Sztuki w celu pozyskania niezbędnych środków finansowych na jego realizację. Cel został osiągnięty. Sukces pierwszego festiwalu dał asumpt do powstania instytucji. W grudniu 1991 r. w jednomyślnym głosowaniu Rada Miasta Częstochowy utworzyła OPK. Pierwszym dyrektorem powołanym przez Prezydenta Miasta Tadeusza Wronek został Krzysztof Pośpiech. Dobry organizator, sympatyczny człowiek, pełen poświęcenia dla kierowanego przez siebie ośrodka i festiwalu. Wspierany był merytorycznie i programowo przez Małgorzatę Zuzannę Nowak, która w 1995 r. przejęła dyrektorskie

stery. W kwietniu 1993 r. instytucja przeprowadziła się do nowej własnej siedziby przy ulicy Dąbrowskiego 1. Wcześniej OPK „Gaude Mater” przytulony był przez Filharmonię i Państwowy Teatr Dramatyczny im. Adama Mickiewicza w Częstochowie. Projekt przebudowy wnętrza po Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, przeznaczonych na siedzibę Ośrodka, zrealizował Roman Lonty.

Kilkanaście razy brałem udział w zbiorowych wystawach organizowanych przez tamtejszą galerię, kierowaną przez Roberta Sękiewicza. Miałem tam też trzy indywidualne wystawy. Na wernisażu pierwszej z nich w 1995 r. wystąpili bliscy mi znakomici muzycy: Marek Bałata i Krzysztof Ścierański. Zresztą każdy z moich wernisaży miał swoją niecodzienną artystyczną historię. Teraz bardzo często uczestniczę w różnorodnych imprezach przygotowywanych przez OPK pod nową dyrekcją Tadeusza Piersiaka, związanych przede wszystkim z wystawiennictwem oraz w spotkaniach literackich. Ma tu swoją siedzibę, podobnie jak inne stowarzyszenia i grupy twórcze, nasze Towarzystwo Galeria Literacka, które już od dwóch lat prezentuje swoje osiągnięcia i dorobek literacki – właśnie w przyjaznym wszelkim wydarzeniom kulturalnym – naszym „Gaude Mater”.

Janusz Jadczyk, dyrektor Muzeum Częstochowskiego

Gaude Mater *in statu nascendi*... Dobrze pamiętam pierwsze lata i determinację pierwszego jego dyrektora Krzysztofa Pośpiecha, by wreszcie zapadła ostateczna decyzja o powstaniu w Częstochowie ośrodka promującego kulturę, wystawy artystyczne, festiwale muzyki, koncerty chórów. Innego niż dotychczas znane domy kultury. Miała to być pierwsza samorządowa instytucja.

Przed oczami mam takie wydarzenie. Pracowałem wówczas w Wydziale Kultury naszego Urzędu Miasta. Krzysztof Pośpiech (także i mój były nauczyciel) w garniturze, pod krawatem, stawiał się urzędzie z teczką w ręku. Na samym wstępie stanowczym głosem zaanonsował:

– Przyszedłem po oficjalne potwierdzenie utworzenia placówki, która będzie promowała wydarzenia kulturalne,

zwłaszcza muzyczne w naszym mieście. Jeśli nie otrzymam dzisiaj takiego zapewnienia, mam w teczce – tu wzrokiem i gestem wskazał na swoją walizeczkę – moją dymisję z powierzonej mi funkcji dyrektora czegoś, czego w rzeczywistości nie ma. Dość tych przepychanek – dodał już bardziej markotnie.

Te słowa i całe zdarzenie miały pozytywny finał, używając metafory, „słowo stało się ciałem”. W ramach powołanego Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” organizowaliśmy koncerty w Częstochowie i w terenie, w bliższych i dalszych miejscowościach, m.in. w Blachowni, Wręczy, Zawierciu, Lublińcu, Sosnowcu. Współuczestniczyłem w ich organizacji i jako prelegent muzyczny prowadziłem je. To było dla mnie bardzo interesujące zawodowe doświadczenie i możliwość poznania wielu wspaniałych ludzi, młodych artystów, śpiewaków i muzyków, twórców teatralnych i plastyków. To był też czas tworzenia się potencjału lokalnego środowiska artystycznego, które dziś jest postrzegane i doceniane w świecie.

Działania festiwalowe to były dla mnie niełatwe logistyczne wyzwania, na przykład wtedy, gdy po koncercie w Lublińcu musiałem błyskawicznie, w ciągu niespełna pół godziny, przemieścić się do Częstochowy do Teatru Adama Mickiewicza na prezentację spektaklu Teatru Leszka Mądzika. Zapowiedziałem cały koncert w jednym wystąpieniu, ku zaskoczeniu artystów, i zdążyłem do Częstochowy, naginając trochę przepisy o ruchu drogowym. Nie zakłóciłem jednak spektaklu Mądzika, który musiał odbywać się w „sterylnej” czerni, więc wejście po jego rozpoczęciu było niemożliwe. Do dziś wspominamy z Mariolą Florek, długoletnią pracownicą OPK, to oczekiwanie na mnie. Róża, porwana z bukietu dla artystów lublinieckiego koncertu, załagodziła napięcie.

Robiliśmy z „Gaude Mater” też zupełnie odmienne, zabawowe imprezy, jak na przykład upychanie do autobusu możliwie największej liczby częstochowian. Takie nasze lokalne rekordy Guinnessa. W wielką przyjemnością prowadziłem tę akcję, przez mikrofon zachęcając ludzi do wsiadania do coraz bardziej zatłoczonego ikarusa z naszego MPK. Na zewnątrz gorąco, słonecznie, w środku ludzi co niemiara, komisja liczy osoby. Przebijamy poprzedni wynik zrobiony przez inne miasto. Jest sukces! Ja, wciągając brzuch i na wdechu (aby schudnąć maksymalnie), jako ostatni zdołałem się jeszcze wcisnąć do autobusu. Pokazywano to w telewizji, w „Teleekspresie” i w TVN-ie. Uśmiechnięte twarze uczestników bicia rekordu, którzy jakoś ulokowali się we wnętrzu ikarusa i mnie zgniecionego, z rozpląszczoną na szybie drzwi pojazdu twarzą. Zrobiliśmy jednak rekord do Księgi Guinnessa.

Pamięć podsuwa mi jeszcze zabawne wspomnienie. Był rok... chyba 1993. Z jednym z chórów zagranicznych, bodaj z Rumunii, mieliśmy wystąpić z koncertem muzyki sakralnej w Katedrze Wniebowzięcia NMP w Sosnowcu. Kościół pełen słuchaczy, atmosfera podniosła, ważne osobistości w pierwszych rzędach. Wtedy wszystko było nowe, czasem pierwsze, wprowadzone przez zachodzące w Polsce przemiany. Tak było z kulturą i jej ofertą, życiem społecznym, gospodarką i naszymi wspólnymi relacjami. Nowości zaskakiwały i czasem były doskwierające, jak choćby deklaracja skarbowa PIT, która do ostatniego kwietnia musiała być wysłana do Urzędu.

Okazało się, że dzień owego koncertu w Sosnowcu to dla mojego PIT-u – ostatni dzwonek. Po południu włożyłem kopertę z wypełnionym drukiem do kieszeni smokingu, gdyż wkrótce ruszaliśmy autokarem z zespołem na koncert. Wieczorem, już w katedrze sosnowieckiej, w trakcie zapowiedzi, uświadomiłem sobie, że koperta nadal tkwi w mojej kieszeni. Muszę to dzi-

siaj wysłać! – gorączkowo kombinowałem w myślach. Muszę, bo poniosę konsekwencje finansowe, a to zawsze boli. Co robić? Po zejściu z podium dopytałem w zakrystii kościelnego o najbliższą pocztę i biegiem ruszyłem załatwić wysyłkę poleconego listu. Na poczcie długa kolejka, a ja mam chwilę, może dwie. Musiałem być przekonujący w tym smokingu, z muchą pod szyją, bo pozwolono mi załatwić sprawę poza kolejką. PIT wysłałem ekspresowo.

Uff! Bieg z powrotem. Na fermacie ostatniego utworu pierwszej części ocierałem czoło z potu i poprawiałem muszkę. Zdążyłem z kolejną zapowiedzią. Jaka ulga, rozluźnienie! Chciałem podzielić się z publicznością swoją radością. Powiedziałem: – Dumni jesteśmy, że możemy tu, na Śląsku, dzielić się z wami tą piękną muzyką. Cisza, jaka zaległa, sprawiła, że ugryzłem

się w język. Błysk myśli i już wiem, lecz zanim zdążyłem zreflektować się, nobliwy pan z drugiego rzędu już był na podium prezbiterium obok mnie. Scenicznym szepcikiem informował: – Szanowny panie, tu jest Zagłębie, a Śląsk zaczyna się kilka kilometrów dalej, za Sosnowcem. Mikrofon prawie wypadł mi z ręki. Taki afront dla tych miłych słuchaczy! Przeprosiłem i koncert potoczył się dalej, owacyjnie oklaskiwany na zakończenie.

Wybrnąłem z PIT-em, ale ta cierpka dla mnie anegdota towarzyszy mi od tamtego czasu zawsze, kiedy wysyłam ostatniego kwietnia swój PIT. Robię to w ostatniej chwili, tak dla tradycji i chwili refleksji nad młodością i spontanicznością, jaką mieliśmy wówczas wszyscy, przyjaciele i współpracownicy Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie.

Małgorzata Sętowska (pseud. art. „Balbina”), pedagog, artysta plastyk, bajkopisarka

Współpracuję z Ośrodkiem Promocji Kultury „Gaude Mater” od początku jego istnienia. W ramach działań Stowarzyszenia „SZANSA – Pomoc dzieciom”, wspólnie z Agatą Grzybowską, przewodniczącą stowarzyszenia, (ja byłam jej zastępcą), co roku organizowałyśmy charytatywną „Aukcję rzeczy dziwnych, śmiesznych, poszukiwanych”. Pieniądze uzyskane z aukcji były przeznaczane na paczki mikołajkowe i świąteczne dla dzieci z rodzin dysfunkcyjnych i dzieci z Domu Małego Dziecka. To były duże imprezy. Sala była wypełniona po brzegi. Po takich akcjach każdorazowo mogłyśmy obdarowywać prezentami przeszło 200 dzieciaków. Z uzyskanych środków organizowałyśmy też w „Gaude Mater” imprezy mikołajkowe, na które, oprócz Świętego Mikołaja, zapraszani byli animatorzy zabaw i gier, wzbogacając nasz program.

Byłam też inicjatorką spotkań samorządów młodzieżowych pod hasłem „Nasze sprawy”. To było w latach 1995, 1996, 1997 i chyba 1998. Tak, w Ośrodku „Gaude Mater” odbyły się cztery takie spotkania, zyskując aplauz jego uczestników. Różne były motywy przewodnie tych spotkań. Gorąca dyskusja rozgorzała przy temacie „Porozmawiajmy o miłości i przyjaźni”. Po wymianie myśli zaprezentowany był spektakl teatralny „Mały książę”. Chodziło nam o stworzenie dyskusyjnego forum. Imprezy towarzyszące miały stanowić dodatkową atrakcję dla tych młodzieżowych mitingów.

W OPK „Gaude Mater” odbyły się promocje czterech moich książeczek, bajek dla dzieci. Promocjom towarzyszyły wystawy moich obrazów.

Irena Biełuńska, poetka, członki Klubu Literackiego „Złota Jesień”

Klub Literacki „Złota Jesień” ma wiele do zawdzięczenia Ośrodkowi Promocji Kultury „Gaude Mater”, w tym przede wszystkim swoje istnienie. Jestem członkinią Klubu od czasu jego powstania, ale nie byłam jego założycielką. Po raz pierwszy do OPK „Gaude Mater” trafiłam w 1999 roku z Marianną Falkowską, założycielką Klubu i jego wieloletnią przewodniczącą, na Turniej Jednego Wiersza. Turniejowe spotkania odbywały się w każdą ostatnią środę miesiąca, a ich atmosfera i życzliwość organizatorów zachęcały zarówno do czytania tekstów, jak i do przysłuchiwania się prezentacjom. Można było poznać ludzi zainteresowanych poezją, piszących wiersze i oraz tych, którzy te wiersze oceniali. Marianna Falkowska i Lena Głowacka systematycznie uczestniczyły w turnieju i wpadły na pomysł, by założyć coś w rodzaju klubu, gdzie osoby piszące – w różnym wieku, niekoniecznie starsze – mogłyby czytać swoje wiersze, rozmawiać o nich i ewentualnie uzyskać opinię o nich – fachową pomoc i poradę. Turniejowe jury pomysł poparło i tak obie Panie udały się do ówczesnej dyrektor OPK „Gaude Mater” Małgorzaty Nowak, która propozycji okazała przychylną i opiekę nad inicjatywą utworzenia klubu literackiego powierzyła Pani Marioli Florek. Przydzielono nam salę na spotkania, zatrudniono konsultanta w osobie znanego poety Tadeusza Gierymskiego, a następnie opublikowano informację w lokalnych mediach o istniejącym klubie literackim, który od panującej właśnie pory roku nazwany został „Złota Jesień”. Pełną parą klub ruszył w 2000 roku.

Przez cały czas jesteśmy pod troskliwą opieką OPK „Gaude Mater”. Organizacja i funkcjonowanie Klubu odbywają się bez żadnych kosztów, które mieliby pono-

sić uczestnicy spotkań i bez żadnych zakłóceń – każda środa od godz. 16 do 17 jest nasza. Obecnie naszą konsultantką jest literaturoznawczyni dr Beata Łukarska, wielce życzliwa, ale też wymagająca w stosunku do naszych literackich poczynąń. Korzystamy z pomieszczeń i z wyposażenia OPK „Gaude Mater” stosownie do naszych potrzeb – na spotkania warsztatowe i okolicznościowe, na spotkania integracyjne z innymi klubami, na promocje książek członków Klubu i na nasze jubileusze – w 2015 r. świętowaliśmy 15-lecie istnienia Klubu. Pomoc dotyczy także przygotowania zaproszeń i plakatów, oprawy artystycznej, w tym zwłaszcza muzycznej, pomocy technicznej, przygotowania poczęstunku i innych kwestii, związanych z tzw. logistyką. Dzięki uzyskanym z funduszu CARA dotacjom publikowane są nasze wiersze – światło dzienne ujrzały trzy tomy *Antologii Poetów Klubu „Złota Jesień”* oraz książka jubileuszowa *W kręgu lat, w kręgu przyjaciół*.

Korzystamy też z różnych przywilejów, z zaproszeń na promocje, koncerty, spotkania ze znanymi ludźmi. Jesteśmy traktowani jako pełnoprawni uczestnicy, niejako przynależni do Ośrodka. Przez lata współistnienia związaliśmy się także osobiście z Pracownikami Ośrodka, od których doświadczamy wiele troski i bezinteresownej życzliwości. Było to szczególnie widoczne po śmierci Ś.P. Marianny Falkowskiej, kiedy spotkaliśmy się na wspólnej mszy św. Najbliższymi naszymi współpracownikami pozostają Pani Mariola Florek i Pan Robert Sękiewicz, ale wielkiej życzliwości doświadczamy także od obecnego dyrektora OPK „Gaude Mater” Pana Tadeusza Piersiaka, od sekretarki Pani Kasi Strojec, od księgowej Pani Bogumiły Jodłowskiej.

Naszą wdzięczność za życzliwość, gościnność i opiekę staramy się wyrażać nie tylko przy okazji jubileuszu, który jest dobrym powodem, by o tej wdzięczności napisać i aby życzyć Ośrodkowi Promocji Kultury „Gaude Mater” długich lat funkcjonowania, tego, by się ciągle rozwijał i nie tracił swojego życzliwego podejścia

do ludzi i ich inicjatyw. Pracownikom Ośrodka zaś życzę w imieniu członków Klubu wiele radości i satysfakcji z wykonywanej pracy i z relacji z ludźmi oraz tego, by ludzie przychodzili tutaj tak chętnie, jak my przychodzimy i aby jak najdłużej się tu zatrzymywali. Sto lat!

Zbysław Janikowski, literat

Od kilku lat Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” stał mi się bardzo bliskim. Tak, tak, ja jako straszny pan ni z tego ni z owego nabrałem wiatru w żagle (a znam uroki morskiego żeglowania), wolny od obowiązków, jakie wynikają z zawodowej pracy, zacząłem bawić się urokiem pisanego słowa, a że głowa pełna wspomnień, to i tematów nie brakowało. Pisałem. A jak się już coś napisało, to (każdy piszący o tym wie) chciałoby się ujrzyć ten własny tekst na białych stronicach zadrukowanych czarnymi literkami...

Sprężyłem się, zaangażowałem bez reszty, znalazłem przychylnych ludzi, instytucje, sponsorów, wydrukowałem to i owo, raz była to gazeta, innym razem książka lub broszurka...

A jak już to coś okazało się drukiem, to i publicznej prezentacji zapragnąłem...

To był kolejny problem, chodziłem, prosiłem, niestety, większość drzwi była zamknięta...

I wtedy trafiłem tu na Dąbrowskiego 1, nie odmówili, pomogli...

I zaczęła się współpraca, spotkania...

I było tych spotkań bez liku, a publiczności też nie brakowało...

I mam nadzieję, że wszyscy zadowoleni byli – bo ja – tak.

DZIEKUJĘ!
I STU LAT ŻYCZĘ!



Janusz Mielczarek

BÓL PODZIELONY

W grudniu 2012 roku zdarzyło nam się, w Pałacu Małachowskich w Nałęczowie, odbierać nagrody w Konkursie Literackim „Śladami Żeromskiego”. Zapoznanie było więc zdawkowe i przelotne. Szacowne Jury, któremu przewodniczył autorytet nie lada, bo prof. Józef Fert, nagrody pierwszej nie przyznało, a Małgorzacie Grajewskiej i mnie postanowiło wręczyć dwie drugie, równorzędne. W tej sytuacji oczywistym było u nas obopólne zainteresowanie się tekstami „konkurenta”. Teksty wymieniliśmy jakiś czas później.

Okazało się, że nagrodzone opowiadanie Małgosi mieści się na niespełna dwóch stronach, ale jego lektura porażała. Wciągała w otchłań matczynego bólu wyartykułowanego słowami, od których nie można było się odwrócić, zostawić ich za sobą.

W ten sposób zaczęła się nasza twórcza i zwyczajna, ludzka, przyjaźń. Rok później dostałem od Niej debiutancki tomik wierszy „blisko bliżej za daleko”, który ceniony krytyk Leszek Żuliński nazwał: „kolejnymi trenami”. Pisz o nim m.in.: „To treny bar-

dzo współczesne. Jest w nich codzienność przesiąknięta żalem i bólem oraz nieustająca rozmowa z synem. Rozpamiętywanie, dialog z Przeznaczeniem i Absolutem”.

W wierszu *Logika współczucia. Tryptyk na mądre kobiety* Poetka pisze:

trzy mądre kobiety mówią że nie
pozwalam ci odejść
a ja
kupuję tę gruszkę
dla ciebie
na drogę
do nieba

Prezentując Czytelnikom „Galerii” kilka najnowszych – dla mnie przejmujących – wierszy Małgorzaty Grajewskiej, wierzę, że dodamy jej tym siły do przetrwania kolejnych zakrętów Losu, które na śmierci syna nie poprzestały. Trawersując myśl zawartą w jednej z moich książek, powiem: Robię to z nadzieją, że ktoś przejmie się bólem innego człowieka i w ten sposób podzieli go, przyniesie mu ulgę.



Małgorzata Grajewska

BEZPRZESTRZEŃ POETYCKA

Kołysz w sobie moją krew

jej pogłos opada jak muł na dno
kolejna warstwa żyznych snów tam
i ty postawisz stopę dostawisz ślad
oglądaj się nieustannie i sprawdzaj

przejrzystość góry piętrzy się za tobą
przed tobą szlak jak objawienie że
nie jesteś sam przez wiersz obejmuję cię
nie płacz na koniec nie można prościć

To co się powtarza, jest zawsze inne

Połączyła nas wstążka – sina – od pępka
po miłość do bólu
i imię związało się ze mną. Zyskało nowy
wymiar. Pęczniało.
Rosłam bezkształtna, bez umiaru łamałam
głos i nadgarstki.

Wymagałam korekty na podobieństwo
swoje. Jestem, a ty
nie możesz spać po nocach, storczyki
podpierasz,
podwiązujesz wstążkę.

Nie chcę o tym mówić

dlatego piszę wiersz złowrogi odkąd wiem
że wisi we mnie płytko
zaciemnienie

od tyłu liczę dni do spotkania w cztery
oczy
na szczycie z lewej strony
mały punkcik na kliszy

zeskrob zliż go

Umierałam po stokroć kiedy byłeś łowcą

ciągnęła się za nami strużka ciemnej krwi
do domu pod drzwiami pełne łez
przynosiłeś mnie

sarnę o wielkich oczach

Bezprzestrzeń druga

Łokcie na stole. Po przeciwległych stro-
nach – słowa
wyszczerbione jak fajans. Stukasz palcami
o blat.

Wczorajsze okruszki kłują jak wtedy.

Masz usta w podkówkę, smutne oczy.
Chwytasz za serce,
za butelkę. Nie ma sensu wracać do prze-
powiedni z dzieciństwa,
wróżb na górze przy domu. Może Bóg cię
uratuje.

Każdy chce żyć gdzieś i z kimś. To nie-
możliwe bez czułości – mówisz.
Skulony na parapecie poruszasz firaną.
Mnie poruszasz
i przestrzeń. Bez ciebie
miejsce
przy stole.

Żółte mleczce dmuchawce

żółte mleczce pamiętasz ich pyłek na pal-
cach
tarleś czubek nosa policzki w ustach biała
krew
gorzki smak

od złej żółci opuchła ci skóra nogi i brzuch
taki koniec w Manchesterze lekcja anatomi-
mii
doktora jakiegoś tam

ostatni raz trzymam cię na kolanach
braciszku
trzy kilo mężczyzny w foliowym worku
jesteś
proch

a dmuchawce na kamień spadają
z hukiem

Wcale nie jest oczywiste

miejsce i powietrze gdy odgarniam włosy
z czoła

uliczka Jatki niskie kramy z mięsem wikli-
ną i cuda wianki
pod stopami kocie łby tłok że nie mogę
przejść obok baby
w wełnianej chuście woła *na szagę paniusiu*
nazad odwracam się

bo jest coś w tym miejscu co nie pozwala
przejść
obojętnie Boże spraw bym była
jasna jak ten przesmyk w blasku szkła dziś
na chwilę

po zmartwychwstaniu

**29.09.1341 szept Adelajdy zanim
spuści bose stopy z królewskiego łóża**

dla ciebie świętą będę
czynić powinność niewinność

i różany oddech oddam odejdę

od zmysłów do snów czarownych
gdy wbijesz swój syk o wielki królu
brzmi on przeciągle ciągle

niech wije się we mnie pęd
kielkuje pnie się powojem
w martwe łono zapach świec

nieżywy



Foto ze zbiorów Autorki

Małgorzata Grajewska – bydgoszczanka, nauczycielka języka polskiego i malarka. W roku 2009 straciła w wypadku drogowym czternastoletniego syna, Pawła. W tym też roku zaczęła pisać wiersze i krótkie utwory prozą. Jak sama pisze: „Dziś mam pewność, że czas nie leczy bólu. A wiersze? Te pozwoliły zaledwie obrysować ranę”. W roku 2013 zadebiutowała tomikiem wierszy *bliżko bliżej za daleko*, dedykowanym ukochanemu synowi. W roku 2017 wydaje tomik *Podpalam żyrafę*, w którym opowiada świat przez obrazy, ubogacając je osobistymi interpretacjami o egzystencjalnych odcieniach. Laureatka kilkunastu konkursów literackich. Stypendystka Urzędu Miasta Bydgoszczy. Dotychczas publikowała we „Frazie” i „Okolicy Poetów”.

Bożena Gorska

Ostatni błysk

Zaniedbałam poetkę,
o której nie śmiem
pomyśleć: wiekowa.
Nie odwiedzałam jej
w wierszach.

Teraz ścigam tomiki.
- Wezmę ten
i ten,
i jeszcze ten.
Dlaczego tak drogo?
- Proszę pani
poezja kosztuje.

18 lipca 2017

Mira Kieniewicz-Kopcińska

Z TOMU PRZEMYŚLENIA ROZSIANE

ADDIO PASSATO

Moja starość zbliża się krokiem przyspieszonym
Zmienia po drodze swoje barwy
Złotawe czerwoności w szarość –
Żywi się wspomnieniami z młodości...
Siadam czasem na tej błyszczącej tęczy
Przywołując wiatr do pomocy...
Łapię tamte barwy i tony,
Pozytywka zwalniając swój kolejny bieg – zamiera...
Czarne chmury samotności
Wiszą nad moją głową
Przypominają o odchodzącym czasie,
O beznadziejności istnienia,
O metafizycznym konsonansie wszechświata
Addio passato! Odchodzę w swoje światy...
W swoją przezroczystą ciemność zamykając za sobą drzwi...

26. 10. 2005 r.

MARZEC

Wszedł Marzec do lasu, miał słońce na głowie,
 W ręku plecak a w nim różności...
 Rzucił białe serpentyny na gałęzie drzew
 I białe konfetti na sosnowe igły
 Karnawał się skończył – powiedział
 I obkleił cukrową watą wszystkie świerki.
 Białym obrusem nakrył polanę, gdzie krety
 Przebudzone ustawiły swoje budki.
 Pośpijcie jeszcze trochę – wiosennie będzie
 Za miesiąc – rzekł i włożył słońce do plecaka.
 Cisza zawisła nad drzewami, ptaki usnęły ponownie.
 Popatrz, jaki puchowy szal się za nim snuje – szepnęły
 Mchy szykując się do snu. Mam jeszcze lodowy cukier,
 Kaszkę manną i kryształ – pomyślał Marzec wychodząc z lasu
 I rozdmuchał białą mgłę na pola...

Lichtenfels 01. 03. 2006 r.

WIELKANOC

Nad morzem jest bezpiecznie...
 Melancholia zawisła jak chmura
 I nawet już tak nie boli
 Morze odpoczywa i obdarowuje mnie
 Swoim spokojem.
 A może ja już nie żyję?
 Przesuwam się samotnie plażą
 Nic nie czuję poza mżawką
 Unoszącą się nade mną.
 To tylko teraz na razie jest tak...
 Wszystko we mnie drzemie
 I nabiera sił na kiedyś –
 To kiedyś przyjdzie niebawem jak bumerang
 I pewnie nie opuści mnie już do końca...

Gdańsk 15. 04. 2006 r.

Wiosenne fiołki krzyknęły fioletem
 Witając mnie na łące przed domem
 Żółte zawilcowe kieliszki otworzyły
 Swoje okna na brzegu lasu.
 Żłociste przyłasczki wtórują pokrzywom

Wystawionym do słońca.
 Ptaszki śpiewają, a wiatr drzemie w zaroślach,
 Zmęczenie zabija i myśli urywa...
 Wiosna powitała mnie oddechem zielonym i wilgotnym.

Lichtenfels 24. 04. 2006 r.

PRIMA APRILIS

Zakpiłeś ze mnie, kwietniu,
 Twój prima aprilis już przed trzema laty
 Wystawił mnie na kolejną próbę...
 Idę moją samotną ścieżką,
 Mchy uśmiechają się do mnie coraz bardziej zielono.
 Na pniu opadnięta zeszłoroczna paproć płacze z zimna,
 Czeką, aż ją słońce ogrzeje – przetrwała otulona
 Jesiennymi liśćmi i śniegiem. Ptaki gaworzą nieśmiało
 Jakby się bały, że znowu coś zimowego się stanie...
 Gołe drzewa budzą się powoli do życia.
 Świerki i jodły coraz jaśniejsze – nawet
 Szyszki podniosły swoje łuski po deszczowej kąpieli.
 Złamana brzoźka zagroziła mi drogę,
 Poglaskałam ją i zabrałam gałązkę – stoi w wazonie.
 Czas pasyjny trwa... Męka jest i będzie, krzyż przygniata –
 Nie ma we mnie nadziei tylko potrzeba jej...

Lichtenfels 01. 04. 2006 r.

W MAJU

Las śpiewa, las tańczy, las wibruje...
 Konwalie uwodzą zapachem i bielą trużą
 Ptaki kanty układają i wyśpiewują tryle.
 Liście szumią zielone kołysanki
 A wiatr dyryguje...
 Obloki pędzą jak szalone
 Prosząc słońce o wybaczenie
 Za ten pośpiech daremny...
 Sosny potargane wiatrem
 Leżą na ścieżce wypuszczając
 Nowe pędy. Pachnie żywicznie,
 Sosnowo, majowo –
 A nadzieja unosząc się umiera...

Lichtenfels 22. 05. 2006 r.

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA

Wkrótce Noc Kupały, noc świętego Jana
 Noc cudowna, świętojańska, noc zaczarowana...
 Księżyc obserwuje wszystko dookoła
 Kwiat jednej nocy dziś wonią zawoła
 Zalśni na chwilę biało w mateczniku –
 A dzwonki fioletowe i ty mój krwawniku
 Pomóżcie mi w czarach medytować w nocy...
 Połączcie się z dziurawcem, zielem dziwnej mocy

I paproć przyjaciółkę weźcie do grona
 Aura będzie fioletowa i żółto-zielona
 I jeszcze kogoś w różu dobierzcie
 Będzie nie do pary, w piątkę czary nieście...
 Niech pachnący powój, pnący i różowy
 Kabałę zapłacz – sabat już gotowy...

CANTATA

Ptak odśpiewał w skupieniu leśne ostinato
 Ukryty między drzewami liści zieloną szatą
 Przybyły inne ptaki zewsząd, do pomocy
 Nastrójmy się więc dobrze, zaśpiewamy tej nocy!
 Zaśpiewamy tkliwie, hucznie i radośnie,
 Melancholijnie, smutno, może też żałośnie?
 Zaśpiewamy w major a także i w minor
 Da capo a capella, całym gardłem con cuor.

SABAT

Niech spełni się wołanie, czekanie i trwoga
 Zapalmy ogień, kadzidła, dla trójgłowego boga.
 Hekate – powiernico mych tajemnic nocnych –
 Przybywaj tu pogadać o moich planach rocznych,
 O radościach, uśmiechach, o snach niespełnionych,
 O miłości i zdradzie, o sercach wzgardzonych,
 O mych smutkach, bólach, łzach wylanych nocą,
 Odprawimy CZARY – będą naszą mocą...

REQUIEM – LAMENTOSO

Moja struna pękła, wibrując zadrżała
 Spoglądając w górę, cichutko załkała
 Nie mam siły dłużej śpiewać na tym świecie
 Zostawcie mnie już niemą, tu u was na mecie...
 Nie pozwólcie wracać z powrotem na ziemię
 Tam wieczna ułuda, pogoń i zmęczenie...

LEWITOWANIE

Otulcie mnie chmurą i zorza polarną,
 Śniegiem, ciepłym deszczem... Gwiazdy mnie ogarną,
 Uniosą wysoko, gdzie księżyc zaprasza,
 A na nim Diana swoje strzały zrasza
 Pyłem księżycowym, by na drodze mlecznej
 Trafic kogoś, kto chciałby tutaj zostać wiecznie...
 Prowadźcie mnie moje Sylfy – pragnienie narasta
 Dopelni się wszystko. Pst! Iskierka zgasła...

20. 06. 2005 r.

**Mira Kieniewicz-Kopcińska**

– absolwentka Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Poznaniu. Występowała jako solistka w Teatrze Muzycznym i Operze w Poznaniu oraz w Operze Bałtyckiej w Gdańsku, w teatrach dramatycznych w Częstochowie, Bielsku-Białej, Słupsku. W latach 1987-2006 mieszkała w Niemczech, gdzie koncertowała oraz prowadziła edukację muzyczną. W 1995 r. założyła wraz z mężem Teatr Muzyczny „Tritonus”, który brał udział w warsztatach prowadzonych na terenie Polski i Niemiec. W 2003 r. otrzymała wpis do Złotej Księgi Miasta Altenkunstadt za szerzenie kultury niemiecko-polskiej. Po powrocie do Polski pracowała jako pedagog na Wydziale Jazzu i Rozrywki Akademii Muzycznej w Gdańsku do 2011 r. Wiersze pochodzą z debiutanckiego tomu zatytułowanego *Przemyslenia rozsiane*, wydane przez Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki w 2015 r.

Małgorzata Franc

INSPIRACJE POETYCKIE

ZGUBIONE SŁOWA

*Pani Bożenie Gorskiej
w podziękowaniu za wiersze*

Braku nadmiarem
nie wypełnią
nie zamkną krzyku
w niemej ciszy
zgubione słowa
jak potoki trwać będą
choć trudno je usłyszeć.

Odwieczną drogą
wstążką ciemną
nagłym szelestem
własnych uczuć
zgubione słowa
jak drogowskaz w tym śnie
co jeszcze się nie przyśnił.

Cichym trzepotem
skrzydeł jasnych
w lekkim westchnieniu
natchnień cichych
zgubione słowa
jak motyle lśnić będą
na granicy myśli.

A kiedy wreszcie
z niepokojem
odnajdą nagle
czyjeś ręce
zgubione słowa
jak anioły
czule otulą nasze serca.

ZBŁĄKANE DUSZE

*Cykl inspirowany wierszem Roberta Frosta
„Ogień i Lód”
(w przekładzie Ludmiły Marjańskiej)*

Jak we śnie

Ludzie mówią,
życie jest drogie
inni twierdzą,
że nie.
Że wybrałam
inną własną drogę
i przetrwałam
gdy grano na trwogę
mówię drogie
życie o którym się wie
że naprawdę
wcale nie jest
drogie jeśli kończy się
tak jak we śnie.

Zbłąkane dusze

Na skale
odartej z nadziei
żaden ptak
nie zaśpiewa
na drzewie.
Jednak czasem
i ona się weseli
kiedy przysiądą
na niej i przylgną
jak okruszek
zagubione w niemej
przestrzeni
biedne
zbłąkane dusze.

Na fali

Kajdany zdjęte
 ręce już nie bolą
 i serce wolne
 czy aby na pewno?
 Pamięć powraca
 tą melodią rzewną
 która się jeszcze kołysze
 na fali.

I wiatr niestraszny
 który łódką rzuca
 ocean wspomnień
 płonie barwą szarą
 Nim wszystko
 zniknie nim wszystko
 zapomni jeszcze się
 ludzi nieskończoną
 wiarą.

Rozbitek

Zimne spojrzenie
 lodowatych oczu
 nie zamknęło
 mu ust
 ciągle krzyczał.
 Zabrała mu wszystko
 nawet tęsknotę
 kiedy próbował
 zasnąć.
 Był za blisko
 to niebezpieczne
 zbliżyć się do
 doskonałości.
 Ostatecznie
 zawsze zostajemy
 sami.

Na drogę

Mówią
 że koniec już blisko
 inni, że nie.
 Że tu było już wszystko
 nawet na dnie.
 I piękne kwiaty
 umarły już.
 Pościął je bezsenny
 mróz.
 I teraz tylko ogień
 pozostał nam.
 Wśród złorzeczeń
 i przekleństw
 które też znam.
 Lecz ich nikomu
 nie pošlę na drogę
 bo wtedy zmienię się
 w lód...
 Nie w ogień.

13. 06. 2017 r.

Grzegorz Słobodnik

ZAPALANIE ŚWIATŁA

Brzemie

Urodziłem się w
 Starym Świecie
 stołecznego miasta
 gdzie za wszystko
 płacono złotymi
 myślami
 Urodziłem się w
 beztroskim pałacu
 który po zewnętrznej
 znalazł się niedaleko
 wyspy Uznam
 Urodziłem się w
 okolicy Nadbrzeżnych
 Bulwarów
 skąd fale skakały
 jak kozice ze skośnych
 gór
 do topieli ruchliwego
 morza
 Urodziłem się przed
 Wielką Wojną
 i widziałem jak
 różni ludzie
 szukali pustych miast
 do życia
 Urodziłem się ani
 za późno ani za
 wcześnie
 od wczoraj liczę
 zielone obłoki
 nad własną głową
 i jem czerwone
 pomidory
 z talerza na stole

Zapalanie światła

Czy wiersz jest pytaniem
 czy odpowiedzią
 i tak i nie powiedziała
 Helena przeglądając
 dawne fotografie
 uśmiechy i łzy bywają
 złudne
 jak niby piękne życie
 i zły los
 i jeszcze powiedziała
 że mężczyzna nie jest
 zwykłym przypadkiem
 tylko drzewem które
 niecierpliwie rośnie
 w milczącym lesie kolorowych
 oczekiwań

Przebudzenia

*

Wyganiał nocne sny
 jak nieproszonych gości
 a później karcę siebie
 za brak miłości do
 świata
 zamykam oczy przed
 każdą przeszkodą
 w nadziei
 że uda mi się ją jakoś
 pokonać
 bez składania obietnic
 poprawy

*

Odczuwam pragnienie
 w posuszy nowych
 pomysłów
 długopis napręży się do
 skoku
 temat staje się coraz

blіszszym znajomym
prawie krewnym po
siedmiu dniach
głódnego tygodnia

*

Kto znalazł sam
siebie
mówi o życiowym
szczęściu
dotyka czule wąty
kształt kaźdej litery
i błógosławi myśl
złapaną w motylowym
tańcu
na progu przypadkowego
zdziwienia
w czasie wędrówki
niespełnionych godzin

Podróż do domu

Prawie zawsze poda
nam rękę
przypadkowy zbieg okoliczności

Chodziłem stłamszony z
innymi
wypchnięto mnie z tłumu
w pobliżu Wielkiego
Jeziora

Byłem syty i zadowolony
pływałem z rybakami
łowiłem niewinne ryby

Po kilku latach poeci
wyszli na ulicę
niosąc tylko słowa
jak lustra przyszlých
wydarzeń

Na rogach stali ochroniarze
porządków
i liczili grymasy zawirowań
wiatru

Na balkonach domów
bująy się
róźnobarwne
chorągiewki pytań
o wszystko

Strusi lombard

Zastawię trzy pióra
za cztery dachówki
z żółwich pancerzy
będę wodoodporny
i skryję tysość
upierzenia
Kto dzisiaj czyta
poezje
chyba tylko
nie pierwsze naiwne
panienki
oraz kandydaci na
poetów
z blokowisk podmiejskich
albo spacerowicze po
parkowej zieleni
która jak paw
napawa się swoją
bezzradnością
i wysokimi śniegowcami
w razie deszczu

a Pani chodzi ciągle
obok mnie
ale ja już nie jestem
sobą
teraz piszę wiersze

Dzień ósmy

Z każdego okna
słowo
z każdego balkonu
zdanie
z chmury tylko
milczenie
grzyby założyły od
deszczu kapelusze
ptaki przysiadły na
drutach elektrycznych
telefony zamilkły
ze wstydu
tematy były podrzędne
i słabo iskrzyły
wszystkie przepowiadnie
zgromadziły się na moście
pod wezwaniem
dziewięciu srebrnych
aniołów
i śpiewały od rana
do wieczora
te same piosenki
bociany wyleciały
z winopaju do swoich
gniazd
rosa świeci gwiazdami
na niebie
i szuka w jasnych
przestrzeniach
wolnych miejsc
do powrotu na ziemię

Misja

Pamięci Feliksa Netza

Wyruszyłem z innymi
ludźmi
ku nowym czasom
wszyscyśmy otrzymali
znaczki
z płonącym słońcem
one miały nas doprowadzić
do nieulewnej ciszy
i spokoju
za nami została spalona

zieleni
i zwęglone kikuty drzew
szukam śladów
znajduję je i tracę
zamyślam się nad
prostą drogą ale
zdarzają się tylko
zakamarki pojęć i gry
towarzyskie
oraz popłoch ucieczek
Znów zgubiłem Przyjaciela
zamknę się teraz w astralnej
baszcie
i rozpocznę poszukiwania

Grzegorz Słobodnik urodził się w Warszawie. Studia polonistyczne ukończył w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach. Jako poeta debiutował w Radiu Katowice i dodatku literackim „Panoramy Śląskiej”. Był współzałożycielem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, współtwórcą grupy literackiej „Reduta 57”. Profesor szkoły średniej. Przez kilkadziesiąt lat był związany zawodowo z pracą nauczycielską w szkolnictwie górniczym w Katowicach i w Chorzowie. Od roku 1960 nie publikował swoich wierszy. Do czynnej aktywności literackiej wrócił pod koniec lat osiemdziesiątych. Zasłużony działacz Nauczycielskiego Ruchu Literackiego. W latach 1995-2015 społecznie pełnił funkcję prezesa Nauczycielskiego Klubu Literackiego Związku Nauczycielstwa Polskiego Okręgu Śląskiego. Jest autorem następujących zbiorów wierszy: *Ucieczka w strofy* (1988), *Strome brzegi* (1990), *Wiersze na późny wieczór* (1992), *Nowe narodziny* (1993), *Wiersze* (1995), *... i był dzień* (1998), *Trzecia pogoda* (2002), *Wiersze ze Śląska* (2006), *Kaprysy Syzyfa* (2007).

Zbysław Janikowski

KMINEK

Ten czas był trudny nawet dla koni...

Mały Kminek przyszedł na świat w środku pierwszej zimy wielkiej i okrutnej wojny, w czasie, gdy wszędzie było zimno, biednie i bardzo, bardzo smutno.

Spytacie zapewne, dlaczego nadano mu imię Kminek, otóż maść jego była kminkowa, nie gniada, nie kara, nie bułana ani też nie srokata, maść, która nie znajdowała odpowiednika w żadnej ze znanych końskich maści, po prostu kminkowa i już, więc został Kminkiem.

Świat, na którym się pojawił, pełen był wojennego okrucieństwa, wszędzie panoszyły się obce wojska, które uznały się za panów podbitych ziem, po domach oplakiwano zagubionych na froncie ojców i synów, docierały pierwsze wieści o uwięzionych w obozach jenieckich, o poległych w bojach i o tych, co z resztkami wojsk uszli szczęśliwie za granicę, by na obcej ziemi prowadzić dalej walkę z najeźdźcą, walkę o odzyskanie swojej Ojczyzny.

W tym chaosie pojawił się Kminek, ale po kolei.

* * *

Gdy wybuchła wielka wojna, dwie starsze panie, siostry Kazia i Józia, wyruszyły konnym wozem zaprzężonym w dwa dorodne gospodarskie konie w podróż z bardzo ważną misją. Otóż na wóz załadowano pocztową kasę, którą należało wywieźć w bezpieczne miejsce z dala od frontu, od nacierającego nieprzyjaciela. Była to sporych rozmiarów żelazna skrzynia, w której przechowywano pieniądze, pocztowe pieczęcie, tajne pisma, instrukcje, pokwitowania przesyłek i inne dokumenty. Ewakuujący się pocztowcy zlecieli im to zadanie, bo sami podążyli na rowerach w wyznaczony rejon koncentracji. Babcie nie odmówiły, bo to i piękny patriotyczny obowiązek, a na dodatek córka Kazi na tejże poczcie urzędniczką była, no to jak matka rodzonej a ukochanej córeczce odmówić mogła? Dwie Babcie, bo tak będziemy je nazywać – zresztą każda z nich miała już kilkoro wnucząt – miały zawieźć rządowe mienie do powiatu, raptem kilkanaście kilometrów. Niestety, w wyznaczonym miejscu nikogo nie zastały, a pilnujący budynku wartownik powiedział im, że urząd przeniósł się do sąsiedniej miejscowości.

Babcie, rade nierade, ruszyły w dalszą drogę i tak od jednego miasteczka do drugiego, bocznymi drogami, aby uniknąć bombardowania przez wrogie samoloty, przez walące się od bomb mosty, płonące miasteczka i wsie, leśne dukty zatarasowane zwalonymi drzewami, po kilku, a może kilkunastu dniach wędrówki dotarły do stolicy, do przypadkowego celu swej wojennej wędrówki, Poczty Głównej.

Niestety, tam również nie było już nikogo, a ostatni urzędnik uśmieł się serdecznie z poświęcenia dwóch odważnych i uczciwych kobiet. Rozładowali pocztową kasę, komisyjnie (dwie Babcie i ten urzędnik) otworzyli żelazną skrzynię, w której znajdowało się aż trzydzieści pięć złotych. Urzędnik, nie zwracając uwagi na surowe pocztowe rygory, dał całą kwotę dzielnym kobietom na zakup paszy dla koni i koszty powrotnej podróży. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że pieniędzy tych nie wystarczyło prawie na nic. Mało tego, jeden z koni został ranny w nogę odłamkiem bomby i poważnie okulał. W tym czasie wokół stolicy zamknął się pierścień oblężenia i nasze dzielne wędrowniczki pozbawione praktycznie środków do życia, zostały uwięzione w oblężonym obcym mieście. Jakby wszystkich nieszczęść było jeszcze zbyt mało, rana na nodze Gniadego nie chciała się goić i po kilku dniach chorego, mocno już wychudzonego konia, trzeba było zabić. Oczywiście zaraz znalazło się wielu amatorów koń-

skiego mięsa, dzięki temu nasze dzielne Babcie w drodze handlu wymiennego wzbogaciły się o trochę kaszy i mąki, jakieś wojskowe suchary, a co najważniejsze, o trzy litrowe butelki spirytusu.

Wojna niesie ze sobą kolejne nieszczęścia i wkrótce drugi ocalały koń został zarekwirowany przez wojsko, czyli po prostu powołany do zaszczytnej służby wojskowej w obronie stolicy. Elegancki – jak na defiladzie – porucznik wystawił na urzędowym wojskowym kwicie z wielkim orłem w koronie i bardzo ważnymi wojskowymi pieczęciami – pokwitowanie, że armia bierze, a rząd zwróci po zwycięskiej wojnie... Po latach opowiadały, że nie dany im był widok dorodnego Kasztana w szeregach wojska i tego po latach najwięcej żałowały z wojennej przygody.

Cóż, koni nie było, wóz stał w jakimś podwórzu bezużyteczny, stolicę zajęli nieprzyjaciele, a nasze dzielne Babcie siedziały w spustoszonej stolicy o dwieście kilometrów od rodzinnej wsi z kilkoma srebrnymi monetami, woreczkiem kaszy i trzema litrami spirytusu.

I wtedy, tak jak w bajce, zdarzył się cud: w podwórko, w którym nasze dzielne Babcie koczowały na bezużytecznym wozie, wszedł jakiś obdarty żołnierz z rozbitej armii. Jedną ręką na temblaku, drugą prowadził zabiedzoną, widać, że cierpiącą, klacz. Konisko wywęszyło zaraz resztkę słomy, którą kiedyś wymoszczony był wóz i jak przystało na kogoś, kto nie jadł kilka dni, pożarło wszystko z ogromnym apetytem. Wdzięczne za otrzymany posiłek zwierzę stanęło przy wozie i mimo nalegań wojaka nie chciało się ruszyć. Babcie uznały to za uśmiech losu, a że sprytu i odwagi im nie brakowało, dobiły z żołnierzem targu i za jeden z posiadanych litrów spirytusu odkupiły od niego konia. Wymusiły na nim jeszcze, że poszedł szukać jakiegoś pojazdu lżejszego od ciężkiego gospodarskiego wozu, a ten wrócił wkrótce zaprzężony w zgrabną lekką bryczuszkę. Było czym wracać do domu. W międzyczasie odkryły, że klacz jest ranna, postrzelona w grzbiet, jak umiały, opatrzyły ranę, zaprzęgły konia do bryczki i można było ruszać w drogę powrotną. Nie trzeba wspominać, że w międzyczasie nieprzyjacieli zajęli stolicę, że zapanował chaos, że nie było już naszego wojska, a wszędzie panoszyły się zwycięskie mundury w kolorze *feldgrau*.

Tak uformowała się mała karawana – dwie starsze panie, żołnierz i zaprzężona do zdobywania bryczki niedomagająca klacz. O świcie ruszyli w powrotną drogę, która miała zaprowadzić ich do zagubionego gdzieś w wojennej zawierusze domu. Okazało się, że żołnierz, który przyprowadził, a następnie sprzedał Babciom klacz, świetnie powozi, a o konia dbał jak o swoją ranną siostrę. Z kozła bryczki, czyli z wysokości stanowiska powożącego, wypatrzył porzuconą wojskową końską uprzęż, którą zabrał i niezwłocznie wymienił, by choć trochę ulżyć cierpiącej klaczy. Wydostanie się z miasta i dotarcie do pierwszych jako tako wyglądających siedzib ludzkich zajęło im całutki dzień. Nocowali w jakiejś stojącej na uboczu samotnej szopie, a żołnierz, nim zapadły ciemności, oporządził klacz, maścią, którą miał w plecaku, natarł ranę i otarcia od niedopasowanej uprzęży, potem z czeluści plecaka wydobył kilka wojskowych sucharów i niczym troskliwa matka nakarmił nimi zmęczonego konia, wreszcie owinięty w wojskowy szynel ułożył się do snu na glinianym klepisku szopy, a wszystko w milczeniu, bez jednego słowa. Babcie patrzyły na to i też się nie odzywały, wiedziały, że tak jak i one ich towarzyszy podróży nic nie jadł przez cały dzień, cóż – cierpieli wszyscy jednakowo. Świt zastał starsze panie wtulone w siedzenie bryczki, niestety, ani konia, ani wojskowego nie było. Nim uświadomiły sobie, że znalazły się w więcej niż tragicznym położeniu, zza cienkich ścian szopy dobiegło końskie stąpanie, a do szopy weszli uciekinierzy.

– Pobudka! – padła żołnierska komenda – My już po śniadaniu! Strzałka – bo okazało się, że klacz tak się nazywa – objadła całą jabłonkę, napiła się w strumyku, a ja nawet

ogoliłem moją zarośniętą głowę. Śniadanie! – zakomenderował i do wnętrza bryczki wyspał przyniesione w pałatce świeże soczyste jabłka. Co to była z uczta!

Wreszcie po kilku dniach podróży przez zniewolony kraj zajęty przez butnych najeźdźców, podróży przerywanej zatrzymywaniem, rewizjami, szykanowaniem, a nawet groźbą rozstrzelania, dotarli w rodzinne strony. Pod wieczór stanęli w Jankowej zagrodzie, tu ślady wojny były namacalne. Domostwo i obejście były puste, a młodszy brat Janka, który gospodarzył rodzinnym majątkiem, gdzieś się zawieruszył. Chałupa była opuszczona, a wybite okno świadczyło, że ktoś „zwiedzał” tę opuszczoną siedzibę. Janek przystawił do drzwi drewniany pieniek i z jego wysokości ze skrytki nad drzwiami wydobyl staroświecki klucz, którym otworzył od dawna nieotwierane drzwi. Izby wyglądały tak, jakby przeszedł tędy huragan, bo i chyba przeszedł, wszystko było dokładnie splądrowane, a wszystkie sprzęty i ubrania, które miały jakąkolwiek wartość, zniknęły. Janek tylko westchnął, nawet nie zaklął.

– Siadajcie – powiedział wskazując na kulawą ławę, jedyny w miarę użyteczny sprzęt, który pozostał. – Trzeba nam jakoś się urządzić, choć macie do domu tylko z dziesięć godzin jazdy, na noc was nie puszczę. Poczekajcie – dodał po chwili – jakoś się urządzimy – to mówiąc zniknął. Przyszedł po dobrej chwili z naftową gospodarską lampą, taką, jakie używane były do oświetlenia pomieszczeń gospodarskich. – Światło, choć marne, mamy, jednak wszystkiego nie zabrali, poczekajcie – to mówiąc zniknął ponownie. Wrócił niosąc spory połącz solonej słoniny i wojskową czapkę, w której leżało kilka jajek.

– Strzałkę opatrzyłem, do jutra odpocznie – oznajmił. – Patrzcie – pokazał czapkę z jajkami – nawet stara kura się uchwala i jaja jak dawniej w tym samym miejscu składa, dobra kokoszka! – podsumował.

Na stryszku odszukał jeszcze worek z mąką, a że studni nikt nie ukradł, to i wody naciągnął, i ogień pod kuchnią napalił, a babcia Józia pysznych placek na słoninie nasmażyła, Kazia zaś jajecznice wyborną sprawiła. I tak pożegnalną ucztę na wojennym rumowisku wyprawili. Huczne to było pożegnanie, a zaangażowany był w nie ostatni litr spirytusu, wojennej zdobyczy, a zarazem wojennego żelaznego kapitału.

Rankiem następnego dnia, nim wyruszyli w ostatni etap wędrówki do swej wsi rodzinnej, pożegnały się z Jankiem, żołnierzem, który z nieznanego człowieka zmienił się w serdecznego przyjaciela i opiekuna. Wieczorem dotarli już do własnych domów.

Tam też panowały inne porządki. Kazia zastała dom, który sprawiał wrażenie opuszczonego, dziadek, który pozostał na gospodarstwie, był wprawdzie na miejscu, ale w ciągu miesiąca postarzał się o kilka lat. Córcie, która była z nim w domu, kazał uciekać i szukać schronienia w odległej zgubionej wśród lasów wiosce u bardzo dalekiej krewnej. Przepadła gdzieś służąca Pela, dziewczyna, która u dziadków była już od kilku lat na służbie i którą traktowano jak domownika. Ze stajni zniknęły pozostałe dwa konie, dobrzy sąsiedzi, obojętni na dziadkowe protesty, zabrali krowy, świnki poszły pod nóż, zniknął nawet wielki łańcuchowy pies Lux, a ze sporej gromadki kur pozostały raptem dwie i tylko piękny a wojowniczy kogut wygrał tę nierówną walkę z ludźmi i zwycięski pozostał na straży swego przetrzeźbionego stadka. Jedynym dziadkowym towarzyszem był stary kocur, który siedział niezmiennie obok zimnego kuchennego pieca. Babcina radość ze szczęśliwego powrotu do domu w tej sytuacji szybko prysła, do tego dochodziła troska o los rozsianych po świecie najbliższych.

Podobnie los obszedł się z jej siostrą Józją, drugą z wędrowniczek, ona też znalazła swój dom na wpół ograbiony i opustoszały.

Cóż pozostało, trzeba było zakasać rękawy i wziąć się do roboty, tym bardziej, że w stajni stała zabiedzona klacz Strzałka, która obie babcie przywiozła z Warszawy. Dziadek, który

w życiu miał już niejednego konia, poszedł do stajni i oniemiał, koń mimo zabiedzenia prezentował się wspaniale, widać było i rasę, i klasę. Dziadek, jak mówią, zakochał się w kłaczcy od pierwszego spojrzenia, tym bardziej, że była jedynym pocieszeniem w tych trudnych dniach.

A dni mijały niemal niepostrzeżenie, pozornie wszystko wracało do normy, odnalazła się najmłodsza córka, którą wybuch wojny zastał w Kaliszu, gdzie 1. września miała rozpocząć naukę. Wróciła też kolejna uciekinierka, ta, która w lasach szukała schronienia, brakowało tylko tej, która wypełniając wojenne pocztowe polecenia na swym pocztowym służbowym rowerze, wojennymi polnymi drogami aż na Wołyń dotarła. Ona to, sobie tylko znanymi pocztowymi kanałami, informację przekazała – wraca i do Częstochowy się udaje, gdzie najstarsza z babcinych córek mieszkała. W Częstochowie u siostry już od dwóch lat przebywał też Jan, najmłodszy z rodzeństwa, dziadkowa duma i nadzieja. Największą niespodzianką było pojawienie się wiernej Peli. Dziewczyna ukrywała się przez niemal cały wrzesień, bo bała się pokazać w prawie pustym domu. Jej sprawką było zniknięcie babcinych pierzyn i poduszek, bo gdy Pela zorientowała się, że nastał czas rabunku, wyniosła te skarby z domu i ukryła je na podwórzu w ogromniej stercie wymłóconej słomy. Zamokły, ale ocalały, a wobec zbliżającej się zimy były nadzwyczaj cenne.

Dziadkowie powoli układali sobie życie i z trudem dopasowywali się do w nowej rzeczywistości. Radość z odzyskanego śmietnika nie trwała jednak zbyt długo. Jeszcze we wrześniu 1939 roku Hitler zdecydował o włączeniu zachodniej części ziem polskich w granice Rzeszy Niemieckiej. W październiku tegoż roku z zabranych ziem polskich stworzono nową niemiecką prowincję o nazwie Warthegau – Kraj Warty (oficjalnie Reichsgau Wartheland), w której znalazła się prastara „niemiecka” ziemia sieradzka. Zaczęło się wysiedlanie Polaków, kilkadziesiąt transportów wysłano jeszcze w 1939 roku do Generalnej Guberni, która była taką niby Polską pod niemiecką okupacją. Akcję wysiedleń zakończono wczesną wiosną 1940 roku. Oczywiście nie ominęła ona dziadków, którzy opuścić musieli rodzinny dom w środku zimy 1940 roku, ale wcześniej...

Na początku listopada pojawił się niespodziewany gość. Któregoś dnia, już późnym wieczorem, ktoś zaczął dobijać się do szczelnie zaryglowanych drzwi. Początkowo nie śmieli otwierać, wszak czasy były więcej niż niepewne, jednak w końcu w dziadku, który nigdy nie pozbawiony był odwagi i fantazji, zwyciężyła junacka dusza – otworzył. Z mroku wyszedł samotny mężczyzna, cień jego ledwie majaczył w nędznym świetle stajennej lampy naftowej, którą dziadek próbował oświetlić przybysza. Nie było potrzeby.

– Jestem Janek – przedstawił się przybysz. – Zima idzie, a z nią zimowa bieda, sam zostałem to i wymyśliłem, że do państwa przyjdę, w obejściu pomogę, Strzałką się zajmę, wszak ona żrebna, wiosną powinna urodzić – tu jego głos zadrżał jakoś miękko – w kupie zawsze raźniej i bezpieczniej.

– Święta prawda – zza pleców dziadka odezwała się babcia. – Czesław, wpuść Janka, zziębnięty i strudzony, a dobrze prawi.

I tak to Janek do dziadków trafił, nie przyszedł jednak z pustymi rękami. Okazało się, że spory drewniany, czterokołowy wózek przyciągnął ze sobą, wózek wyładowany wojennymi skarbami. Na wózku znalazły się przykryte wojskową końską derką dwa worki pszenicy.

– Sam młóciłem – pochwalił się Janek. – Takież dwa worki ziemniaków, tyle zdołałem wykopać nim pierwszy mróz chwycił – dodał.

Do późnej nocy opowiadał, jak o swoje gospodarstwo próbował walczyć, jak ratował resztki niezebranych plonów, jak borykał się z nowymi władzami. Do rana było już niedaleko, gdy skończył, wtedy też zauważyli wszyscy, że tej rozmowie przysłuchuje się skulona w kącie Pela, a po wypiekach na jej twarzy można się było domyślać, że osoba Janka urzekła dziewczynę.

Rano wszystko wróciło na utarte już nowe wojenne tory. Janek krzątał się po gospodarstwie tak, jakby był tu zawsze, a szczególną opieką otoczył Strzałkę. Wyreperował też bryczkę, którą przyjechali z Warszawy.

A piękna klacz zbierała siły, wydobrzała, maści stosowane przez jej wojskowego opiekuna zagoiły rany, odpoczynek i regularnie podawany obrok zrobiły swoje. Już wcześniej dziadek ze znajomym rymarzem dopasowali jej uprząż i piękna klaczka wyruszyła na pierwsze przejażdżki. Teraz jeździli razem z Jankiem, który wspaniale powoził, a klacz bezbłędnie rozumiała wszystkie jego komendy. Na tylnym siedzeniu bryczki rozpierał się zadowolony dziadek, który chętnie gawędził z Jankiem, wspominając swoje młode lata, wielkie polowania, które organizował dla zaproszonych gości, zimowe kuligi, konne gonitwy, słowem wspaniałe miniony czas dziadkowej młodości. Wtedy to dowiedział się, że klacz służyła w wojsku polskim i to na nie byle jakim stanowisku. Pochodziła z elitarnej wojskowej stajni, z której konie jeździły w reprezentacyjnych zaprzęgach, woziły prezydenta i zagranicznych gości najwyższej rangi, uczestniczyły w wielkich państwowych paradach i uroczystościach.

Oczywiście nie dało się ukryć jej obecności w dziadkowym obejściu, a że naprawdę piękna była, to niejednego koniarza zwabiła, przyjeżdżali, podziwiali, niejeden kupić chciał, byli i tacy, co sposoby kradzieży obmyślali. Janek przeniósł się zatem do stajni, a tam urządził się w małej izdebce, która składzikiem narzędzi była. Stamtąd dniem i nocą miał baczenie na Strzałkę. W sąsiedztwie, w majątku odległym zaledwie o 3 kilometry od dziadkowego domostwa, rezydował były pruski landrat, pół Polak, pół Niemiec, Wilhelm Blaszczyński, który teraz odżył, jako straszny pan do rządów się nie pchał, ale majątek, którym dotychczas tylko zarządzał, przejął na własność jako swą niemiecką domenę (wszak kraj ten nie był już Polską, był niemiecką prowincją Warthegau i inne prawa obowiązywały). On też na klacz uwagę zwrócił, do dziadka umyślnego z zaproszeniem posłał, a w zaproszeniu stało, aby dziadek – szanowny Pan Czesław – bryczką w klacz zaprzęzoną w najbliższą niedzielę na obiad do majątku w Kobierzycach przybył. W dziadka dziki zwierz wstąpił, pieklił się, wyzywał, kłął jak przysłowiowy szewc, wreszcie oświadczył, że do żadnego Szwaba jeździł nie będzie i zaproszenia nie przyjmuje. Babcia Kazia, która dziadkowe wybuchy dobrze już poznać zdążyła, odczekała aż furie dziadka opuszczą i wtedy na spokojnie racje swoje wyłożyła i do zmiany decyzji doprowadziła. I tak w pierwszą grudniową niedzielę dziadek Czesław w bryczce się rozsiadł, a w kozuch tęgi ubrany był, pod którym nieużywany od lat garnitur strój dziadka stanowił, a dopełniała go muszka wielkiego motyla przypominająca. Na koźle zainstalował się Jan, strojny w wyglansowane jak lustro buty z cholewami i wojskowe paradne bryczesy koloru khaki, w czarnym surducie i szykownej wojskowej polskiej rogatywce, na której tylko przezornie polskiego orła brakowało. Strzałka prezentowała się równie wspaniale, wprost lśniła, a grzywa i ogon uczesane i odpowiednio ufryzowane szyku dodawały, nawet zniszczona na wojennej tułaczce uprząż staraniem Janka w prawie nową się przemieniła – o wyremontowanej bryczce nie mówiąc. Strzałka pokazała swą klasę, jakiś siódmy zmysł, a może lata służby i treningów podpowiedziały jej, że należy pokazać końską dumę.

I tak wyszykowani pojechali.

Gospodarz okazał się nadzwyczaj gościnny i miły, a nim panowie do zastawionego stołu zasiedli, w saloniku o pięknej Strzałce rozmawiali. W rozmowie uczestniczył też Janek, który o koniu, jego pochodzeniu i rodowodzie wiedział wszystko. Nie dało się też ukryć, że piękna klacz jest żrebna i że najpóźniej w marcu można spodziewać się narodzin żrebięcia. Wreszcie panowie udali się do jadalni, Strzałkę umieszczono w stajni, a Janek trafił do izby służebnej, gdzie jego strój, a szczególnie wojskowa czapka wzbudziły niemałe zainteresowanie wśród

niedzielnie zgromadzonej służby. Oczywiście rozmowy dotyczyły wojennych losów konia i dwóch starszych pań, które były w okolicy powszechnie znane i dalej budziły emocje. Tymczasem przy stole toczyły się bardzo poważne rozmowy, Niemiec pochodzący z Poznańskiego doskonale mówił po polsku, znał również polskie zwyczaje i ambicje, a mimo to proponował dziadkowi odkupienie od niego klaczy, choć ten uparcie odmawiał. Na nic zdały się prośby i groźby, Czesław był nieugięty, konia oddać nie zamierzał, toteż kilkugodzinne pertraktacje skończyły się niczym.

Późnym wieczorem wrócili do domu, niestety, dziadek nie był usatysfakcjonowany przebiegiem wizyty, spodziewał się najgorszego, a to wywnioskował ze słów Niemca. Czekало ich wysiedlenie, bo podpisanie aktu lojalności i poddaństwa oraz niemal niewolnicza praca u okupanta nie wchodziły w rachubę. I tak się wkrótce stało, w kilka dni po nowym roku dostali nakaz eksmisji i wyjazdu do Generalnej Guberni.

Rozkaz był bezwzględny i musiał być wykonany w ciągu 24 godzin. Cóż pozostawało dziadkom, musieli się podporządkować i stawić na stacji kolejowej w mieście powiatowym o wyznaczonej godzinie. Zdecydowali, że pojedzie z nimi Pela, najmłodsza córka, która jeszcze mieszkała z nimi. Miała znowu udać się do ciotki w odległej zagubionej w lasach wiosce i z tej bezpiecznej odległości mieć baczenie na pozostawione na łasce losu gospodarstwo. Natomiast Jan, którym kierowała troska o Strzałkę, zadeklarował chęć pracy u niemieckich gospodarzy. Jak spod ziemi zjawił się niemiecki sąsiad Blaszczyński, właściciel majątku w Kobierzycach, który przyjechał po to, co mu się „należało”, czyli po Strzałkę, on to zaproponował Janowi pracę u siebie. Wiedział, co wart jest były żołnierz, że zna się na koniach i ma do koni rękę, a Strzałka jest jego pupilką i miłością, wystawił nawet *ausweis*, że Jan itd. jest jego pracownikiem i jako taki może poruszać się w granicach powiatu, w którym pracuje.

Nie było rady, otumanieni dziadkowie poddali się tym razem bez walki, Pela spakowała babcine pierzyny, w koszu zgromadziła trochę chleba, osełkę masła i kawałek słoniny, stara waliza pomieściła jakieś przypadkowo wybrane ubrania i... I tu okazało się, jak „wspaniałomyślnym” panem był Blaszczyński, dał wóz i zezwolił, by Janek odwiózł ich na punkt zborny. Dziadkowi na pożegnanie złośliwie powiedział:

– Zaoszczędziłem kupę marek, dobrych niemieckich marek, które teraz by ci się przydały, uparty Polaku!

Mimo wielkich mrozów pociąg ruszył w miarę punktualnie, by przez Śląsk dotrzeć do Krakowa, gdzie miano zdecydować o dalszych losach wysiedlonych. Jakież było zdumienie staruszków, gdy w zatłoczonym wagonie odszukał ich eskortujący transport kolejarz i przekazał wiadomość, że wmuszą wysiąść w Herbach, a stamtąd ktoś zabierze ich do Częstochowy. Dopiero po wojnie okazało się, że było to działanie Janka, który wśród kolejarzy spotkał dawnych kolegów z wojska i oni zorganizowali tę przesiedlkową przeprawę, dali też znać rodzinie w Częstochowie, kto i kiedy przyjedzie. Mimo pozornych ułatwień, łatwo nie było, starzy ludzie i młoda dziewczyna, toboły, kontrole, dokuczanie i złośliwości, wreszcie granica, przepustki, decyzje o przesiedleniu, dokumenty i jeden Bóg wie, co jeszcze, ale wreszcie szlaban graniczny uniósł się do góry. W szopie pełniącej rolę poczekalni oczekiwał syn Jan. Nawet na powitania nie mieli sił, wynajęta dorożka zawiozła ich na miejsce, wreszcie po kilkudziesięciu godzinach nerwów i poniewierki znaleźli się wśród swoich, wśród najbliższych.

I tak to starzy dziadkowie, a wraz z nimi nieodłączna Pela, wylądowali w Częstochowie u najstarszej córki, gdzie pozostali do końca wojny, by wczesną wiosną 1945 roku wrócić do siebie. Był to czas wyjątkowo trudny, w małym mieszkaniu gnieździło się początkowo

siedem, później dziewięć, a po warszawskim powstaniu aż szesnaście osób. Na pewno się nie przelewało, ale głodu nikt nie doświadczył – no, poza panem domu, którego Niemcy w obozie koncentracyjnym na pięć lat uwięzili, cud, że przeżył i wrócił.

Znacznie bardziej komplikowały się losy Strzałki i Janka. Zima jeszcze nie ustąpiła, a była owego roku wyjątkowo sroga, gdy Strzałka się ożrebiła. Była to szczególnie przykra noc, panowała taka zawieja, że nikt nie odważył się wyjść i sprowadzić weterynarza mieszkającego w odległej o zaledwie kilometr chałupie. Poród, który według wyliczeń Janka odbył się dużo za wcześnie, odebrał on sam, pomagał mu wprowadzić sam Blaszczyński, ale co to była za pomoc, Niemca interesowało tylko, czy urodził się koń, czy klaczka i czy wcześniak przeżyje. Żrebak był mały i wątlły, a los jego był więcej niż niepewny, cóż, odbiły się trudy wrześniowej kampanii wojennej. Janek zaangażował się bez reszty w ratowanie małego, stajnia wyścielona była świeżą, czystą słomą, a on pomagał Strzałce, by po porodzie szybko doszła do siebie, pomógł też umyć i oporządzić malucha. Postronny obserwator mógł pomyśleć, że Janek jest nie tylko akuszerem, ale i troskliwym ojcem. Strzałka okazywała mu pełne zaufanie, a nawet wdzięczność. Po kilku godzinach pomógł maluchowi stanąć na własnych, jakże jeszcze chwiejnych, nogach i wskazać miejsce, gdzie mały mógł po raz pierwszy spróbować matczynego mleka. Rano wreszcie sprowadzili weterynarza, ten ocenił działania Janka na piątkę z plusem, obejrzał małego i jego matkę, zaaplikował jakieś medykamenty i wystawił odpowiednie dokumenty. Janek wiedział wszystko o klaczy i ojcu małego, o pochodzeniu Strzałki i jej rodowodzie, a to klasyfikowało ją do końskiej arystokracji. Kłopoty zaczęły się dopiero przy ustalaniu imienia konika, bo ten zjawiając się na świecie wprowadził wszystkich w konsternację, więcej – był autorem wielkiej sensacji, która później szerokim echem odbiła się w środowisku koniarzy. Powodem była maść konika, która nie odpowiadała żadnej znanej końskiej maści. Sierść konika była po prostu kminkowa i to nie tylko w kolorze, bo nawet jej struktura przypominała rozsypane nasiona kminku. Kminkiem więc nazwany przez Janka został, co nie odpowiadało ani landratowi, ani weterynarzowi. Po długich targach pozostawili tę sprawę w zawieszeniu do momentu, aż opadną emocje. Najbliższe dni miały przynieść rozwiązanie problemu, ale Janek nie ustępował, opierał się przy Kminku i w końcu Kminek Kminkiem nie tylko w życiu, ale i w dokumentach pozostał. Wreszcie w ślad za Jankiem i landrat imię to w niemieckim brzmieniu – Kümmel – zaakceptował. Janek w przystępie dobrego humoru tłumaczył to tak: podczas głodowej wędrówki przez zniszczoną wojną wrześniową Polskę klacz pożywiała się tym, co rosło w przydrożnych rowach, a tam dzikiego kminku nie brakowało, ot i skutek.

Zima ustąpiła, wiosna nie przyniosła nadziei na zmiany i poprawę losu naszych bohaterów. Była za to beztróskim czasem dla małego Kminka. Razem ze Strzałką spędzali mnóstwo czasu na wielkim ogrodzonym drewnianymi żerdziami pastwisku, oczywiście pod stałą opieką Janka. A Kminek próbował pierwszych niezdarnych podskoków, biegł na swych chudych, nieproporcjonalnie długich nogach, które podnosił wysoko w górę, co sprawiało wrażenie, że brodzi po wodnym rozlewisku. W połowie roku wyruszył na pierwszą wyprawę poza teren ogrodzonego padoku. Janek zaprzął Strzałkę do bryczki, na niezbyt długiej linie uwiązał Kminka i tak wyruszyli na pierwszą przejażdżkę. Wolniutko jechali polnymi drózkami, Kminek z początku nie chciał ruszyć z miejsca, wreszcie dał się przekonać, a po kilku minutach, gdy nabrał pewności, rozpoczął szalony taniec wokół bryczki. Kolejne przejażdżki uczyły posłuszeństwa i obowiązkowości, Kminek okazał się dobrym i pojętym uczniem, a Janek doskonałym nauczycielem.

Tymczasem świat pędził jak szalony, wojna rozprzestrzeniała się i coraz więcej państw było w nią zaangażowanych, powiększały się obszary cierpienia i tylko majątek w Kobierzcach wydawał się bezpieczny, pozostawał poza głównym nurtem wydarzeń, tu nadal było cicho i spokojnie. Kminek rósł jak na drożdżach, a jego opiekun i Strzałka jak gdyby zapomnieli o wojnie i jej skutkach. Jednak nie na długo, z obejścia coraz częściej odchodzili młodzi mężczyźni powołani do służby wojskowej w Wehrmachcie, a ich miejsce zajmowali robotnicy przymusowi, prawie niewolnicy. Pojawiały się trudności w zaopatrzeniu, rosły również urzędowe żądania coraz to większych dostaw żywności, urzędowi rachmistrze zapisali wszystko, co żywe i wyznaczili terminy dostaw, nie obeszło się bez rejestracji Kminka, który wiosną 1944 roku miał stawić się do służby w Wehrmachcie. Janek ludził się, że do tego czasu wojna się skończy, a z nią wszystkie problemy. Innego zdania był Błaszczynski, on sądził, że do tego czasu na świecie będzie już niemiecki raj, oczywiście bez wojny, bez wyrzeczeń, a piękny koń będzie ozdoba jego stajni, będzie budował jego prestiż pana i dziedzica.

Janek, zajęty wychowaniem i szkoleniem Kminka, dosyć swobodnie poruszał się po całej okolicy i miał możliwość obserwowania, co dzieje się w dawnym dziadkowym gospodarstwie. A działo się niedobrze, niemal natychmiast po wysiedleniu dziadków administracja niemiecka osadziła na gospodarstwie rodzinę Niemców przesiedloną z Łotwy. Było to pokłosie paktu Ribbentrop–Mołotow i element realizacji programu „Heim ins Reich” w ramach niemieckiej polityki *Drang nach Osten* (Marsz na wschód). Wysiedlenie Polaków z ziem „niemieckich” znalazło też ideologiczne uzasadnienie – „Polacy to element niegodny włączenia w społeczeństwo niemieckie”. Tak to w dawnym domu dziadków zamieszkaliby prymitywni ziemscy wyrobownicy z odległej Łotwy. Już pierwszej zimy dziadkowy piękny sad został przez nich wyrąbany, a drewno posłużyło za opał. Zniknęły meble, pokoje w mieszkaniu stały się składem rupieci – oprócz jednego, który spełniał rolę jednej wielkiej wspólnej sypialni. Jedyne kuchnia była pełna życia, u sufitu zawieszono kołyskę, w której co roku rezydował nowy obywatel Tysiącletniej Rzeszy. Kołyska wisiała obok wyrka, w którym zawsze przebywała matka rodzicielka, jak królowa pszczoł pracownice wykonująca swój obowiązek rozbudowy roju. Przydomowe ogrody zmieniły się w pola ziemniaczane, upadła babcina hodowla drobiu, nawet proste maszyny rolnicze poszły w odstawkę, pozostały pługi i koparki do ziemniaków. W gospodarstwie dominowała uprawa ziemniaka, bo tylko to umieli wychowani na łotewskich kartoflanych polach nowi gospodarze. Janek opisywał tę sytuację, a każda przesłana wiadomość sprawiała dziadkom ból. Zresztą przesyłane przez niego informacje były niepełne, przy tym w swoisty sposób zaszyfrowane. Polska korespondencja z tych ziem poddawana była wnikliwej cenzurze, a dozwolona była tylko na odkrytych kartkach, tak zwanych korespondentkach, łatwych do kontrolowania. Listy w ogóle nie przechodziły, a kartki często zawierały szereg skreśleń, skreśleń, których odczytać nie było można. W jakiś cudowny sposób Janek przemycił wiadomość o strasznych rzeczach, które miały miejsce w dawnym dziadkowym gospodarstwie. Otóż wkrótce po nastaniu nowych gospodarzy zaczęło straszyć. Po zmierzchu wokół domu zaczynał krążyć straszny pies, który tak terroryzował domowników, że wyjście za potrzebą stawało się niemożliwe. Interweniujących gospodarzy kilkakrotnie boleśnie pokąsał, a wszelkich prób złapania, a nawet zastrzelenia, skutecznie unikał. Nieliczni dawni sąsiedzi rozpoznali w psie dawnego stróża dziadkowego obejścia, zaginionego we wrześniu Luxa. Legenda stała się faktem i trwała przez pięć lat okupacji, niestety, nie miała *happy endu* – w styczniu 1945 roku pies zginął pod gąsienicami radzieckiego czołgu.

Tymczasem szkolenie Kminka było coraz bardziej wszechstronne, Janek nauczył go chodzić w zaprzęgu prowadząc lekką bryczkę, więcej, czasami, acz niechętnie, pozwalał się osiodłać, a nawet dosiąść, ale tylko Jankowi, nikogo innego, a zwłaszcza Błaszczynskiego, nie tolerował.

Wczesną wiosną 1944 roku armia zainteresowała się Kminkiem, zgodnie z wcześniejszą decyzją miał być powołany do służby w Wehrmachcie. Gdy przyszły decyzje i wezwania, stary Błaszczynski próbował interweniować u władz, niestety, na nic się to zdało, niemiecki *ordnung* tryumfował. Wyznaczono termin dostarczenia konia na punkt zborny i... I okazało się, że Kminek zniknął, miejsce w stajni było puste, a stojąca w sąsiednim boksie Strzałka udawała, że nic nie wie, nic nie widziała, nic nie słyszała. Okazało się, że zniknął też Janek. Na nic zdały się poszukiwania, zresztą przymusowi robotnicy, w większości Polacy, nie przykładali się do tych czynności, oni w skrytości popierali uciekinierów. Zawiadomiona policja też nic nie wskórała, a władze wojskowe miały na głowie zupełnie inne kłopoty – Tysiąclecie Rzeszy było już na dziejowym zakręcie.

A Janek wraz z Kminkiem skierowali się do odległej, zagubionej w lasach wioski, gdzie przebywała najmłodsza córka dziadków. Hania, bo tak miała na imię, zdążyła już wyjść za mąż i urodzić dwie śliczne dziewczynki. Spytacie – jak, przecież wojna, Rzesza, czas niepewny, ano – życie nie znosi próżni, ale to historia na inną opowieść. Tu byli bezpieczni, tu nie zaglądały nawet niemieckie wojskowe patrole, o policji i urzędnikach nie mówiąc.

Wydarzenia znowu przyspieszyły, przyszła zima 1944/45, koniec Rzeszy był bliski, niemieccy gospodarze dziadkowego gospodarstwa zostali ewakuowani w głąb Nieniec, w swoje rodzinne strony w Poznańskim, dobrowolnie wyjechał Błaszczynski, który tam po wojnie podobno ponownie próbował przedzierzgnąć się w Polaka. W stajni opuszczonego majątku Kobierzycy pozostała stara już samotna Strzałka, jej nie zabrali nawet zwycięzcy. Dopiero w kilka dni po ucieczce Niemców odnalazł ją Janek, niestety, niewiele mógł jej pomóc, czas i trudy wojny zrobiły swoje i nim nastała wiosna Strzałka odeszła. Janek razem z Kminkiem zatrzymali się w dziadkowym domu, Janek uporządkował stajnię, w której umieścił Kminka, a sam przysposobił dla siebie małą stajenną izdebkę, w której już kiedyś pomieszkiwał, mając na swojego pupila stałe baczenie. I tak doczekali się dziadków, którzy wreszcie wrócili na swoje, swoje, a jakże obce, zdewastowane, rozgrabione, zaniedbane. Stały wprawdzie dom i dawne gospodarskie budynki, ale pola już nie bardzo były na swoim miejscu. Należało je ponownie pomierzyć, odtworzyć w oparciu o dawne dokumenty, wszak nowi panowie przez pięć lat zdążyli zaorać dawne miedze, zespolić małe pólka w wielkie niemieckie pola, tą sławną niemiecką „przestrzeń życiową”, ów sięgający aż po Ural niemiecki *Lebensraum*. A mimo to, mimo trudności i przeciwności, zaczęli od nowa, zwyciężyło poczucie obowiązku i upór.

Janek, pielęgnujący i doglądający Kminka jak czuły ojciec, próbował zainteresować swym podopiecznym nowe władze wojskowe. Te jednak nie były w pełni autonomiczne, to i większego zainteresowania nie wykazywały. Wreszcie po kilku próbach nawiązania współpracy jakiś życzliwy sierżant starej daty poradził Jankowi, by spróbował szczęścia w samej stolicy, w najważniejszych dowództwach. I Janek do Warszawy wyruszył, zabrał ze sobą dokumenty Kminka i spisana przez miejscowego nauczyciela relację o losach Strzałki i jej syna, w której nawet o nietypowym imieniu konika mowa była. Jak przewidywał, i tu panowały powojenny rozgardiasz i zupełnie nowe porządki, nikogo nie interesowały dawne historie ani sprawy reprezentacyjnych asyst wojskowych. Podobnie było z kwitami, które babci wystawił elegancki porucznik, gdy rekwirował babcine konie – w tej sprawie Janek też nic nie wskórał.. Wszystko było jasne, dla nowej władzy te kwity nic nie znaczyły. Janek nie ustawał w poszukiwaniu kontaktów, które miały Kminkowi zapewnić godne

miejsce w arami i końskim środowisku. Przez przypadek, wśród dawnych koniarzy skupionych przy jeszcze nieczynnym torze wyścigowym na Służewcu, trafił na dawnego wojskowego trenera z reprezentacyjnych stajni wojskowych, rotmistrza w stanie spoczynku. Janek wiedział, z kim ma do czynienia, jednak pomny dawnych hierarchii wojskowych cierpliwie czekał na okazję, aż ten zainteresuje się nim i historią Strzałki, a trzeba zaznaczyć, że ta historia opowiadana przez Janka na lewo i prawo była powszechnie znana i wzbudzała zainteresowanie. I stało się tak, jak przewidział, stary rotmistrz sam go odszukał, gawędzili przez kolejne trzy wieczory, dawne dzieje wspominali i nad planami na przyszłość radzili. Niewiele z tego wychodziło, ale rotmistrz pomoc obiecał, o konia dbać nakazał i, jak się później okazało, słowa dotrzymał.

Janek do swoich wrócił, w odbudowie gospodarstwa pomagał, a o Kminka jak o syna się troszczył. Jeszcze w zimie umyślny posłaniec wojskowy dostarczył Jankowi pisma dotyczące dalszych planów co do losów Kminka i zapowiedź przyjazdu specjalnej komisji. Rojno i gwaro zrobiło się w dziadkowym gospodarstwie, jedna po drugiej zjawiały się wysokie szarże, Janek skromnie odpowiadał na wszystkie pytania a dziadka rozpierała duma, że to u niego, że to za sprawą babcinego poświęcenia, o doznanych krzywdach i wojennej poniewierce też nie zapominał. Wreszcie stało się, wiosną przyjechał specjalny wojskowy samochód przystosowany do transportu koni i Kminek w swą pierwszą w życiu samochodową podróż wyruszył. Oczywiście pojechał i Janek, który aż do zimy na wojskowym wikcie i opierunku przy Kminku pozostawał. Wreszcie, gdy był pewny, że należne Kminkowi miejsce w wojskowych stajniach zapewnił, do swoich wrócił.

I tak to Kminek do Wojska Polskiego wstąpił, na paradach szyku zadawał, a jego niepowtarzalna maść zainteresowanie dalej wywoływała, a że ludzie zawsze chcą więcej, to wkrótce dorodny ogier reproduktorem został. I tu miało miejsce wielkie rozczarowanie: żadne z Kminkowego potomstwa kminkowej maści nie miało. Czyżby prawdziwa była Jankowa opowieść o dzikim kminku w przydrożnych rowach rosnącym, którym we wrześniu 1939 roku odżywiła się Strzałka?..

Janek, mimo propozycji pozostania w wojskowych stajniach, odmówił, odznaczony jakimiś orderami do swoich wrócił i tu wspólnie powojenną biedę klepali. Wkrótce dziadka na tej ziemi zabrakło, a staruszka babcia zrzędzeniem losu, a raczej w wyniku zarządzeń ludowych władz, które sprawiedliwość dziejową wymierzały, kułakiem została, nic to, że kułakiem biednym jak przysłowiowa mysz kościelna – morgi miała, a to się liczyło.

A co dalej z Jankiem, z Pelą, z resztą rodziny? Nic nadzwyczajnego, wszyscy w nowym świecie z różnym szczęściem nowego miejsca szukali... i chyba znaleźli.

Janek i Peła, ci w końcu odnaleźli się i w dawnym Jankowym obejściu swój własny, powojenny dom założyli.

Dzieci dziadków częściowo po świecie rozwiało, jednak powoli wracały i wokół dawnej ojcowizny swoje nowe życie układały.

Babcia w dawnym domu gospodarowała, a łatwo jej nie było, mimo że wszystkie dzieci, jak mogły, pomagały. Wszystkie babcine trudy wynagradzał czas wakacji, wtedy w domu robiło się gwaro, to tu na wakacje wnuki zjeżdżały...

Dziś tego świata już nie ma, ale to właśnie z tamtych wakacji w pamięci przechowałem strzępy babcinych wieczornych opowieści...

lipiec 2017

Rafał Socha

OBYWATEL FAKE, CZ. 3. KROWA¹

Szanowni Państwo! Zaskoczony negatywnymi opiniami, jakobym stanowczo przesadzał z krytycyzmem w nadsyłanej do Państwa korespondencji, nowy list postanowiłem napisać w zgoła odmiennym tonie. Biorąc pod uwagę zdanie moich oponentów, że ani powiatowi urzędnicy nie są aż tak bardzo opieszali (co wykazałem ponoć na zupełnie niereprezentatywnym przykładzie), ani wizjonerscy reformatorzy z ministerstwa edukacji narodowej nie są aż tak bardzo odklejeni od rzeczywistości (rzekomo wypaczony obraz dziewiętnastej godziny nakreśliłem), nie chcę dłużej uchodzić za wywrotowca, defetystę, malkontenta, fatalistę czy po prostu marudę. To nie jest tak, że nic mi się w przybranej ojczyźnie nie podoba. Gdzieżby tam! Przecież gdyby mi się nie podobało, nie osiedlałbym się tutaj, nie żeniłbym się i nie studiowałbym waszego skomplikowanego języka. Logiczne. Dlatego dziś pragnę przytoczyć przykład z innej beczki, a przy tym udowodnić bez śladu dwuznaczności, iż są w Polsce instytucje, jak policja państwowa czy gminne ośrodki kultury, które funkcjonują należycie. Są. Działają. Ale po kolei!

Otóż mój teść jest rolnikiem, mieszka w niedużej gminnej miejscowości. Posiada kawał ziemi, którą sumiennie uprawia od przeszło czterdziestu lat, posiada też maszyny rolnicze oraz budynki inwentarskie, w których – co oczywiste – hoduje rozmaite zwierzęta, przy czym zaznaczyć wypada, że jego obsesją są krowy. Już dawno dorobił się opinii cenionego producenta mleka w regionie, ostatnio zaś doszedł do takiej perfekcji, że wnikliwie ogląda niemal każde źdźbło, nim je poda swoim wychuchanym ulubienicom do przeżucia. W ubiegłym roku, dzięki regularnemu i konsekwentnemu dążeniu do doskonałości, otrzymał nawet pamiątkowy medal oraz nagrodę rzeczową od starosty za oddawanie do skupu najlepszego jakościowo produktu w całym powiecie!

Naturalnie sukces teściowi w głowie nie zawrócił. Wręcz przeciwnie, skłonił do jeszcze bardziej wytężonej pracy. Źdźbła ogląda zatem jak gdyby uważniej, a krowy traktuje jak gdyby czulej. O żadnej rutynie mowy być nie może. Postawił też na rozwój osobisty, w czym spora zasługa nagrody rzeczowej od pana starosty (notebook marki Hewlett-Packard). A wiedzieć trzeba, że mimo nie najmłodszego wieku („be- atlesowskie” sześćdziesiąt cztery lata minęły), teść mój podjął nie lada wyzwanie. Ni mniej, ni więcej, tylko nauczył się obsługi komputera. Mało tego – swobodnie porusza się po internecie, a nawet korzysta z bankowości internetowej! Wielu rówieśników, kiedy im się chwali na ławeczce w słoneczku przed chałupą i prezentuje nowe możliwości (np. zdjęcia katalogowe oraz fabryczne parametry najnowszych modeli traktorów), puka się w czoło i pyta z politowaniem: „Ej, stary, a po co ci to?”. Delikatnie mówiąc, nie podzielają entuzjazmu krajana. Nie to jednak jest najgorsze. Najgorsze wydaje mi się to, że i żona postępowego rolnika, czyli moja szanowna teściowa, nie jest wcale zachwycona. Krzywo i nieufnie patrzy na komputerowe sesje męża, dlatego ten, dla świętego spokoju, już nawet wieczorami przestał otwierać hapeka. W pole też go ze sobą nie zabiera. Notebook stoi zatem w domu i kurzy się uroczyście (wyjątkiem niedziela – po przyjeździe z kościoła oficjalnie można laptopa otworzyć i coś niecoś sobie na nim poklikać), teściowa jest spokojna, lecz to nie oznacza wcale, że teściu się poddał

i odpuścił. Co to, to nie! Chłop z niego uparty, ale i przebiegły, toteż zaczął ostatnio regularnie bywać w Gminnym Ośrodku Kultury. A ściślej: w bibliotece, gdzie znajduje się kilka stanowisk komputerowych. Pomysł taki podpowiedział mu raz jedenastoletni wnuczek sąsiada, za co został zresztą sownie wynagrodzony całą siatką czekolad, chipsów, gum do żucia i żelków, jak również tyloma butelkami coli, ile tylko zdołał przynieść spod sklepu spożywczego.

No dobrze, wystarczy tego wstępu. Teraz już możemy przejść do sedna sprawy – w pewien szary, zwykły, zupełnie nieświęteczny wtorek teść popedałował na rowerze do centrum wsi. Trochę w konspiracji przed żoną, pod pretekstem opłacenia podatku od nieruchomości. Jednak kiedy już dotarł do GOK-u, bo go naturalnie zniósł w wiadome rejony, i kiedy wpisał się w służbowym zeszycie u pani bibliotekarki, i kiedy zasiadł przed obliczem monitora, i kiedy przejrzał sobie pobieżnie najnowsze rekordy w wirtualnych katalogach ciągników, koparek oraz kombajnów, przyszło mu do głowy, że przecież wcale nie musi udawać się do okienka w gminnym oddziale banku spółdzielczego, a może po prostu zalogować się na stronie swojego banku i należność uregulować przelewem elektronicznym. Tu i teraz. Zyska na czasie, zyska na prowizji. Jakże praktyczna ta niedoceniana przez niereformowalnych wapniaków nowoczesność!

Zadowolony wyjął nakaz płatniczy, wyjął też kartkę z loginem oraz hasłem do konta, bo danych tego typu jakoś nigdy nie potrafi spamiętać. Zawsze korzysta z podręcznych notatek, te zaś akurat przezornie zabrał ze sobą na wyprawę do GOK-u. Wywołał więc witrynę banku, wszystko wpisał jak należy, zatwierdził. Niestety, nie weszło. Wyświetlił się tajemniczy błąd. Teść odświeżył stronę, wstukał swoje dane od nowa, wcisnął enter – i znowu error. Zezłościł się nie na żarty, otarł pot z czoła. Zrestartował komputer. Dudniąc palcami po blacie, odczekał pokornie, aż system operacyjny ponownie mu się załaduje, a później podjął trzecią próbę zalogowania się na własne konto bankowe. Niestety, i ta próba nie powiodła się.

Zaczął przeklinać na czym świat stoi. O mało nie strącił z nerwów monitora, nieliczni użytkownicy czytelnicy oglądali się zniesmaczeni na bluzgającego chłopca. Dopiero jeden z młodszych obywateli – w okularach, na oko dwudziestolletni, wyglądający trochę na studenta informatyki, a może nawet automatyki albo robotyki – zbliżył się i zaoferował pomoc. Teść oniemiał, lecz zaraz potem kiwnął głową na zgodę i ochoczo wskazał miejsce za monitorem. Przysunięto drugie krzesło, panowie przysiedli do upartego sprzętu, młody człowiek został wtajemniczony w sedno problemu. Chcąc nie chcąc, obejrzał sobie kartkę z loginem („Zdzich”) oraz hasłem dostępu do konta („krowa1”). Później poklikał, poklikał, poklikał, jakieś magiczne sztuczki nad klawiaturą odprawiając, po czym w wyczyszczone formularze starannie wpisał teściowe dane i... Weszło! Uczynny student skłonił się ładnie, wyszczerzył zęby, a następnie odstawił nadliczbowe krzesło i odszedł do swojego stanowiska w drugim końcu sali.

Uradowany teść sprawnie wypełnił formularz przelewu, zatwierdził, chwilę poczekał na odzew komórki trzymanej za pazuchą kufajki, potem uwierzytelniającego esemesa ukradkiem odczytał, jednorazowe hasło wprowadził, kliknął, poszło. Transakcja została przekazana do realizacji. Wylogował się, wyłączył gminne urządzenie, wyrejestrował się w zeszycie u pani bibliotekarki, pożegnał obecnych stereotypowym „do widzenia”, zszedł po schodkach i wszedł na rower marki Ukraina. Przyjechał do siebie, gdzie od razu udał się do obory dojrzeć krówki, w szczególności sprawdzić, jak się mają i czy czegoś pilnie nie potrzebują.

Jakież musiało być zatem zdumienie teścia, gdy tak sobie widłami beztrzesko przerzucał słomę, a tu w kufajce znów zabrzączał mu telefon? Proszę sobie tylko wyobrazić! Odstawił narzędzie, wyjął komórkę, odblokował, przeczytał. Wiadomość została wysłana przez bank – i zawierała kolejny jednorazowy kod autoryzacyjny, tym razem przypisany do transakcji polegającej na przelaniu pięciu tysięcy złotych na bliżej nieokreślone konto bankowe. Teść z frasunkiem podrapał się po głowie, chwilę podumał, a potem zaklął siarczyście pod nosem, splunął i wcisnął z powrotem aparat za pazuchę. Na pewno pomyłka – uznał i wrócił do przetrząsania słomy.

Nie minęło pięć minut, a telefon odezwał się ponownie – tym razem usiłowano przełać okrągłe trzy tysiące. Już tylko trzy tysiące. Kod autoryzacyjny dla przelewu na rachunek taki to a taki, kwota złotych tyle to a tyle, poniżej godzina, data, no i oczywiście ciąg uwiarygodniający wirtualną transakcję. Zaraz, zaraz – jaką transakcję? Zdezorientowany rolnik znów z frasunkiem podrapał się po głowie, chwilę podumał, siarczyście niż poprzednio zaklął pod wąsem, splunął i zniesmaczony wcisnął z powrotem aparat za pazuchę. Na pewno pomyłka – wytłumaczył sobie racjonalnie i wrócił do przetrząsania słomy.

Komórka nie dała się jednak przekonać, nie spasowała i długo czekać na siebie nie kazała. Właściciel urządzenia po raz trzeci dobył więc swojego elektronicznego gadżetu, odblokował, troszkę osłonił od słońca ekran dotykowy, silnie zmarszczył brwi i zaczął czytać. Standardowa formułka pomyłkowego esemesa z banku nieznacznie się zmieniła. Z czasu teraźniejszego przedzierzgnięto się raptem na czas przeszły dokonany, a mianowicie: z konta takiego to a takiego przelano właśnie pięćset złotych na konto takie to a takie. Koniec, kropka. Pięćset złotych przebrane. Esmes informacyjny, autoryzacja nie jest wymagana. Poszło.

Teściem zatrzęsło. Dwukrotnie przeleciał wzrokiem nieduże literki, potem chrząknął, charknął i splunął z wściekłością. Odrzucił widły. Zimny pot błyskawicznie zrosił mu czoło, bo nagle zdał sobie sprawę, że przecież mogło zdarzyć się coś nieciekawego. Ba! Niewykluczone, że już zaszło coś niedobrego – i to w związku z jego prywatnym kontem bankowym. Trzeba działać!

Z przyzwyczajenia nerwowo poprawił na nogach oba gumaki, ciaśniej ściągnął się skórzanym paskiem, podwinął za łokcie rękawy u kraciastej koszuli, zostawił ukochane krowy i migiem wskoczył na rower. Energicznie popedałował do GOK-u, do biblioteki, do gminnej czytelnicy. Wpadł do środka, że złości cały czas prychał i fukał pod nosem. Pani zza okienka dziwnie się patrzyła, ten i ów także podniósł głowę, lecz młodego człowieka już w pomieszczeniu nie było. Wyszedł, ulotnił się, wsiąkł. Teść bez owijania w bawełnę zażądał od przerażonej bibliotekarki danych teleadresowych enigmatycznego informatyka, gdyż te – zgodnie z logiką oraz regulaminem gminnej biblioteki – powinny znajdować się w służbowym zeszycie. W normalnych okolicznościach kobiecina naturalnie niczego by nie udostępniła, w końcu wiadomo, że tajemnica zawodowa, że ustawa o ochronie danych osobowych i tak dalej, ogień w oczach teściuch sprowadził jednak, iż zmiękła. Dla świętego spokoju zajrzała do kajetu w kratkę, niestety, prędko wyszło na jaw, że automatyk w okularkach się nie wpisał! Nie było go na liście! Naprawdę wsiąkł jak kamfora, zapadł się pod ziemię. Bibliotekarka zrzuciła winę na koleżankę, która pracowała dziś jakoby na pierwszej zmianie, nie dopilnowała i nie odnotowała. Mało to teścia obchodziło. Wkurzony przeklął kilka razy, a potem skoczył do najbliższej klawiatury, wyjął kartkę z kieszeni i zalogował się ponownie do serwisu bankowego. Tym razem dało radę od pierwszej próby, poszło jak

po masle, choć dłonie roztrzęsionemu użytkownikowi latały dość energicznie, a oczy ze złości nieustannie przesłaniała osobliwa mgła. Zagłębił się w historię, jął analizować. Nie trwało to długo. Jest, mam cię! Mimo że saldo było ewidentnie niższe, teść wpadł w bardziej pozytywny nastrój. Może nie w szampański, niemniej zauważalnie mu ulżyło i biel sprzed żrenic jak gdyby trochę się rozeszła. Szybko użyczył długopisu, przepisał dane właściciela obcego konta, wylogował się i biegiem pognął na parking. Złapał rower, podjechał pod urząd gminy – wprost na posterunek policji. Tam zastał dwóch młodych funkcjonariuszy, którzy nie kombinowali i nie wymigiwali się, lecz od razu dali wiarę w dramatyczne zeznania cenionego, rozpoznawalnego i szanowanego w powiecie rolnika. Krótko mówiąc: obejrzawszy adresową notatkę, zgłoszenie przyjęli wnet, założyli czapki, zamknęli posterunek i serdecznie zaprosili teścia do radiowozu na przejażdżkę do sąsiedniej wioski.

Całą trójką zajechali pod dom niczego niespodziewającego się złodziejaszka. Temu szczeka z miejsca opadła, choć zaczynał właśnie przeżuwać kielbasę. Zobaczył mundurowych i strach go obleciał. Teść chciał gówniarza z miejsca walnąć w zęby, na szczęście policjanci wmieszali się w porę i ideę samosądu skutecznie wyperswadowali. Skończyło się zatem na przeprosinach, zwróceniu ukradzionych pięciuset złotych i ogólnym pokajaniu się naiwnego cyberprzestępcy. Poszkodowany ochłonął, już nie chciał nikomu szczęki obijać, machnął ręką. Niemniej policjanci zachowali się profesjonalnie i wcale nie wyimiękli: po pierwsze pogrozili sądem studentowi, a po drugie ostrzegli lojalnie, że odtąd będą go już zawsze mieli na oku, co chyba nawet nie było aż tak bardzo konieczne, bo chłopak od początku do końca robił w gacie, a wąskie okulary z wrażenia aż mu parowały!

Trójosobowa ekspedycja wróciła na posterunek. Teść podziękował, pożegnał się i złapał swój rower. Na nic się nie oglądając, pomknął do GOK-u, na to samo stanowisko, gdzie znów sprawnie zalogował się i zmienił hasło dostępu do konta (z „krowa1” na „krowa2”). Chciał jeszcze edytować login, lecz nie rozgryzł tego samodzielnie, a że na wszelki wypadek wołał już nie dopytywać i nie prosić nikogo z zewnątrz o pomoc, to i zostało jak było.

Koniec. Na tym historia się kończy, kończę i ja mój reporterski list. Po głębszym namyśle stwierdzić muszę, że komentarz byłby tutaj zbyteczny. Odpuszczę go sobie, bo wymowa tekstu – jak mi się zdaje – jest wyjątkowa czytelna. Z kolei mój stosunek do instytucji publicznych, czyli do policji państwowej oraz do gminnej biblioteki, wyłożyłem chyba przejrzyście, klarownie i raczej jednoznacznie.

Ukłony – Emmanuel Fake

(Korespondencję odebrał: Rafał Socha)

Konrad Ludwicki

MINIATURY (WYBÓR)

Towarzystwo

Mało co mnie tak przygnębia, jak „komedie romantyczne” i miejsca, w których panuje party i impreza (w jakikolwiek sposób spokrewniona z tańcem i głośnym graniem). Uciekam od miejsc, gdzie ma być wiele atrakcji i „super zabawa”. W rodzaju: *w sobotę zabrzmią rytmy „Nu Disco Night”*. *Imprezę poprowadzą Eltron i Pnk. Discorp. Start o godz. 21, wjazd 20 zeta, laski free*. W mojej miejscowości, w której wycina się drzewa, powstają najczęściej banki i apteki. Czasami jeszcze całodobowe sklepy monopolowe. Łatwiej kupić wódkę niż bułkę.

Niemniej czasami gdzieś wychodzę, mając jeden z dni „do ludzi”. Najpierw mam w głowie same ich zalety, a potem są same niedogodności. Zauważyłem, że coraz trudniej jest mi się dopasować do towarzystwa. Większość rozmawia o tym samym. Większość też jest najczęściej przed imprezą (czyli pijaństwem) albo po (czyli na kacu). Dwa tematy dominują: kto gdzie zabalował i z jakich to podróży wrócił + pokaz zdjęć w telefonie. Część przedstawia swoje życie atrakcyjniejszym niż jest. Myślą, że są lepsi od swojej egzystencji, że zasługują na coś więcej niż wieczory przed tv. I ja myślę podobnie – tyle że nie mam telewizora. Wyrzuciłem kineskop w dniu czterdziestych czwartych urodzin. Została sama obudowa, w której trzymam koc albo poduszki.

Nie jestem filozofem, ale miewam czasami parę głębszych myśli, nawet jeśli oscylują wokół potraw i pary kajdanek. Brakowało mi w rozmowie choćby i tego. Ileż można gadać o dzieciach i budowie domu. Nie posiadam dzieci i mieszkam w małym wynajętym kici-mici, przypominającym kaplicę w czerwcowym deszczu.

Lepiej milczeć i patrzeć na góry. Chodzenie po górach to jedyna dostępna postać raj. Milczenie daje więcej, niż studium Bataille’a. Cóż ma wartość *tu*? Widziałem piękne zakurzone obrazy w magazynach sklepu rybnego i wartościowe liryki oddawane za cenę dropsów.

Jedynka

Kiedy goliłem się, tym razem z samego rana (czasami czynność wykonuję wieczorem), nadymając policzki, by skóra stała się bardziej napięta, i przesuwając ostrze po gęstej pianie tuż obok dolnej wargi, co zauważyłem? Otóż zauważyłem w swoich ustach brak przedniej jedynki! Oże-ż ty... Gdzie ona? I kolejne zapytanie: co robiłem wczoraj wieczorem? No tak. Fakt – wczoraj lekko popiłem. Miałem smaka na ciemne piwo (niepasteryzowane). Po miodnym piwie pojawiły się inne trunki. Pamiętam, że w nocy wprowadzałem rower (na którym zrobiłem szlak na Jurze) do garażu. I pamiętam uderzenie (od kogoś? od czegoś?). A po nim noc. Może to wówczas ząb wyleciał?

Zbiegłem do garażu w nadziei, że odnajdę ślad bądź wskazówkę, pozwalającą dać odpowiedź na pytanie: co wydarzyło się w przeddzień? Było pusto i mokro. Ucieszyłem się, gdy ujrzałem w kałuży, tuż przy rynnie, leżącą jedynkę (wraz z korzeniem). W kałuży moczył się też kapsel i dwa pety. Na filtrze jednego znać było ślad szminki. Myślałem: wezmę zęba i pójdę z nim do dentysty. Możliwe, że zrobi mostek czy coś i ząb będzie trzymał się nadal. Tak miałem zrobić, ale na razie wcisnąłem ząb w świeży otwór po nim. Wcześniej przemyłem siekacza spirytusem. Trzonowiec przyjął się idealnie. Zdziwiłem się,

gdy po paru tygodniach mój siekacz najzwyczajniej wrósł. A nawet rósł! Stawał się dłuższy niż ząb obok.

Przywykłem do comiesięcznego podpiłowywania go pilnikiem do metalu. Do metalu był najbardziej skuteczny. Tylko uszkodzanego szkliwa nie mogłem odżalować.

Góra

Zdarza się nam kaleczyć stopy, żeby zabić to, co jest w duszy – myślałem (myślał ktoś we mnie do mnie) podczas jednej z wędrówek w Tatrach. Gdy tak szedłem, pojawiła się wielka góra. Była niby przede mną, ale jakby w oddali, niby tuż, a jednak przy linii horyzontu. Właściwie wiedziałem, że jest daleko, gdzieś hen na południu, a jednak czułem, jakby stała obok. Powietrze było na tyle przejrzyste, że mogłem zobaczyć każdy szczegół jej wzniesienia. Załamania w grzbiecie, kępy trawy u podnóża, fakturę skały. Widok wyraźny i namacalny. Turnia uderzająca i masywna.

Podziwiając krawędzie w jej zboczu, usłyszałem dźwięk. Ton odłupywania kamieni. Wierchołek nie tkwił nieruchomo. Jakieś siły w jego wnętrzu powodowały rwanie i pękanie. Po chwili wiedziałem, że góra chyli się ku upadkowi. Widziałem, jak opada prosto na mnie. W głowie miałem myśl: tylko nie przywał mnie, góro, tylko mnie nie przywał. Nie byłem zdenerwowany. Raczej spokojny i skoncentrowany, mimo świadomość, iż wierch może mnie zasypać. Przeszedłem kilka kroków w lewo, a góra runęła z hukiem gdzieś obok mnie. Poczułem próśnienie i powiew pyłu.

Sześć godzin potem wieczór był cichy.

Tyniec

Dzień przypominał czwórkę pik i tego dnia, nie wiedzieć czemu, włożyłem ubranie przygotowane na mój pogrzeb. Od lat wisiało w szafie czekając na wiadome przeznaczenie. Cekało pokornie. Oszkle i matowe. A czemu by go nie założyć dziś? – pomyślałem. Niektórzy mówią, że ubieram się jak rynnierz, więc mógłbym wdziać odświętną odzież i trochę się nią nacieszyć. Bywało, że ją zakładałem (ostatnio w dniu urodzin), ale ubranie było zdekompletowane. Miałem na sobie albo górę, albo dół. Dziś założyłem całość – džinsy, sztruksową marynarkę i trampki (z nadrukiem *cave*). Trampki też miałem przeznaczone na pochówek. Starłem się nie chodzić w nich na co dzień, a już na pewno nie podczas deszczu.

Poszedłem napić się cierpkiego trzydziestoprocentowego rotu, a potem do kościoła. Zdarza mi się wchodzić do kościoła również po alkoholu (pewne nawyki nie chcą się od nas oderwać). Trunek dokonuje swych niezawodnych czarów. Siadam w dali albo (jak teraz) blisko ikonostasu i poddaję się rozpamiętywaniu. Lubię klasztor w Tyńcu i wielki ołtarz z połowy osiemnastego wieku. Ma trzy strefy: stół, obraz (ujęty kolumnami) z przedstawieniem patronów kościoła (święci Piotr i Paweł) oraz poziom najwyższy, „glorię”. Po obu stronach obrazu stoją cztery monumentalne figury. Rzeźb do dziś jednoznacznie nie zidentyfikowano. Mają to być najprawdopodobniej (patrzac od prawej): święci Tekla, Barbara, Grzegorz Wielki i święta Petronela. Córka świętego Piotra – symbol nawrócenia z Judaizmu. Siedziałem w półmroku. Szarość i spokój. Niespodziany huk spłoszył gołębie siedzące na kopule kaplicy. Trzepot ich skrzydeł odbijał się i milkł. Niczym stłoczone szepty. Księga (jej stop), którą trzymała postać św. Tekli, runęła w pobliżu mnie. Leżała teraz pod srebrnym antependium. Zauważyłem na niej inskrypcję *Quorum doctrina fuget ecclesia*.

Zacząłem czytać na temat świętej Tekli. Kobiety, której nie tknęła wygłodzona lwica i która, skazana na stos, uniknęła go, bo deszcz ugasił ogień.

Recykлизacja

Żeby ludzie nie próbowali być szczęśliwsi od innych, nie byłoby konfliktów. W pochmurne dni opowiadają mi, jak to spędzili dzień. Często są cukierkami z gorzkim nadzieniem i pokazują prezenty. A ja znów musiałem spędzić weekend w koszmarnym punkcie preparowania zwierząt. W miejscu z tym durnym szyldem na ścianie: *Zwierzęta nie tyle żyją, co życie płynie przez nie*. Musiałem – co było przykre – ustawiać i wstawiać sztuczne szklane oczy (oczy *made in China*) tak, by zaistniała owa „iskra życia”. Musiałem udzielać informacji, by po odstrzeleniu ptaka wkładać mu do dzioba kawałek waty lub mchu, co zapobiega zabrudzeniu piór. Nie lubiłem tej pracy, ale lepsze to niż praca strugacza ołówków. Całodzienne temperowanie ołówków jest wykańczające. Podobnie jak cerowanie dziurawych parasoli.

Chciałem nawet uratować pewną sarnę i jej serce schowałem do małej kasety z laki, żeby wciąż biło. Mówiłem: spokojnie serce, spokojnie, walczyłeś już dość. Są dusze zwierząt, które po śmierci wracają na ziemię i strzegą pewnych miejsc. Uśmiechają się do swoich myśli i są naturalne.

Ja natomiast pod którąś z masek zgubiłem naturalność. Dlatego wolałbym powrócić do lasu jak wtedy, gdy byłem łysy. Nie trzeba mieć telefonu ani drzwi na dobry zamek. Las jest piękny – szmaty brzydkie. Póki co chodziłem jednak po wysypisku, po tej Fabryce Włókien Odzyskanych. Po „czyściwach”. Obszar recykлизacji materiałów tekstylnych, w którym się zapodziałem. Skręciłem w prawo. Zawsze skręcam w prawo, kiedy się zgubię.

Śmietnik

Raz zdarzyło mi się wyciągać coś ze śmietnika. Czynność tę wykonywałem bez wstydu. Wykonywałem ją nawet z dumą. W poniedziałek spostrzegłem kilkanaście książek ułożonych jedna na drugiej. Leżały obok koszy. Ktoś pojmując, że nie wypada wrzucać tomów do kubła, położył je przy nim. Głuptak zostawił książki, jak zostawia się coś, co stało się bądź co od zawsze było zbędne i zawadzające. Jak zużyty kwietnik, pralkę „Franię” albo sedes. Pochyliłem się i przejrzałem pierwsze strony woluminów. Były to stare, antykwaryczne wydania Sygietyńskiego i Asnyka. Na spodzie sterty zobaczyłem dwie książki Josepha Conrada i jedną Mochmackiego. Wszystkie zabrałem do domu. W książce Mochmackiego na stronie 16 znalazłem przeświecenie rentgenowskie czaszki – na dole kliszy widniało nazwisko Altea Besaraba.

F.P.

Spacerując w dzielnicy Chiado przy Rua Garrett 120 usiadłem przed kawiarnią Brasileira tuż obok pomnika F.P. Piłem (a prawidłowo moczyłem usta) kawę (o nazwie Bica) w maciupkiej filiżance z napisem na spodzie równie tycie spodeczka: *Porcelanas Portugal*. Patrzyłem na stylowe wejście i wewnątrz kawiarni utrzymane w stylu art déco. To niezłe miejsce do obserwacji życia ulicy. Turyści siadywali przy pomnikowym stoliku obok F.P., robiąc zdjęcia z brązową figurą pisarza. Anglicy klepali go po głowie i wkładali piwo do dłoni. P. milczał. Krnąbrne dzieci z Francji ścisnęły nos i krzyczały mu do ucha brzydkie wyrazy. Niektórzy myśleli, że to piłkarz, inni, że lokalny grajek. Ktoś powiedział, że to pierwszy prezydent Portugalii. Jakiś Azjata zdawał się go pytać, czemu nie pije alkoholu tylko tak siedzi?

Pessoa patrzył niewzruszonym wzrokiem, trzymał rękę na blacie stolika i dumał. Cierpliwy gość.

Ucisk

Egzystencja moja popada w jednostajność i bywają mgliste dni, kiedy nie opuszczam pokoju. Godziny są monotonne, a czynności ograniczają się do obserwacji gekona (*Ptychozoon*

kunhli). Do badania zachowania jaszczurki fałdoskórej z płaską trójkątną głową i oczami o pionowej źrenicy. Zdarza się, że mój gekon (najczęściej z samego rana) udaje chleb. Wówczas karmię go karaczanami. Zdarza się również, że staje się kamieniem lub kolanem albo też czystym kolorem. Czasami udaje monetę lub oponę.

Obserwacja moja odbywa się na różne sposoby. Kiedy czuję (a czuję często) charakterystyczny ucisk wewnątrz czaszki, uwaga jest najbardziej naturalna. Ucisk będący niepokojem wyznacza postrzeganie.

W niektóre popołudnia moje myśli biegną w stronę rzeki i mostu albo drzewa. Drzewo zresztą – podpowiada mi moja myśl – może zastąpić dobrze osadzona rura albo cokolwiek „dobrze osadzone”. Czasami w każdym pomieszczeniu (w którym dopiero co się znalazłem) szukam czegoś „dobrze osadzonego” – byle tylko sznur mocno się trzymał. Świadomość, że jest coś „dobrze osadzone”, pozwala przetrwać mi do rana. Zaczynam odczuwać spokój tam, gdzie powinienem odczuwać mdłość.

Iluzjonista

Jechałem rowerem wąską drogą, kiedy to na jej środku spostrzegłem kapelusz. Leżał i zdawał się czekać na mnie. Był to rodzaj cylindra, jakiego używają podczas sztuczek iluzjoniści. Wyciągają z niego parę gołębi albo białego królika. Prestidigitatorzy mają ładne asystentki. Niewykluczone, że w tym znalezionym przeze mnie cylindrze paradowała taka asystentka w krótkiej spódniczce? Moje przypuszczenie zostało potwierdzone przez to, co znalazłem w jego środku. Znalazłem zapach. Pachniał właśnie „nią”. Kuglarze potrafią różne sztuczki, ale bez swoich asystentek są bezradni. Magik musi mieć czarodziejkę. Sam nie w pełni wykorzystywał duszę. Bywa, że składa duszę na pół i chowa na dnie szafy. Dusza, od nieużywania, bywa z czasem nadpsuta.

Iluzjonista musi umieć układać w pudełkach różne części świata. Potem potrafić chować wszystko do odpowiednich przegródek. Zdarzają się (celowe?) pomyłki i na przykład w pudełku z napisem „zdrada” jest „bliskość”, a zdrada jest w pudełku z napisem „miłość”. Tak bywa.

Golgota

Są dni, kiedy chciałbym tylko spać – wówczas czuję się prawie że bezpieczny. Przespać czas. Spać, spać, spać. Nawet w śnie Władca Dziejów ma wszystko pod kontrolą. Tak samo, jak na Golgocie, gdzie dopuścił minuta po minucie każdy rodzaj cierpienia. Zatem śnić, mimo że wiadomym jest, że jeśli nie zrobię czegoś (tego, co niby powinienem zrobić, choć cóż by to miało być i czemu właśnie to?), a więc jeśli nie zrobię tego teraz, jutro będzie takie samo jak dziś. Tak jak i dziś jest (przynajmniej pod koniec dnia) takie samo jak wczoraj. W gruncie rzeczy jakikolwiek wysiłek jest uśmierceniem, bo wykonany czyn niweluje marzenie. Każdy poza pisaniem. Potrzeba tworzenia daje o sobie znać nawet w warunkach skrajnych, jak obozy koncentracyjne.

Kiedy znalazłem się w Muzeum („muzeum”, ale słowo!) Auschwitz, poczułem ducha tego miejsca. Poczułem go, pomimo iż nic nie mogłem ogarnąć. Widziałem maciupkie rzeźby zwierząt w drewnie i rysunki na ścianach. Malunki wyrzyte przez więźniów paznokciami i kamieniem. Narysowani byli uśmiechnięci ludzie i wschody słońca. Oglądałem też sceny z obozu i różaniec z chleba.

Biblioteka

Staralem się o posadę bibliotekarza. Lubię przebywać wśród książek, tak jak i lubię drobne rudawe dziewczyny w wiśniowych kozakach. Złożyłem CV, kwestionariusz oso-

bowy i dwa wymagane zdjęcia (dałem te sprzed ośmiu lat, na których moja twarz była szczuplejsza). Na rozmowę założyłem marynarkę i tuż przed wyjściem dokładnie się ogoliłem. Ale zaraz potem zrobiło mi się ponuro, bowiem biblioteka została zlikwidowana, a rozmowa odwołana. Dowiedziałem się o tym z ogłoszenia na miejscu.

Po dwóch tygodniach w budynku, w którym wypożyczano kiedyś książki, powstała filia banku. Pracowały w nim niunie w obcisłych gorsetach i faceci z niklowanymi zegarkami i włosami na żel. W maju starałem się o mały kredyt, by kupić lepszy rower. Po tych wszystkich czynnościach przy okienku pani pokornie i bezwzględnie stwierdziła, że moje dochody są zbyt nikłe. Podziękowałem i wyszedłem. Dopiero w domu – nie wiedzieć czemu – zacząłem rzygać.

M.S.

Kiedy zatelefonowałem do jego córki, wspomniała mi, że jej ojciec słabo widzi i jest niemal całkiem głuchy. Prosiła, bym do drzwi dzwonił długo i bym się nie niecierpliwił, czekając na odpowiedź po zadanych pytaniu. Byłem pewien, że mieszka wśród drzew w ładnym domu na obrzeżach K. Albo przynajmniej w przestronnej stylowej kamienicy w śródmieściu. Tymczasem żył w dwupokojowym ciasnym mieszkaniu z wielkiej płyty. Na dziewiątym piętrze w wieżowcu wśród PRL-owskiego betonu usytuowanego na peryferiach miasta. Długo jechałem tramwajem (pokrytym z zewnątrz graffiti i reklamą wybielającej pasty do zębów), a potem błądziłem pomiędzy szarymi blokami.

Miałem przeprowadzić z nim rozmowę do pisma medycznego, chociaż tekst miał dotyczyć nie medycyny czy chorób, a twórczości M.S. Znalazłem się w jego dusznym pokoju, w którym stały lekarstwa i książki. Pokój – połączenie antykwariatu z apteką. Po kilkunastu minutach zorientowałem się, iż M.S. jest w połowie niewrażliwy na nic, w połowie zaś nadwrażliwy na wszystko. Tak jak w połowie jest martwy, a w połowie żywy. Gdyby okazał się bodaj trochę bardziej martwy, rozmowa byłaby niemożliwa. Pił teraz sporo, a jego stara żona piła z nim po połowie – by ten nie zapił się całkiem. – W ten sposób zamykam przed nim bramy więzienia – rzuciła ni do mnie, ni do siebie i podreptała do maciupkiej kuchni, z której po paru chwilach dochodziły szeptu Litanii Loretańskiej.

M.S., więzień Mauthausen, publicysta i pisarz, przyjaciel noblisty i wielu innych, kontemplował schyłek swego życia, wrastając w siebie i wspomnienia, tak jak cisza wrasta w tajemnicę. Pół wieku temu wydawał teksty i był czytany. Jadał w restauracjach białe mięso i jeździł po Ameryce i Azji. Dziś mało kto go zna. On sam zaś mówił mi o Bogu i swym istnieniu związanym z krwią i żyłkami, a potem z wyrzutem odrzekł, że nie dość znam jego życiorys.

Granice

Ból, który naprawdę się czuje, to ból niespodziewany. Kobieta, z którą mieszkalem, odeszła rok temu. Była nieprzewidywalna. Na przemian żądała poniżenia i miłości. Takie przywiązują najbardziej. Nie bez powodu miłość jest słowem pełnym nadziei, ale i niebezpieczeństwa. Trzeba teraz znosić wszystko z godnością. Wyglądać przez okno i słuchać nokturnów.

Wstaję przed południem. Piję jogurt i wychodzę po bibułki do tytoniu. Kupuję je w sklepie *vis-à-vis*. Potem wchodzę po drewnianych schodach na samą górę. Wyżej są ostatnie dwa stopnie i wejście na suchy strych. Tu przesiaduję. Oglądam sprzęty. Żyję skupiony niczym w walizce.

Są wydarzenia, które wpływają na to, iż agonia rozpoczyna się w wieku czterdziestu lat. Wówczas wydaje się – co dobrze czują śmiertelnie chorzy – że życie przekroczyło granice egzystencji. Znajdujemy się w świecie, który irytuje, ale którego każdy zakątek zastanawia. Zmusza do wglądów.

Pojawia się stan, stan białokamienny, w którym czujemy, iż dni nie płyną miarowo. Przyspieszają wraz z wiekiem – z latami, których przybywa. Ważny jest czas jutrzejszy. Zatem noszę czas przyszły i wiedzę o umieraniu jak obrączkę na palcu. Jestem wolny i niewidoczny. Pojąłem język ciszy. Cisza przemawia nade wszystko.



Wiesław Wyszyński

W BIAŁYM OKNIE SNU

pop-opera eklektyczna

Od autora:

*Nawroty są metropolią. Rozpasaną i bezwstydą.
To miasto nas przerasta. I Ciebie, i mnie.
Jest nieco poza nami i całkiem w nas. Ale mimo-
chodem nas nie dotyczy. Bo co nas, kur... (pip),
obchodzi, jak się komuś wali na łeb jego sklep.
Cynamonowy!
Klepsydra nasza mac!*

OSOBY:

On

Ona / Małenka

Lekarz / Przewodnik chóru

Chór

Płaczek (*aniołek*)

Chichotek (*diabełek*)

Młody

Tata

Urzędnicy

Woźny

Herold

Pan elektryk

Pan dyrektor

Balet / Statysci

Głos

DZIEŃ PIERWSZY

(scena szpitalna)

*Szpital dla Nerwowo Chorych im. Nelly eR. w Nawrotach. Hol. Kręcą się pacjenci i personel.
Postacie przerysowane. Łóżko polowe. Na nim siedzi O n a. Obok tobolek zawinięty w koc.
O n a nuci piosenkę „W białym oknie snu”. Wpada zdyszany lekarz.*

Lekarz: Cześć, małenka! Nie mogłem wcześniej, jasna paranoja. Ach, ten czas, ten czas...
Przed chwilą, wyobraź sobie, jeden z moich pacjentów połknął gruszkę. Ależ się miotał,
jakby gruszkę połknął!

Ona: Nie rozumiem. Dużo? Smaczną chociaż?

Lekarz: A nie...! Gumową gruszkę, jasna paranoja! No, wiesz, irygator. Ale z twardym
końcem.

Ona: Aha! I co?

Lekarz: No, nic, nic. Nie chciał jej oddać. Opierał się, jasna paranoja, jak rasowy brytan. Nie
dał sobie zdjąć kagańca. Ale nie ze mną takie świrnięte numery. W końcu zwrócił (*wyciera ręce*)

o fartuch). Nie byłoby sprawy, ale to nasz sprzęt szpitalny. Mamy tę gruszkę na stanie.

Ona: Znów nie rozumiem. Jaki kaganiec?

Lekarz (*opasując twarz dłońmi*): No, wiesz, skórzany namordnik. Sam go sobie zakłada. Prewencyjnie, jasna paranoja, by nie połknąć kaczki, która go nazbyt nęci.

Ona: Przecież to niewykonalne... Może kiedyś połykał ogień?

Lekarz: Nie mam pojęcia, jasna paranoja! To szczególny przypadek, klinicznie nieznany. Ale pracuję nad nim. On mi załatwi habilitację. Duka coś o gruszkach na wierzbie czy w popiele. Teraz zażądał owoców morza.

Ona: Chyba rzeczywiście jestem głupia, Sam. Jak myślisz? Dalej nic nie rozumiem.

Lekarz: Nie jesteś głupia. Ja również nie rozumiem, jasna paranoja, ale mam nadzieję, że nie połknie muszli... klozetowej. Kiedyś próbował połknąć zegar z kukułką, bo doszedł do wniosku, że czas na niego. Zegar uratowałem, ale kukułkę połknął. Do dzisiaj kuka, półgłówek, zawsze o wpół do...

Ona: Ależ ty masz ciekawą pracę, Sam.

Lekarz: Daj spokój, maleńka. Powiedz, co u ciebie. Masz ten wypis?

Ona: Jeszcze nie. Mają mi podać. Ale i tak czekam na mojego chłopaka. Zaraz powinien tu być.

Lekarz: To świetnie, doskonale, bo wiesz, odwiózłbym ciebie, ale zupełnie nie mam czasu. Jasna paranoja! Na nic nie mam czasu. Za chwilę muszę być w sądzie (*przegląda notes*). Później mam sesję. Nooo! Dzisiaj rozgrywamy bardzo ważny mecz. Sama widzisz. Aha! (*pukając się w czoło*) jeszcze próba chóru! Przyjdiesz?

Ona: Nie, nie! Dzisiaj nie mogę. Sam rozumiesz... Ale jutro będę. O trzynastej w parku?

Lekarz: Tak, tak. Zadzwoń do mnie wieczorem. Koniecznie! No, pędzę, maleńka. Pędzę!

Ona: Sam, zaczekaj! Właśnie nadchodzi mój chłopak.

On: Dzień dobry. Cześć, świrku! (*rzucił torbę na łóżko i obejmuje Oną*).

Ona: Witaj, kochanie. Pozwól, że ci przedstawię: mój lekarz prowadzący, doktor Frojt.

Lekarz: Tak, tak. Dzień dobry, dzień dobry. Pędzę, kochani, pędzę, bo, jasna paranoja, na nic nie mam czasu (*oddala się w pośpiechu*).

On: Co to za dziwadło?

Ona: Dziwadło? Jak możesz tak mówić? Przecież go nie znasz! To słynny w naszym mieście doktor Frojt. Człowiek – instytucja. Zapamiętaj sobie: Samuel Frojt!

On: Ten... Freud?

Ona: Nie! Tamten był Zygmunt, zdaje się, i już od dawna nie żyje. Chyba. Ten jest Frojt, przez „jot” i „t” na końcu. To geniusz! Prawdziwy człowiek renesansu, na miarę naszych czasów.

On: To na miarę renesansu czy naszych czasów?

Ona: Ojej! Tak się przecież mówi. Czy ty wiesz, co on robi poza tym, że jest tutaj najbardziej wziętym psychiatrą?

On: Wziętym przez kogo? Chyba przez ciebie. Czy ty się w nim aby nie za...?

Ona: Ach, przestań! On jest sekretarzem generalnym PPR-u, rad...

On: Czego? To istny dom wariatów!

Ona: Z tym akurat się zgadzam. PPR-u, kochanie – Partii Psychiatrów Rzeczypospolitej.

On: Raczej psycholi! Oooo, tych mamy na pęczki, a nawet na Pęczaki.

Ona: Proszę, nie przerywaj mi, pozwól, że dokończę. Doktor Frojt jest również radnym, biegłym sądowym, prezesem klubu sportowego, sędzią piłkarskim, członkiem rady nadzorczej banku, nazwy nie wymienię, abym nie była posądzona o kryptoreklamę. Prowadzi chór męski, kółko literackie, komponuje, maluje. Mimo młodego wieku już się habilituje.

Słowem...

On: Goli Angoli, a namydla w Gidlach. Łupi sobie głupich! Jakiś większy cwaniak.

Ona: Protestuję! Jak możesz?

On: Dobra, dobra, ty mi lepiej powiedz, jak się czujesz.

Ona: No, właśnie chcę ci powiedzieć, ale ty wciąż mi przerywasz i czepiasz się doktora.

Posłuchaj (*śpiewa*):

W białym oknie snu

Do siebie wracam z dusz dalekich,
z manowców sinych i bezdroży,
z kukułczych gniazd, gdzie czas kaleki
ominął palec boży,

gdzie oknem stał się biały fartuch,
drzwi oszukano brakiem klamek –
co dzień się rodził Bonaparte
i zamieniał się w kamień.

W salonie figur osobliwych –
kaftanik i lekarstwa łyk –
ciągle się jawi w lustrze krzywym
zastygłej twarzy krzyk.

(Refren; na ekranie diabeł z aniołem tną w pokera):

Wciąż w białym oknie mego snu
diabeł z aniołem o mnie grają.
Jak każdej nocy, dzisiaj znów.
duszę mą w karty przegrał anioł.

Wyrwać się pragnę z pęt niemocy,
bojąc się, że powróci sen,
który mnie wiąże każdej nocy
w długich rękawów tren.

I znów się oknem staje siostra,
niemiłosiernie nieznajoma,
białych pastylek niosąc postrach
i drzwi automat
(trzask zamykanych drzwi)

(Refren j.w. w refrenie):

Wciąż w białym oknie mego snu
diabeł z aniołem o mnie grają.
Jak każdej nocy, dzisiaj znów
duszę mą w karty przegrał anioł.

I znów się oknem stanie siostra,
niemiłosiernie nieznajoma,
białych pastylek niosąc postrach
i drzwi automat.
(seria trzaskanych drzwi)

On *(przejęty, z podziwem)*: Zawsze pięknie śpiewałaś, ale to... no, no, no. Słów mi brakuje i zapiera dech. Czyja to piosenka?

Ona: Moja i... Sama, to jest doktora Frojta. Mój tekst, jego muzyka.

On: Sama! Sama! Sama nie wiesz, co mówisz! Przecież nigdy nie pisałaś wierszy.

Ona: A właśnie, że pisałam... Trochę. Jak byłam małą. A tutaj doktor Frojt, oczywiście w ramach terapii, odkrył we mnie zdolności poetyckie.

On: Odkrywca się znalazł, jasna paranoja!

Ona: Och, kochany mój! Ty jesteś zazdrosny. No, przestań. Z doktorem łączą mnie jedynie wspólne zainteresowania. Napisałam dla jego chóru kilka piosenek. To wszystko. Uwierz mi! Po prostu podziwiam go: jako lekarza, artystę, człowieka...

On: Już nie chcę o nim słyszeć! Też mi artysta! Z bożej łaski. Chcesz? Na poczekaniu ułożę ci wiersz. I to taki, o jakim twój doktor pewnie nie ma pojęcia. Na przykład jedenastozgłoskowiec. Może być?

Ona: Nie wierzę! Średniówką?

On: Jasne, że średniówką. Na jaki chcesz temat?

Ona: Bardzo nie lubię zimy, to może o zimowej nudzie.

On: Proszę bardzo.

[chwilę się zastanawia, drepce w skupieniu. (A może: melorecytacja?)]

Nuda

Cóż po Sopocie, jeśli mnie tam nie ma?
Przespać by czas ten w gawrze z niedźwiedzicą.
Nie widzieć, jak się pośrodku dnia ściemnia,
ani serialu z Piotrem Machalicą.

Grudzień po grudzie, jak krew z nosa, styczeń –
toczyć mnie będą nuda oraz chłodem.
Mimo że forsy nikt mi nie pożyczy,
zawiany chodzić będę mimochodem.

Olga z Elbląga – wakacyjna miłość.
Ach, te jej biodra! Czy choć się odezwie?
Niechby mi luty ogrzała aż miło.
W marcu opuszczę izbę niewytrzeźwień.

Co się wydarzy? Co mnie w zimie spotka?
Kto ze mną zechce przełamywać lody?
A może, Boże, wygram w totolotka!
Odnajdę Olę. I na antypody...!

On: Mógłbym ciągnąć dalej, ale spuentowałem już temat.

Ona (*poirytowana*): Ja ci pociągnę! Ja ci zrobię antypody! Co za Olga? Jakie biodra?

On: A widzisz, kochanie? Chciałaś? To masz! Boli, co? Jak mnie twój doktorek.

Ona: Gadaj mi natychmiast! Co to za Olga z Elbląga!?

On: O Boże! Żadna! Albo: Krzyżanowska, Lipińska, Jackowska, a może nawet Boznańska... Żadna! Tak mi się zrymowało. Równie dobrze mogłem powiedzieć: Ola z Opola. Byłabyś zazdrosna o Jakubowską?

Ona: Jakubowska jest Aleksandra! Pamiętam, że lubiła inne czasopisma niż ty.

On: To Hania z Poznania, Renia ze Zwolenia, Zdżicha z Wałbrzycha albo jakaś picka z Prusicka... Ot, powiedziało mi się. Zwykła konfabulacja. Przecież wiesz, że kocham tylko ciebie. Nie kłóćmy się. Idźmy już.

Ona (*obłaskawiona*): Nie możemy jeszcze iść, bo czekam na wypis. A ty uważaj z tą konfabulacją. Zaraz mogą cię położyć w białym kaftaniku z rękawami do stóp.

On: Byleby z tobą, kochanie. Lepsze to od naszej mimowolnej separacji.

Ona: Już dobrze, dobrze. A swoją drogą: jesteśmy razem tyle lat, a tak mało wiemy o sobie. Nie podejrzewałam, że ty, bądź co bądź technokrata, możesz być aż tak liryczny, jak w tym wierszu.

On: Technokrata – srata-ta-ta! To stare dzieje. Kiedyś, jeszcze w liceum, mieliśmy zespół rockowy: Fermentum Odium Fructus. W całkiem dowolnym przekładzie miało to znaczyć: Fermentacja Śmierdzących Owoców. W skrócie: FŚO. Byłem tekściarzem Fsi.

Ona: I co? I co?

On: Nic. Proza. Nasz lider, pianista, któregoś dnia zwyczajnie zwariował. Wywalił na podłogę zeszyty i książki. Po czym podpalił to wszystko, mówiąc, że pali za sobą mosty. Rozebrał się do naga i spokojnie wyszedł ze szkoły. I tyle go widziano. Mówią, że trafił gdzieś do czubków. O, przepraszam! Tam nawet miał zjeść jakiś zegar z kukułką czy gdański. Coś w tym stylu.

Ona: O, Boże! To...

On: Co?

Ona: Nic, nic... (*rozwiązuje tobolek*) Pomóż mi pakować, bo jak powiada doktor Fro... O! Przepraszam. Nie ma czasu...

On: A co ty będziesz pakować?

Ona: Jak to – co? To wszystko! Dlatego prosiłam, abyś przyniósł dwie torby. No nie, nie zmieści się! Głupio będziemy wyglądać z tym tobołem.

On (*patrząc na składane przez Oną łóżko polowe*): I łóżko też?

Ona: Tak! Łóżko też, przecież to moje... z akademika. Na czym będę waletować? Mówię, to wszystko! Nie chcieli mnie przyjąć, bo nie mieli wolnych łóżek, więc przyszłam ze swoim. Moja poduszka, poszwy, prześcieradła, koc, lampka nocna, talerze, sztucce, kubki-śrubki-czubki-dupki... (*wylicza dalej*) termoфор, piżama, kapcie, ręczniki, radyjko. Resztę zostawiłam koleżankom.

On: Jaką resztę?!

Ona: O, Boże! Igły, strzykawki, termometr, leki, mydło-powidło, papier toaletowy, podpaszki, żarówki, kroplówki i inne drobiazgi.

On: To co oni tutaj mają?

Ona: Lekarzy. Ale już niewielu. Powyjeżdżali. Pielęgniarki też... zresztą. Namęczyłam się okrutnie, przyjeżdżając tutaj. Bo ty musiałeś wyjechać do Rosji! Zostawiłeś mnie samą jak palec... (uśmiecha się) Ależ ta metafora jest bez sensu!

On: Musiałem, kochanie. Przecież wiesz, że taka okazja może się już nie zdarzyć. *Veni*,

vidi, Deus vicit! Że posłużę się słynną parafrazą. Poza tym dziekanowi się nie odmawia. Zwiedziłem za darmo Sankt Petersburg z przysiółkami.

Ona: Ty mi tu z łaciną nie wyjeżdżaj. Co to znaczy?

On: *Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył!* Petersburg jest niewątpliwie dziełem Boga. A łacińskie sekwencje mogą się kiedyś przydać na sejmowej mównicy. Wiesz, że polityka mnie kręci. Widać jestem krętaczem...

Ona: No, tak. Ale co z tym Petersburgiem? Tak mało opowiedziałeś mi przez telefon.

On: Nic szczególnego. Dziekan zaprosił, dziekan płacił. Miał parę wykładów na uniwersytecie. Lubi, gdy mu asystuję. Przecież wiesz, że chce mnie zatrzymać na uczelni. Mam już zaklepaną robotę. Ponadto dziekan przeprowadzał w Rosji paralełę do polskiej rzeczywistości..

Ona: I jakie wnioski?

On: Szkoda gadać!

(dalej śpiewnie na modłę „Hawaj jest piękny” Tercetu Egzotycznego):

Putin jest piękny,

Putin uroczy!

Putinie, powiedz mi, czy kochasz mnie...

Ona *(śmiejąc się)*: Czyś ty zmienił orientację?! Teraz to takie modne. Ale przecież Putin związał się z Gerardem Depardieu. Albo odwrotnie.

On: Czepiasz się, kochanie. Przecież wiesz, że lubię sarkazm. A Obelix to rzeczywiście tajna broń Putina.

Pielęgniarka: Wypis! Komu wypis?

Ona: Dla mnie. Nareszcie! Dziękuję, siostró. *(do Onego)* No, technokrato, idziemy.

On *(chwytając torbę i łóżko polowe. Rusza w stronę widowni. Uderza głową o wyimaginowaną ścianę. Rzuca sprzęty. Wskazując na tę umowną ścianę, puka w nią)*: Cholera! Co to jest?

Ona *(śmiejąc się)*: Gdzie idziesz? No, gdzie ty idziesz? Przecież tam jest ściana z pancernego szkła czy czegoś podobnego. Takie lustro weneckie czy fenickie. Rozumiesz? Oni nas widzą, a my ich nie.

On: Ale jacy oni? I po co ta ściana?

Ona: Bo tam jest OdDeCh!

On: Co takiego?

Ona: OdDeCh! Oddział Definitywnie Chorych. My mówimy o nich DoDeChy – Do Dechy Chorzy! Beznadziejne przypadki – w stadium tak zaawansowanym, że nie ma dla nich ratunku. Szlus! Kompletne świry!

On: Ale co im jest? Co im jest?

Ona: Ojej! Długo by wymieniać: pracoholizm, nikotynizm, alkoholizm, abstynencja, orientacja, hedonizm, erotomania, lekomania, megalomania, mitomania, melomania, kinomania, teatromania, plotkarstwo, politykierstwo, wędkarstwo, domatorstwo, że tyle tylko wymienię *(zdyszana)* No, może jeszcze: łakomstwo, aktorstwo, bigoteria, galanteria, pasmanteria, Tasmania, Transylwania... *(dolegliwości można dowolnie mnożyć lub redukować)*.

On *(wskazując na widownię)*: I oni wszyscy...?

Ona: Tak. Każdy z nich cierpi na którąś z tych nieuleczalnych przypadłości albo na kilka naraz.

On: To straszne. Ale zaraz, zaraz... Tasmania? Transylwania?

Ona: No, wiesz... *(pokazuje kły)* diabeł tasmański, czosnek, kołki osikowe, no...

On: Aaaa, Drakula? Wampiryzm?!

Ona: Właśnie. Drakula, Mikula¹...

On: Mikula? Nie kojarzę.

Ona: To sceniczne nazwisko aktora, Michała Kuli.

On: Tego z telewizji?

Ona (*potakując głową*): Zdomowił się tutaj od lat.

(*Sanitariusze prowadzą szczerzącego kły i odzianego w kaftan Michała*)

Ona: O, widzisz? O wilku...łaku mowa.

On: Rzeczywiście! Poznaję go. Wilczur albo nawet pitbull całą gębą. (*Wskazując na widownię*) Czy można by tam jakoś zajrzeć?

Ona: Naturalnie! Tu jest wizjer... Ale nie przeraż się!

On (*ogląda publiczność przez wyimaginowany wizjer. Na widowni pojawia się Chór: białe peleryny, kaptury. Płaczek i Chichotek. Małe zamieszanie*): Ludzi tam jak w teatrze. To duży odział. Ten DoDeCh. Aha... Przekomarzają się.

[*Chór, rozlokowany pośród publiczności, śpiewa „Łabędzi śpiew”. (Płacz Płaczka, chichot Chichotka.)*]²

Chór:

Łabędzi śpiew

W tym przybytku już od lat
wkurza nas i mierzi świat.

Czepia nas się niczym rzep –
trzeba sobie strzelić w łeb.

(*Chór strzela sobie w łeb: jedni z pistoletów, inni
z piersiówek. Skutek jest ten sam: osuwają się
na podłogę. Jednakże każdy śpiewać musi.*)

*I poszczególni wykonawcy powstają do odśpiewania
swojej kwestii.)*

solo:

A ja lubię mocne kino,
gdy się gęsto ściele trup,
krew się leje niczym wino
i na grobie rośnie grób.

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

razem:

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

¹ Tylko w przypadku, gdyby w spektaklu mógł zagrać Michał Kula. Ale każdej innej gwiazdzie możemy przypisać jakąś traumatyczną przypadłość. (Tę kwestię można pominąć)

² Płaczek z Chichotkiem stanowią ekwiwalent etycznych wartości, nastrojów, zachowań, etc. naszych bohaterów. Są, do końca, komentatorami tychże. Więcej pantomimy, ekspresji ruchowej, niż gry werbalnej. (Poza śpiewaną kwestią Płaczka w scenie finałowej.) Jak w naszej religii, tradycji czy wyobraźni: anioł cieszy się na dobro, płacze na zło, diabeł zaś odwrotnie. O ile jednak, w samej grze, Płaczek ma mniej środków wyrazu (uśmiech, zadowolenie), o tyle ma ich więcej Chichotek (taniec, brewerie, fanaberie, aż po zjadliwy, sardoniczny śmiech). Wiadomo – zakazany owoc smakuje inaczej. Ale czekajmy końca.

solo:

A ja lubię mieć pieniędzy
trzy kieszenie i pięć kont.
Nie mieć nędzy, baby jędzy –
być światowym jak James Bond.

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

razem:

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

solo:

A ja lubię siedzieć w domu –
w telewizor wsadzić nos
i oglądać oszołomów,
którzy kują w głos mój los.

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

(razem:)

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

solo:

A ja lubię szybkie auta
i dziewczynki wozić w nich.
Nie uprawiać samogwałtu.
Lubię luz i szpan, i blichtr.

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

razem:

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

solo:

A ja lubię baby gołe,
wyuzdane w cały świat –
więc na stole i pod stołem
wprost bym je łyżkami jadł.
(krótki motyw z piosenki „Baby, ach te baby”)

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

solo:

A ja lubię wielkie żarcie –
kilogramy mięsnych tusz
wciąż połykam nieodparcie.
Parcie byczo wzmacnia tłuszcz.

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

solo:

A ja lubię czystą wódkę –
po niej jest tak lekko mi,
że się czuję krasnoludkiem
i Marysia mi się śni.

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

solo:

A ja lubię być twardzielem –
(*basem*) za nic chętnie w mordę dam.
W życiu pęka tylko jeleni –
bądź twardzielem jak Wuj Sam!

Wtedy jest, wtedy jest,
jak to mówią – jest *the best!*

Już od niepamiętnych lat
ryczy z bólu ranny łos.
(*donośny ryk łosia*)
Obojętnie patrzy świat,
kiedy ktoś dostaje w kość.

Krew się burzy, lecz jej zew,
to jest nasz łabędzi śpiew.

Ona: No, co ciebie tak zamurowało?

On: Jacys nachelani pomylenicy w kapturach. To zombie?! Strzelali sobie w łeb, padali,
a żyją. Są nie do zabicia, jak Bednarski.

*[Nie ukrywam, że pisałem ten scenariusz z myślą o wystawie-
niu w teatrze częstochowskim. Stąd moje podlizywanie się
dyrektorowi Machalicy, który to (aż się prosi w tym miejscu)
przechadza się holem, śpiewając fragment swojej piosenki
z serialu „Na kłopoty Bednarski”. Stąd dygresja Pana
dyrektora (Ale tę kwestię można też pominąć)]:*

Pan dyrektor:

„Rzecz cała w wielkim skrócie –
zabili go i uciekł.
Włożył papucie
i znów pełni straż...”

On (*zdziwiony*): Kochanie, przecież to Piotr Machalica!

Ona (*jakby nigdy nic*): A tak, jest tutaj stałym rezydentem. Został nawet honorowym dyrektorem tej lecznicy.

On: No, a tamci?

Ona: Co, tamci? Pozwól, że zerknę. Aaaa... to nasz chór ma tam dzisiaj próbę. Ćwiczą moje piosenki. Zwykle wprawiają się w parku, ale dzisiaj jest tam zlot skinów. A sam wiesz, jacy oni są – skini z jaskini!

On: Też mi chór! Od siedmiu boleści. Chodźmy już. Głowa mi pęka. Już nadto zabałamuciliśmy.

(Zbierają się, udając się powoli za kulisy).

On: Pamiętaj, że jutro o drugiej mamy spotkanie w urzędzie miejskim w sprawie naszego mieszkania. Czekaj na mnie w parku o pierwszej, tam gdzie zwykle. Mam nadzieję, że tych oszołomów tam nie będzie.

Ona (*zakłopotana*): Na śmierć zapomniałam, przecież telefonowałeś. Ale o pierwszej? W parku?

On: Tak! O pierwszej w parku. Jasna paranoja!

Ona: Żebyś wiedział, żebyś wiedział...

(Znikają za kulisami. Chór niespiesznie zmierza ku scenie, śpiewając „Pętlę” tak, aby pod koniec odstoni znaleźć się na scenie, wchodząc na nią przez otwierane kartą czy pilotem niewidoczne drzwi. Płaczek, Chichotek.)

Pętla

W czterech ścianach bez drzwi,
pod sufitem, co spada na głowę,
jęczy pętla zakłęta w krzyk –
ostatecznie zawisłym słowem.

Gady, płazy, szarańcza –
spowijają podłogę strachu
i opętańczo tańczą
z nawiedzonym skrzypkiem na dachu.

[parę taktów ze „Skrzypka na dachu” (może balet?)]

Tu nadzieja jest kacem,
zgrzytem zębów na stosie szkła,
bestią, która do gardła skacze,
niežnośnie gryząc co dnia.

W oczach pustych butelek
wykorkował świat wertykalnie –
dzwonią w dobrze známym kościele
(tutaj zaś: brzęk butelek, przechodzący w dalekie bicie dzwonów)
i nie ciąży ciążenie, bynajmniej.

Gady, płazy, szarańcza –
spowijają podłogę strachu
i opętańczo tańczą
(ponownie balet, a skrzypek robi swoje)
z nawiedzonym skrzypkiem na dachu.

Koniec dnia pierwszego



Jan Ciesielski

PUDER SZOŁ - NA WSZYSTKIE TEMATY

ODCINEK 1

OSOBY:

Miss Felicja

Redaktor

Gość

Miss Felicja *do publiczności*: Pamięć ludzka jest jak stary góral, co nic nie pamięta... Czasem jednak przysłowia są po to, by je łamać jak stereotypy. Przekonacie się państwo wkrótce sami, parami albo z całą rodziną. Jak sen, co przyniesie czasem zwątpienie po przebudzeniu, tak historię tę ku przestrodze niedowiarkom, chcemy państwu zareklamować. Dla otuchy, a niekiedy ku przestrodze potomnym... Nie wszystko s t r a c o n e, jak mówili zawodowi k a c i. I ten optymizm ma niekiedy skutki odwrotne do zamierzonych, o czym niech posłuży niniejszy fakt, jaki nastąpił (choć wcale nie musiał).

Redaktor *do Gościa*: Była zima. Śnieg zasnuł uliczne załomki... Wracał pan do... no właśnie, panie Kaziu, dokąd pan wracał?..

Gość: Wracałem... do siebie...

Redaktor: A mówił mi pan przed programem, że wracał do domu?!

Gość: Panie redaktorze, ażebym ja mógł wrócić samodzielnie do domu, to najsamopierw musiałem wrócić do siebie. Pan... nigdy nie wracał?

Redaktor: Do siebie?! Nie, chyba że... w domu...

Gość: Coś pan kręcisz!.. Ja ocknąłem się...

Redaktor: I co? I co? Długo trwało?

Gość: Libacja w plenerze?

Redaktor: Właśnie!

Gość: Sześć godzin i osiemnaście minut. Zygiemu ktoś nadepnął na rękę. Miał stoper – zdepnęty – stąd wiem.

Redaktor: Nie tracił pan czasu, co?

Gość: Trochę orientację...

Redaktor *domyślnie*: Polityczną?

Gość: Nie... W terenie. Znałem strony świata za pomocą zegarka i busoli, ale na zdepnętym nie mogłem nijak się rozeznąć.

Redaktor: To oczywiście! Jak pan się ocknął zmrokiem, to co panu świtało?

Gość: Ciemność mi świtała wokoło. Otrząsłem się z marazmu...

Redaktor: A mówił pan, że z błota!..

Gość: Aaa, to nie wtedy! To jak mnie później ludzie z nim miesza! Tamte błoto to mnie się wykruszyło z garnituru. Dobrze mówię! Ockłem się z marazmu!.. Gdzie ja jestem, gdzie ja jestem – zadawałem sobie (jak się później okazało) podchwytliwe pytanie... W n i e b i e?! Tak białe!.. A co tak p i e k i e l n i e zimno?!

Redaktor: To zima pana śniegiem zaskoczyła?!

Gość: Nie tylko mnie! Drogowców! Ale mnie pan przerywa wątek myślowy!..

Redaktor: Przepraszam... to pasjonujące!..

Gość: Patrzem resztkami oczu, sala jakby szpitalna... Nie... zbyt czysto na szpital.
Co jest?.. – myślę.

Redaktor: Pierwszy śnieg zawsze jest czysty...

Gość: Panie redaktorze, to ja miałem opowiadać!

Redaktor *do kamery:* Przepraszam państwa, ale pan miał nam dostarczyć opowieści mrożącej krew w żyłach...

Gość: I tak było! Leżałem przykryty tym śniegiem i gdybym nie był mocno wypity, to krew byłaby dawno zmrożona! Lekarz mi to powiedział, że wódka uratowała mi życie. Lekarz z izby.

Redaktor: Przyjąć?

Gość: Też, ale wytrzeźwień!

Redaktor: I co pan postanowił?

Gość: Że wódka już nie będzie ze mnie robiła bałwana! No chyba, żeby latem... Mniej-sze ryzyko!

Redaktor: To ma pan trzeźwy osąd w tej kwestii! Dziękujemy panu bardzo, panie Kaziu!

ODCINEK 2

OSOBY:

Miss Felicja

Redaktor

Gość

Miss Felicja *do publiczności:* Przedstawiam państwu pana Zbyszka... człowieka, jakich wielu, ale jak się państwo zorientują – nietuzinkowego, odważnego, bez kompleksów, prostodusznego i ...linijnego, co w naszych czasach urąga powszechnym mniemaniom o naturze ludzkiej: bez serca, wyobraźni, nieczułych na świat, który ich obtacza naokoło; zaszczutych codziennymi obowiązkami i problemami, których nikt nie chce rozwikłać lub obojętnością na rzeczywistość, niekiedy odbiegającą od standardowych schematów. Właśnie przykładem na powyższe może być pan Zbyszek, człowiek, który mimo iż wielu w jego sytuacji ugięłoby się pod brzemieniem różnych opinii, nierzadko sprzecznych, a i negatywnych poniekąd w przewadze – potrafił stawić nie tylko czoła, ale i całą głowę na przekór stereotypom i typowym rzecz można – typom. Więc się pytom, pardon, pytam: kto następny? Ale niech będzie pytanie lapidarne, bez odpowiedzi!.. A oto nasz gość!

Redaktor *do Gościa:* Jak pan się nie bał?.. W biały dzień?!

Gość: Szaro już było... w zasadzie...

Redaktor: Wiem, ale tak się mówi...

Gość: Panie redaktorze, ludzie różnie mówią...

Redaktor: Znam to. Mają różny akcent. Ale pan mnie czym innym zadziwił. Jeszcze raz pytam: jak pan się nie bał w szary dzień?

Gość: My tam się uczymy różnych obaw nie mieć. Spotykamy się często, to i wymieniamy...

Redaktor: Znaczkę?..

Gość: Nie, panie redaktorze, doświadczenia. I starsi są u nas, i młodszy, zajęcia różnorodne... tam mamy...

Redaktor: Wasze?

Gość: Co – nasze?

Redaktor: M a m y wasze!

Gość: A skąd! Zajęcia różnorodne tam mamy. My mamy tam różne zajęcia. Jest nam tam dobrze.

Redaktor: Aaa! Aaa! Teraz rozumiem! To taki klub tam!.. No niech nam pan wreszcie opowie, jak to pan po wyjściu z klubu... w biały dzień...

Gość: W szary! Więc wchodzę do sklepu, śmiało wchodzę, wydaję z kieszeni odliczone pieniądze, wysypuję wszystkie na ladę...

Redaktor: I co, i co – nie bał się pan?!

Gość: Wziąłem się na odwagę i mówię: Nazywam się Zbigniew Okończyk, poproszę pół litra czystej! A co – mam ciągle uchodzić za anonimowego alkoholika?!

Redaktor: Aaa!.. Aaa!.. Z klubu!.. A co – nie był pan znany?

Gość: Z picia?

Redaktor: Nie! Z takiej odwagi!

Gość: Byłem, ale jak miałem wychłane!

ODCINEK 3

OSOBY:

Miss Felicja

Redaktor

Goście: Anastazja i Bonifacy

Miss Felicja *do publiczności:* Ktoś, kto mało przeżył, a i ten, co dość dużo, to opowiedzieć może uznać za wiarygodną w stopniu mało zadowalającym. Na przekór tego rodzaju poglądom są sytuacje, z których wybrnięcie może powodować jeszcze większe tarapaty. Przykłady czasem chodzą parami. Czasem pary chodzą przykładnie. Otóż przed państwem taka właśnie para.

Redaktor *do Gości:* Czy łatwo było państwu tu przyjechać?

Anastazja: Czy łatwo?.. Niekiedy... trudno... powiedzieć...

Bonifacy: Teraz łatwiej mi powiedzieć, że trudno.

Redaktor: No, trudno, ale skoro już jesteście, nie zabieram wam głosu.

Anastazja: Wyborczego?

Bonifacy: Czego?! Głosu, do którego ty masz dojść teraz, kobieto!

Redaktor: Proszę mówić. Nikt nas nie podsłuchuje. Co się wydarzyło?

Anastazja: Popadliśmy w kałabaję... jakby...

Bonifacy: Jakimś fiskusem nas straszą nocą...

Redaktor: Właśnie! Mówili mi państwo po programie, że okoliczni mieszkańcy do dzisiaj państwu nie wierzą.

Anastazja: Jemu nie wierzą!

Bonifacy: Tobie też!

Redaktor: Nie do wiary! Państwo zgodni tacy!

Anastazja: Z nim tak zawsze było.

Bonifacy: To przez nią! Kartonów po waflach nie chciała wycinać, kapsli po piwie nie prostowała, a jak po margarynie włożyła opakowania do koperty, to nijak nie szło na kopercie adresu firmy napisać!

Redaktor: Tak zatłuściła.

Bonifacy: Widział pan? Był pan na poczcie?!

Redaktor: Domyśliłem się.

Bonifacy do Anastazji: Widzisz, pan redaktor nie był na poczcie, a domyślił się... A wygrana była pewna!

Anastazja: Co będziesz gadał! Aty, jak wysyłałeś butelki po oleju?! Mówiłam, że nie wypada w skrzynkach! Trzeba było tylko zaprasować żelazkiem!

Bonifacy: Panie redaktorze, to ona zaczęła puszkę po śledziach w oleju wysyłać bez prostowania...

Anastazja: Ooo, pragnę sprostować...

Redaktor: A jednak! To byłby huk roboty...

Anastazja: Pragnę sprostować to, że mąż mnie oczernia przed ludzkością. On pierwszy zaczął zbierać kubki po kefirach, jak zobaczył reklamę w telewizorze. Co trzeci los wygrywa – mówił. Wystarczy wysłać denka.

Bonifacy: A skąd wiedzieć miałem, że odpowiedzi należało wysyłać jedynie na kartkach pocztowych?! To jak te denka... na tych kartkach?..

Anastazja: Denny to on zawsze był!

Redaktor: Proszę się nie spierać! Jeszcze wszystko przed państwem! Nie ten samochód, to inny wygracie. I to kilka nawet...

Bonifacy: Wiem, czytałem ulotkę: „Weź szesnaście opakowań pasty, wytnij numery”...

Anastazja: A nie mówiłam! Takie numery mi wycina, że już nam na znaczki nie starcza do pierwszego i na opłaty pocztowe.

Redaktor: Znaczy się – szansa duża przed państwem się otwiera. Jak przepaść, to z kretelem!

Anastazja: Kredens już sprzedany. Na opłaty...

ODCINEK 4

OSOBY:

Miss Felicja

Redaktor

Gość

Miss Felicja do publiczności: Razi nas niekiedy belka w czyimś oku. Niekiedy zdarzenia bulwersujące opinię publiczną przechodzą po nas jak ciarka po brzuchu. Losy, jakie jedni drugim gotują, często stają się po ugotowaniu mało jadalne... A jednak pewne fakty mogą jednym zawrócić w głowie – innych zwracają z raz obranej drogi. Tak wyglądają tezy ogólne. A oto przypadek szczególny na ich poparcie.

Redaktor do Gościa: I jak to się zaczęło?

Gość: Urodziłem się jako mały chłopczyk...

Redaktor: To już wiemy!

Gość: A skąd? Nigdy tego panu nie mówiłem!

Redaktor: Przecież widzimy pana!

Gość: Jako małego chłopczyka?

Redaktor: Nie! Dużego! Przecież skoro pan jest, to musiał się pan przecież urodzić!

Gość: Wcale nie musiałem, a nawet innego tatusia miałem mieć rok wcześniej...

Redaktor: O tym porozmawiamy przy innej okazji. Zgodził się pan mówić o czymś całkiem innym. Może pominiemy ten wczesny okres w pańskim życiorysie.

Gość: Dobrze! Będąc w drugiej klasie...

Redaktor: Proszę pana, to też dawno było. Wróćmy do...

Gość: Jak to?! Właśnie wracałem – będąc w drugiej klasie...

Redaktor: Jakiej szkoły? – jak już pan musi...

Gość *oburzony*: S z k o ł y?! Czy ja mam mówić, czy może list napiszę, a pan redaktor odczyta?! Będąc w drugiej klasie pociągu pośpiesznego z Brzegu do Koszulek... pardon, Koluszek, siedziałem w przedziale dla...

Redaktor *domyślnie*: Niepijących... pardon, niepalących?

Gość: Dla matek z dziećmi! W Łowiczu wsiada matka z dwiema...

Redaktor: Walizkami...

Gość: Gdzieżby – z dwiema córkami!

Redaktor: W jakim wieku?

Gość: Pod koniec dwudziestego to było.

Redaktor: I cóż, nie bał się pan takiej przewagi?

Gość: Z początku – nie. Myślę sobie...

Redaktor: Już pan zaczął myśleć! To zdumiewające!

Gość: A co! Stać mnie było! I młody jeszcze byłem i jako taki, to człowiek więcej ryzykuje...

Redaktor: I co z tym myśleniem? Długo to trwało?

Gość: Może ze dwie stacje.

Redaktor: A co, pociąg nie zatrzymywał się na nich?

Gość: Ani myślał. Nie to, co ja. Ja ciągle myślałem.

Redaktor: A jakby pan jechał w pierwszej?

Gość: To było „myślenie w innej klasie”.

Redaktor: A wówczas...

Gość: Wchodzi konduktor rewizyjny...

Redaktor: I wówczas się pan zorientował?

Gość: Że k o n d u k t o r? Od razu! Był w ubraniu kolejarskim!

Redaktor: Nie, nie o to pytam!

Gość: Aha, nie, jeszcze nie! Jak podałem mu bilet! Patrzy, ogląda. Na mnie, na bilet, znów na mnie, na bilet...

Redaktor: Potem znów na pana, a później na bilet. Był pan niepodobny czy co?!

Gość: Nie wiem, ale zacząłem wtedy już poważnie się orientować, że coś nie jest tak.

Redaktor: I co? I co?!

Gość: Konduktor rzecze: Proszę pana, albo pan ma dobry bilet i pan jesteś w porządku, albo my wszyscy pozostali jedziemy w odwrotnym kierunku!!!

Redaktor: I co się okazało?

Gość: Otóż ja miałem rację! To maszynistę przyczepili nie do tego końca pociągu!

ODCINEK 5

Osoby:

Miss Felicja

Redaktor

Gość

Miss Felicja *do publiczności*: Organy administracji nie zawsze grają pierwsze skrzypce. Orkiestra nie zawsze gra do końca, jak jej nie płacą. W kawiarniach nie tylko kawę podają... Często na grządkach chwasty przewyższają zasiane tam warzywa. I podobnie było w naszym przypadku.

Redaktor *do Gościa*: Od kiedy miał pan takie... a może pan sam nam przybliży?

Gość *przybliża krzesło*

Redaktor: Nie krzesło! Problem! Z czym pan do nas przyjechał?

Gość: Aha, bo nie zrozumiałem. Problem zaczął się właściwie wcześniej.

Redaktor: Bardzo? Tego mi pan nie mówił!

Gość: Zapomniałem z tego wszystkiego. Była 5.20.

Redaktor: R a n o?

Gość: Pewnie, że rano. Wieczorem to byłaby 17.20.

Redaktor *w rozstargnieniu*: A po zmianie czasu na... letni?.. Przepraszam, niech pan mówi, to fascynujące!

Gość: Budzę się zatem o 5.20...

Redaktor: Jak pan to z r o b i ł? To ciekawe!

Gość: Wyłączyłem budzik.

Redaktor: S a m? A nie bał się pan?.. Przepraszam, niech pan kontynuuje...

Gość: Patrzę – skrzynka!

Redaktor: Do rzeczy!

Gość: Do rzeczy to mam wnękę w przedpokoju. Mówię: skrzynka. Do kwiatów. W niej...

Redaktor: Rosły budziki – pardon – kwiatki... I co było dalej?

Gość: W niej... umieszczony był budzik właśnie... Słyszę tykanie...

Redaktor: Myślał pan – pewnie bomba zegarowa...

Gość: Konkretnie – to bomba budzikowa. Te kwiaty mnie naprowadziły.

Redaktor: Zapachem? Oстрыm?

Gość: Nie! Że niepodlewane celowo! Aha, myślę, aby mechanizm nie zardzewiał w skrzynce. Ale podstęp – myślę...

Redaktor: Mimo wczesnej pory...

Gość: Co wczesnej, mimo?..

Redaktor: Mówię, że mimo wczesnej pory już pana stać było na myślenie! I co pan zrobił?

Gość: Uciekłem! Normalnie! Zabrałem tylko kartkę dołączoną do budzika...

Redaktor: I co na tej kartce? Okup? Stawiane warunki?..

Gość: Eee tam, tylko warunki... Czytam: „Jeśli znów nie podlejesz kwiatków, o co cię prosiłam, to będziesz budzony jeszcze wcześniej”. I podpis: „Żona”.

Redaktor: To ma pan rzeczywiście b o m b o w ą żonę!..

MUZYKA SAKRALNA JAKO OWOC WIARY. Z O. NIKODEMEM KILNAREM OSPPE ROZMAWIA BARBARA STRZELBICKA



O. Nikodem Kilnar, foto Barbara Strzelbicka

Klasztor Ojców Paulinów na Jasnej Górze pełni – oprócz funkcji religijnej – rolę kulturotwórczą. Jak postrzega Ojciec związek religii ze sztuką? Na czym, zdaniem Ojca, polega fenomen muzyki sakralnej?

W 1382 r. książę Władysław Opolczyk sprowadził z Węgier paulińskich pustelników, osiedlając ich na Jasnej Górze i przekazując im słynący łaskami Obraz Matki Bożej. Od tego momentu rozpoczyna się historia, w której działanie Boga i niezawodne

orędownictwo Najświętszej Maryi daje początek wielkich dzieł zbawczych, jakich doświadczają pielgrzymi przybywający niemal z całej Europy. Jasna Góra staje się miejscem, gdzie najintensywniej głosi się Dobrą Nowinę o zbawieniu, sprawuje się sakramenty, celebrowe liturgię. Stąd powstają nowe zabudowania kościelne, wspaniałe wnętrza kaplicy i bazyliki, powstaje jasnogórska malarnia, hafciarnia, stolarnia i już w początkach XVI w. – kapela jasnogórska, która staje się szkołą muzyczną, a nawet

akademią muzyczną, jedynym miejscem, w którym mogli kształcić się mieszkańcy Częstochowy przed ponad 400 laty. Zdolniejsi uczniowie uczą się grać na kilku instrumentach, a najzdolniejsi – kompozycji. Jako owoc wiary powstają dzieła stworzone dla kultu Pana Boga i Matki Najświętszej, dla potrzeb liturgii. Stąd, jak mówi znakomity polski filozof O. Mieczysław Krąpiec, powstaje kultura jako zmaterializowana forma ludzkiego ducha, objawiająca się w dźwiękach, kształtach, obrazach, rzeźbach, piśmiennictwie, hafcie itp. Żadna religia nigdy nie stworzyła tak znakomitych dzieł muzycznych w licznych formach i w tak znakomitej ilości, co chrześcijaństwo. Dzieł liturgicznych we wspaniałych opracowaniach i ogromnych składach wykonawczych. Liczne ich przykłady znajdujemy w jasnogórskim archiwum muzycznym. Wierni, którzy tu przybywali, mogli usłyszeć muzykę swojego okresu wykonywaną na bardzo wysokim poziomie dzięki wspomnianej kapeli jasnogórskiej, w której skład wchodził zakonnik pauliński, a już w XVIII w. również muzycy świecy, zamieszkujący dom muzykantów na Jasnej Górze. Wiara rodzi kulturę, która jest jej owocem. Tam, gdzie jest brak wiary, tam następuje zanik kultury. A tam, gdzie brak kultury, tam następuje agonía narodu. Narody Europy umierają z powodu odejścia od Boga i porzucenia wiary i kultury chrześcijańskiej, co obserwujemy szczególnie na zachodzie Europy. Islamizacja Europy dokonuje się na skalę niebywałą, zrodzi podobne problemy, z którymi zmagają się: Sudan, Uganda, Syria, Irak, Egipt, Turcja, Nigeria Filipiny i inne narody. W wyniku zaplanowanego programu „multikulti” wmówiono społeczeństwu, że idealną formą współistnienia są tzw. „wartości europejskie”, których do dziś nikt nie potrafi zdefiniować. A wiemy, że są to pseudowartości, że jest to droga do samounicestwienia narodów. Próba ubezwłasnowolnienia narodów, które

pragną z całego serca zachować prawdziwą kulturę zbudowaną na chrześcijaństwie.

Na koncercie inauguracyjnym dyrektor Małgorzata Zuzanna Nowak powiedziała, że 27. edycję Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” zawdzięczamy Ojcu. Proszę powiedzieć, co znaczyły te słowa.

Żyjemy we wspólnocie Narodu i Kościoła, pracujemy w jednym zespole, jak mówią sportowcy – jesteśmy biało-czerwoną drużyną. Gra cały zespół, a jeden zawodnik strzela bramkę. Ja, dzięki miłosierdziu Pana i Jego łasce, spełniam w Kościele wyłącznie rolę służebną. Jako krajowy duszpasterz muzyków kościelnych wspieram wiele inicjatyw religijnych i kulturalnych w Polsce, m.in. Festiwal „Gaude Mater” w Częstochowie. Działamy zespołowo, wpieramy się, pomagamy. W tym roku bez bardzo dzielnych pań, wiceprzewodniczącej Stowarzyszenia Przyjaciół „Gaude Mater” Grażyny Domaszewicz i dyrektor Festiwalu Małgorzaty Nowak, członków Zarządu oraz członków Stowarzyszenia, Festiwal by się nie odbył. To absolutnie ich zasługa. Moja rola w organizacji Festiwalu jest służebna.

Z Festiwalem jest Ojciec związany od dość dawna. Proszę opowiedzieć o swojej ciągle trwającej przygodzie z Festiwalem.

W Festiwalu miałem szczęście uczestniczyć wiele razy – również jako wykonawca. Kiedy rozpoczął się Festiwal, myślałem, że była to druga jego edycja, wystąpiłem ze Scholą Gregoriańską Wyższego Seminarium Duchownego w Krakowie Na Skałce. Zaśpiewaliśmy podczas Mszy św. inaugurującej Festiwal oraz podczas koncertu w kościele p.w. św. Jakuba w Częstochowie, wykonując chorał gregoriański o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. Wystąpiłem też wraz z O. Sebastianem w chórze Kapeli Jasnogór-

skiej pod dyr. Jana Tomasza Adamusa, wykonując dzieła Józefa Elsnera i był to dla nas ogromny zaszczyt. Pani Dyrektor Małgorzata Nowak o niczym nie wiedziała (to była niespodzianka), aż tu nagle wchodzimy wraz z artystami na podium... Widać było ogromne zaskoczenie. Później już co roku podczas naszych posług na Jasnej Górze w maju uczestniczyłem jako słuchacz w tym wielkim wydarzeniu wiary, jakim jest Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. Po święceniach kapłańskich i po powrocie z misji w Afryce Południowej, gdzie pracowałem w latach 1995-1999, rozpocząłem intensywniejszą współpracę z Festiwalem. Zaowocowało to corocznym wykonawstwem muzyki ze zbiorów jasnogórskich oraz konferencjami naukowymi.

Jest Ojciec członkiem Rady Artystyczno-Programowej Festiwalu. Jak pracuje Rada i czym się w szczególności zajmuje?

W Radzie Artystyczno-Programowej Festiwalu posługuję od 2002 r., a więc 15 lat. W klasztorze jasnogórskim spełniałem wtedy funkcję podprzeora, a więc było to bardzo ważne umocowanie, aby też na stałe zainicjować w ramach poszczególnych edycji Festiwalu muzykę ze zbiorów jasnogórskich oraz cykl konferencji muzykologicznych, w tym również o randze międzynarodowej, poświęconych kompozytorom jasnogórskim. Na tych konferencjach prezentowany był dorobek kompozytorski, biogram kompozytora oraz analiza muzykologiczna poszczególnych dzieł muzycznych. To jest głównie moja praca, którą dzieliłem się z członkami Rady Artystyczno-Programowej. Sama Rada oczywiście przygotowuje propozycje na kolejne edycje Festiwalu, listę wykonawców, repertuar, uwzględniając przede wszystkim religijny charakter utworów, a także przypadające rocznice, które niejako wyświeślały i sugerowały program. Dorobek i kompetencje członków Rady w tym zespole są nie

do przecenienia, bowiem zawsze staraliśmy się wybrać najlepszy repertuar jak również zaprosić wykonawców z najwyższej półki. Ogromne zasługi w konsolidacji całego zespołu ma dyrektor Festiwalu Małgorzata Nowak, która przewodzi naszej Radzie.

Festiwal to niewielki wycinek działalności muzycznej Ojca, ponieważ na co dzień jest Ojciec kustoszem jasnogórskich zbiorów muzycznych, członkiem Zespołu Naukowo-Redakcyjnego Jasnogórskich Muzykaliów. Jakie zbiory muzyczne znajdują się na Jasnej Górze?

Jasnogórskie zbiory muzyczne to ogromny dowód materialny na chwałę Bożą, jaka tu rozbrzmiewała poprzez wieki. Ogromna pieczołowitość paulińskich zakonników, którzy przewieźli ze sobą księgi liturgiczne z Węgier, gdzie zakon powstał w 1250 r. i troska o piękno liturgii zawsze przyświecały mnichom i stanowiły podstawę ich egzystencji. Stąd jednym z rysów naszej wspólnoty zakonnej jest umiłowanie modlitwy liturgicznej. Wielka dbałość o repertuar sprawiła, że gromadzono i komponowano tu monodię jednogłosową – chorał gregoriański, dzieła wokalne, wokarno-instrumentalne, instrumentalne, w tym msze, hymny, offertoria, antyfony, communio, graduały, tractusy, sekwencje, symfonie, koncerty, litanie, oratoria, uwerturny operowe, marsze na orkiestrę, intrady i wiele innych – w sumie ponad 3000 dzieł rękopiśmiennych oraz druków. Jest w zbiorach jasnogórskich również ogromny zbiór ponad 3000 utworów XX-wiecznych, który czeka na skatalogowanie i udostępnienie.

Jakiej „obróbce” poddawane są zbiory?

Powołany przez Generała Zakonu Zespół Naukowo-Redakcyjny pod przewodnictwem prof. Remigiusza Pośpiecha, związanego z Uniwersytetem Wrocławskim i Uniwersytetem Opolskim, naszego konfratry, przygotowuje materiał nutowy dla wykonawców oraz do wydania w serii „Musica

Claromontana”. Digitalizacja źródeł muzycznych, wpisanie w specjalnym oprogramowaniu komputerowym, dokonanie ujednolicień, poprawek, weryfikacji ze źródłami zachowanymi w innych ośrodkach, stanowi ogromne wyzwanie dla muzykologów, bowiem jest to przygotowanie dla wykonawców zapisu nutowego dzieł, które w wielu przypadkach zabrzmią po raz pierwszy – na przykład po 300 latach. Chodzi tu o znakomite dzieła 120 polskich kompozytorów, których dzieła prezentowane i nagrane są po raz pierwszy. A więc to naprawdę ogromne przeżycie i wspaniały dar dla Narodu Polskiego, który jest pięknym Narodem o bardzo bogatej kulturze, że część tej spuścizny przywracamy.

W jaki sposób zbiory te są upowszechniane?

Zespół Naukowo-Redakcyjny Jasnogórskich Muzykaliów pod przewodnictwem prof. Remigiusza Pośpiecha zrzesza znakomite grono muzykologów ze wszystkich ośrodków muzycznych w Polsce i za granicą. Stowarzyszenie Kapela Jasnogórska, muzykolodzy dyrygenci i wybitni znawcy muzyki dawnej podejmują digitalizację jasnogórskich zbiorów, przepisują nuty dla wykonawców – zespołów muzyki dawnej. Upowszechnianie Jasnogórskiej Muzyki Dawnej dokonuje się poprzez Festiwal Musica Claromontana, cykliczne koncerty ze zbiorów jasnogórskich, nagrania w renomowanej serii „Musica Claromontana”, wydawnictwa nutowe w tej samej serii, publikacje naukowe w serii „Musica Claromontana – Studia”, w której prezentowane są biogramy kompozytorów, ich twórczość oraz analiza dzieł. A także poprzez liczne artykuły prasowe, audycje radiowe i telewizyjne, festiwale, w tym między innymi Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, gdzie również każdego roku prezentowane są dzieła ze zbiorów muzycznych Jasnej Góry.

Jest Ojciec zaangażowany w dzieło konserwacji starych instrumentów, należących wcześniej do Kapeli Jasnogórskiej. Jakie to instrumenty, w jakim są stanie i jakie są wobec nich plany?

Jasnogórskie instrumentarium po dawnej Kapeli Jasnogórskiej, założonej w Sanktuarium w 1. poł. XVI w., jest największym zbiorem zabytkowych instrumentów, zachowanych po jednolitej kapeli w Polsce. Oczywiście muzeum instrumentów w Poznaniu posiada ogromne zbiory, jednak jasnogórski zbiór jest wyjątkowy, bo rodzimy. Instrumenty używane przez jasnogórskich kapelistów, często wotywnie – składane w darze dla kapeli – spełniały przez wieki wyjątkową rolę, gdyż pielgrzymi mogli usłyszeć muzykę swojego okresu na bardzo wysokim poziomie, a to również dzięki znakomitemu instrumentarium. Badania pokazują, że Ojcowie Paulini nabywali instrumenty w najlepszych manufakturach w Europie, te same instrumenty były używane przez najznakomitsze zespoły Wiednia, Drezna, Pragi i Salzburga. Możemy podziwiać ogromną troskę Paulinów o piękno liturgii, ponieważ nabycie takich instrumentów, sprowadzenie obowiązującego w owym czasie repertuaru, w tym utworów klasyków wiedeńskich, a także zatrudnienie wykonawców, wiązało się w tamtych czasach z ogromnym wysiłkiem oraz z uciążliwymi podróżami. W ramach naszego Zespołu Naukowo-Redakcyjnego Jasnogórskich Muzykaliów powołałem w 2010 r. Zespół Naukowo-Konserwatorski Jasnogórskiego Instrumentarium, którego celem była kompleksowa konserwacja zachowanych na Jasnej Górze instrumentów. Owocem tych prac będzie wydanie katalogu – albumu jasnogórskiego instrumentarium z opracowaniem historii tego zbioru, opisem poszczególnych sekcji instrumentalnych, a także zawierającym bardzo ważne informacje na temat budowniczych instrumentów. Warto podać skład tego zespołu: O. dr Nikodem Kil-

nar OSPPE, O. dr Jan Golonka OSPPE, O. mgr lic¹. Dariusz Cichor OSPPE, O. mgr lic. Stanisław Rudziński OSPPE, Marek Soczyk – Jasnogórska Fundacja „Pro Patria”, prof. Remigiusz Pośpiech, UWr. i UO, dr hab. Alina Mądry UAM Poznań, mgr Patryk Frankowski – Muzeum Instrumentów w Poznaniu, mgr Piotr Cieślak – Muzeum Instrumentów w Poznaniu, mgr Mirosław Baran – Muzeum Instrumentów w Poznaniu. Niektóre instrumenty są używane podczas koncertów, zwłaszcza kotły, inne stanowią ogromną wartość ekspozycyjną i są materialnym dowodem na chwałę Bożą, jaka tu rozbrzmiewała.

Czym zajmuje się Stowarzyszenie Kapela Jasnogórska, której Ojciec jest prezesem?

Stowarzyszenie zajmuje się promocją jasnogórskich zbiorów muzycznych – poprzez koncerty, sympozja naukowe, publikacje i nagrania. Te prace są podobne do tych, które wykonuje Zespół Naukowo-Redakcyjny Jasnogórskich Muzykaliów. Oba zespoły współpracują i wspierają się we wspólnym dziele przywracania do życia jasnogórskich zbiorów muzycznych i udostępnianie ich szerokiemu gronu wykonawców, muzykologów, a także miłośników Jasnogórskiej Muzyki Dawnej.

Animatorem życia muzycznego był Ojciec jeszcze przed przybyciem na Jasną Górę, także na misjach. Do czego, zdaniem Ojca, potrzebna jest ludziom muzyka?

Moje powołanie do Zakonu Paulinów zrodziło się na Jasnej Górze pod koniec szóstej klasy szkoły podstawowej. Wtedy to po powrocie z pielgrzymki zapytany przez Mamę powiedziałem, że pragnę zostać paulinem. Pamiętam ten dzień do dzisiaj, od tego momentu poczułem w sercu ogromną radość, to było jak wyznanie wiary, poczułem się ogarnięty przez Boga i Matkę Najświętszą. W związku z podjętą decyzją podjąłem naukę gry na trąbce i fortepianie w Państwo-

wej Szkole Muzycznej I. stopnia w Głuchołazach, aby grać Matce Bożej na trąbce na odsłonięcie Cudownego Obrazu. Ćwiczyłem intensywnie, co spowodowało, że już po trzech miesiącach grałem w orkiestrze szkolnej. W tym czasie podjąłem naukę gry na organach u miejscowego organisty Jana Dolnego, po roku nauki już grałem na organach podczas Mszy św. dla młodzieży, również w zespole powstałym przy duszpasterstwie młodzieży. To znakomity czas rozwoju duchowego i dorastania, czas, kiedy uczyłem się muzyki kościelnej, którą byłem zafascynowany od młodości. Trzeba wspomnieć o tradycjach muzycznych w mojej rodzinie. Mój dziadek i jego synowie byli organistami, grali na organach i akordeonie, świetnie śpiewali. Po wstąpieniu do Zakonu Paulinów w 1980 r. byłem organistą w nowicjacie zakonnym, następnie po złożeniu I. profesji zakonnej podjąłem posługę w Sanktuarium Jasnogórskim, gdzie obok licznych obowiązków grałem na trąbce intrady na odsłonięcie i zasłonięcie Cudownego Obrazu, grałem też na organach w Bazylice. Po powrocie paulinów do Wieruszowa w 1983 r. zostałem organistą w miejscowej parafii, prowadziłem trzy chóry (w tym dwa założone przez siebie – chór mieszany i męski), orkiestrę przy OSP Wieruszów, a także kwartet dęty, w którym grałem na puzonie. Graliśmy bardzo dużo podczas licznych uroczystości kościelnych i państwowych. W 1989 r. wstąpiłem do Wyższego Seminarium Duchownego OO. Paulinów w Krakowie Na Skałce, gdzie podjąłem formację seminaryjną do prezbiteratu. W tym czasie pełniłem funkcję kantora seminarium, organisty, dyrygenta chóru seminaryjnego (przez jeden rok), prowadziłem zajęcia i próby scholi gregoriańskiej, co zaowocowało nagraniem 4 płyt CD z chorałem gregoriańskim, którym dyrygował doc. Marian Machura. Po święceniach prezbiteratu w 1995 r. posługiwałem na misjach w Republice Południowej Afryki, gdzie animowałem śpiew

oraz zakładałem chóry w powierzonych mi wioskach murzyńskich, przygotowałem śpiewy i liturgię podczas Międzynarodowej Pielgrzymki Sodalicii Najświętszego Serca Pana Jezusa do Centocow z udziałem 10 000 pielgrzymów z RPA, Swaziland, Lesotho oraz Botswany. Po powrocie do Polski w 1999 r. pełnię posługę na Jasnej Górze.

Muzyka spełnia wyjątkową rolę w życiu człowieka. Człowiek rodzi się z muzyką i przy niej umiera. Pan Bóg, stwarzając świat, wszystko uczynił dobrym, stworzył harmonię, wielcy teolodzy mówią o muzyce sfer. Muzyka jest nieodłącznym towarzyszem człowieka, poprzez swój przekaz kształtuje jego serce i wrażliwość. Skomponowana na chwałę Boga wznosi jego serce ku Bogu, uwielbia go całą swą mocą i siłą, otwiera nie nieskończone Piękno. Muzyka kształtuje ludzkie uczucia, wprowadza radość, pokój, uniesienie, zadumę, rodzi też smutek, może doprowadzić do skrajnej agresji – tym samym może degradować człowieka, niszczyć go, odbierając nadzieję. Aż trudno wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby nagle wszystkie stacje radiowe i telewizyjne czy inne środki audiowizualne przestały emitować muzykę. Wszystko byłoby przegadane, pozbawione piękna, emocji i wrażliwości. Warto podkreślić ogromny dorobek kompozytorski, który powstał w chrześcijaństwie od początku jego powstania. Żadna religia nie stworzyła tak wspaniałych dzieł muzycznych w ciągu wieków, co chrześcijaństwo. Wystarczy zobaczyć bogactwo i zasoby jasnogórskiego archiwum muzycznego.

Jakie znaczenie dla rozwoju dziecka ma edukacja muzyczna?

Muzyka ma ogromne znaczenie w integralnym rozwoju dziecka. Ma ogromny wpływ na jego dynamiczny rozwój duchowy, kulturalny i naukowy. Poprzez liczne ćwiczenia kształtuje się słuch i wrażliwość na piękno. Kształtują się więzi wspólnotowe, wzmac-

nia dyscyplina pracy, aby osiągnąć właściwy poziom wykonawczy, co powoduje zaangażowanie także w innych dyscyplinach naukowych (często jest tak, że wymaga się od dzieci śpiewających w profesjonalnych chórach znakomitych osiągnięć naukowych, co jest wręcz warunkiem przyjęcia ich do chóru). Muzyka, która swe źródło ma w Bogu, Stwórcy wszelkiego piękna – uczy pokory w podejmowaniu koniecznego wysiłku, słuchania innych doświadczonych pedagogów, uczy dostosowywania się do coraz wyższego poziomu wykonawczego, aby nie pogrążyć się w minimalizmie.

Jest Ojciec czynnym muzykiem, w tym także intradziśną. Jaką muzykę lubi Ojciec najbardziej? Jakie znaczenie ma muzyka dla Ojca?

Kocham muzykę renesansu i baroku, to epoki, z którymi się najbardziej identyfikuję. Kiedy słucham muzyki tego okresu, to jestem bardzo wewnętrznie poruszony i mogę modlić się godzinami słuchając jej. Słuchanie muzyki tego okresu zawsze stanowi dla mnie szczególną okazję do modlitwy, czas wtedy nie odgrywa roli, wszystko jest zaplanowane i potwierdza wyższość najpiękniejszej ze sztuk, jaką jest muzyka. Przewija się prostota i pokora na przemian z bogactwem i przepychem baroku, który dynamizuje serce człowieka.

Muzyka ma dla mnie ogromne znaczenie. Od młodości wychowałem się w klimacie pięknej muzyki, w domu Mama usypiała nas śpiewając i nucąc pieśni religijne, moi bracia i siostry – wszyscy na czymś grają, są czynnymi organistami i dyrygentami. Kocham muzykę liturgiczną, która zawsze harmonizuje moje serce. Muzyka liturgiczna miała ogromny wpływ na moje powołanie, kierunek i posługę, jaką pełnię w Kościele. Oprócz moich posług duszpasterskich, które najbardziej cenię, muzyka wypełnia moje życie poprzez dzieła, które Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu pozwolił mi zainicjować przy współpracy

znakomitych ludzi muzyki, którzy w muzyce i posłudze liturgicznej, artystycznej i wychowawczej również odkryli swoje powołanie. Gram na pięciu instrumentach: na organach, trąbce, fortepianie, rogu i puzonie. Wszystkie umiejętności zawdzięczam Panu Bogu, który obdarzył mnie łaską powołania zakonnego i kapłańskiego oraz podarował wiele talentów, które mogły się zrealizować w całej pełni w Kościele i w posłudze braciom i siostram.

W imieniu naszych Czytelników i własnym bardzo dziękuję Ojcu za udzielenie wywiadu i życzę, by zapął do działania nigdy Ojca nie opuszczał!

O. dr Nikodem Kilnar OSPPE, organista, dyrygent, instrumentalista, muzykolog – Krajowy Duszpasterz Muzyków Kościelnych przy Konferencji Episkopatu Polski (od 2009 r.), konsultor Podkomisji ds. Muzyki Kościelnej przy Komisji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów KEP (2012 r.), prezes Stowarzyszenia Kapela Jasnogórska (od 2002 r.). W latach 1995-1999 posługiwał na misjach paulińskich w Królestwie Zulusów w Republice Południowej Afryki. W latach 2002-2005 pełnił posługę podprzeora klasztoru OO. Paulinów na Jasnej Górze. Inicjator serii płytowej i nutowej „Musica Claromontana”. Inicjator (wraz z O. mgr. lic. Dariuszem Cichorem OSPPE oraz prof. Remigiuszem Pośpiechem) publikacji naukowych „Musica Claromontana – Studia”. Założyciel Jasnogórskiego Oktetu Dętego (2002 r.), Jasnogórskiego Chóru Chłopięcego „Pueri Claromontani”, Jasnogórskiego Chóru Dziewczęcego „Filiae Mariae” (2003 r.) oraz Jasnogórskiego Zespołu Wokalnego „Camerata” (20005 r.). Członek Rady Artystyczno-Programowej Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” (od 2003 r.), ini-

cjator (wraz z prof. Remigiuszem Pośpiechem) powołania Zespołu Naukowo-Redakcyjnego Jasnogórskich Muzykaliów (2003 r.), a także (wraz z dr. Jarosławem Jasiurą) Stowarzyszenia Jasnogórska Szkoła Chóralna (2007 r.), powołał (wraz z O. mgr. lic. Dariuszem Cichorem OSPPE oraz prof. Remigiuszem Pośpiechem) podkomisję Liturgiczno-muzykologiczno-historyczną do zbadania liturgii Paulinów w średniowieczu (2009 r.), powołał (wraz z O. mgr. lic. Dariuszem Cichorem OSPPE) zespół Naukowo-Konserwatorski Jasnogórskiego Instrumentarium (2010r.), zainicjował (wraz z dr. Jarosławem Jasiurą) powstanie Jasnogórskiej Publicznej Ogólnokształcącej szkoły Muzycznej I st. w Częstochowie. Otrzymał nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury (2006 r.), odznaczony przez prezydenta RP Złotym Krzyżem Zasługi (2015 r.), otrzymał odznakę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2015 r.), Złotą Odznakę Honorową za Zasługi dla Województwa Śląskiego (2015 r.), laureat honorowego odznaczenia Prymasa Polski „Srebrna Piszczalka” i nagrody specjalnej Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2016 r.)

¹ Licencjat naukowy (kanoniczny, kościelny, rzymski) – stopień naukowy nadawany na wydziałach teologii katolickiej uczelni wyższych działających na prawie papieskim; nie jest tożsamy z tytułem zawodowym licencjata określonym w prawie polskim; w Polsce licencjat naukowy to stopień naukowy wyższy od tytułu zawodowego magistra, a niższy od stopnia naukowego doktora, uprawnia, po uzyskaniu nominacji właściwego biskupa, do wykładania przedmiotów filozoficznych, teologicznych i prawnych w wyższych szkołach katolickich, wydziałach teologii katolickich mających zatwierdzenie Stolicy Apostolskiej oraz w seminariach duchownych.

PISANIE JEST DĄŻENIEM DO NIEŚMIERTELNOŚCI.

Z KONRADEM LUDWICKIM ROZMAWIA MARIAN PANEK



Konrad Ludwicki, foto Piotr Dłubak

Jesteś autorem kilku książek monograficznych, pisarzem, naukowcem. Piszesz o pisaniu samym w sobie. Jesteś przecież autorem dzieła pt. *Pisanie jako egzystencja(lizm). Refleksja autotematyczna na marginesie „Księgi niepokoju” Fernanda Pessoa*. Opowiedz coś o Twoich wyprawach literackich, o swojej pracy naukowej, o poszukiwaniach w kontekście zainteresowań prozatorskich.

Książka dotycząca pisania – którą przywołałeś – jest też książką o portugalskim poecie i pisarzu Fernando Pessoa. On stał się osobliwym pretekstem do rozpatrywania zagadnienia pisania jako egzystencji. Samo zajmowanie się tym problemem wynika

nade wszystko z potrzeby. Z konieczności i potrzeby, która wzięła się z podziwu nad przeczytanym dziełem. Z chęci choćby i połowicznego, bowiem pełny nie będzie nigdy, objaśnienia, a raczej objaśniania, jego sensu. Mówię o tym już na początku swojej książki. *Księga niepokoju* to bodaj najznamienitsze dzieło Pessoa – broni się ono i wyjaśnia najlepiej samo. Nie chciałem zanadto naciągać i interpretować jego tekstu swoimi słowami. Granice Pessoa są granicami jego dzieła. Moja monografia, jak dotychczas, jest jedyną monografią w Polsce odnoszącą się do wybitnego Portugalczyka. Pisząc o danym twórcy należy iść jego śladem – tak też staram się czynić.

Stąd i moje podróże. Owe – jak to nazwał – „wyprawy literackie”. Gdy pisałem na temat Pessoa, przebywałem w Lizbonie. Chodziłem do miejsc, w których bywał i on. Do jego kawiarni i nadmorskich portów, również tych w okolicach Lizbony – np. Cascais, gdzie pisarz pracował jako bibliotekarz i tłumacz. Byłem w jego domu i muzeum. Kilkanaście lat wcześniej, kiedy pisałem *Kino Marka Hłaski*, rzecz miała się podobnie. Przyswajałem nie tylko prozę Hłaski i filmy powstałe na ich kanwie, lecz też byłem w miejscach, w których przebywał pisarz. Nie tylko w Polsce, ale również w Niemczech. Podobnie rzecz ma się z Karolem Ludwikiem Konińskim, któremu poświęciłem swoją ostatnią książkę wydaną w „Universitasie”. Zakopane, Kraków i Rudawa to jego miejsca, które poznałem i częściowo – za Konińskim – przywoływałem w swojej publikacji. Choć – niestety – grobu Konińskiego na cmentarzu w Rudawie nie udało mi się odnaleźć. Nikt też z miejscowych nie wiedział, gdzie się on znajduje. Pisarz jest dziś – co przykre – cokolwiek zapomniany. Znajomość życia i twórczości danego pisarza jest niezbędną. Podejmując się badania jakiegokolwiek dzieła, trzeba być w zgodzie z autorem. Trzeba go rozumieć i czuć podobnie. Mieć zbieżną wrażliwość. Bez tego jakakolwiek interpretacja i wyjaśnianie nie mają większego sensu.

Twoje podróże, choćby ta do Austrii czy Norwegii, pojawiają się później na swój osobliwy sposób w tekstach.

Pojawiają się raczej jakieś ich fragmenty. Passusy podróży. Wrywyki odnoszące się przykładowo do danych artystów i twórców. Gdy piszę o malarstwie i ekspresjonizmie, jest to też jakoś przecież pisane pod wpływem obejrzanych obrazów w muzeum Muncha w Oslo. Gdy wspominam Wittgensteina, dobrze jest zobaczyć Austrię... Choć oczywiście podstawą jest lektura jego książek.

Masz jakieś plany eskapad w najbliższym czasie?

Dosłownie za kilka dni wyruszamy przez Litwę, Łotwę do Estonii. To bliskie Polski państwa, ale nadal mało znane, a przecież niezmiernie istotne dla kultury i literatury nie tylko europejskiej. Z Tallina chcemy promem popłynąć do Helsinek.

Obok Częstochowy pomieszkujesz też w Krakowie i we wsi Ojsławice. Czy to na wsi odnajdujesz wenę?

W Krakowie mam kilku bliskich znajomych i syna studiującego filozofię. Mam też możliwość mieszkania tam każdego roku. Sam prowadziłem zajęcia na Uniwersytecie Pedagogicznym. Ojsławice natomiast to mała wieś w województwie świętokrzyskim w pobliżu Jędrzejowa. Natchnienie czy inspiracja, czy wreszcie – jak ją określasz – „wena”, to nic innego jak ciężka praca. Praca twórcza to nade wszystko obcowanie z tekstem i próba pisania. To ciągłe poprawki i korekty. To potrzeba – jakkolwiek manierycznie to zabrzmie – przekazania siebie. Każdego dnia trzeba usiąść przy biurku i zajmować się tekstem. Oczywiście – jak większość osób – bywam leniwy i zamiast pisać znacznie więcej czytam albo słucham muzyki. Choć lektura nie jest, rzecz jasna, zmarnowanym czasem. Wieś daje dystans i potrzebne wytchnienie. Z perspektywy wsi wiele można sobie uświadomić. Egzystencja ludzka potrzebuje pamięci, ale i zapomnienia. Na wsi jest to bardziej możliwe niż w mieście. Wieś czy w ogóle plener temu sprzyja.

Stąd wyprawy w góry? Gorgany, Tatry, Fiordy. Alpy i Apeniny...

Góry skłaniają do refleksji i kontemplacji. Kuszą otwartym horyzontem. Dzika przyroda jest dla mnie jakąś ciągłą tęsknotą. To osobliwa namiastka kontaktu z Absolutem. To wreszcie wyzwania i cele.

Literatura stanowi trzon Twoich zainteresowań. Niemniej wyszedłeś niejako od filmu. Wspomniane *Kino Marka Hłaski* to był Twój doktorat i książka wydana w Wydawnictwie „Śląsk” w Katowicach w roku 2004.

Zgadza się. W książce, którą przywołałeś, piszę o filmowych adaptacjach. Mówię o ekranizacjach trzech książek Marka Hłaski: *Baza ludzi umarłych*, *Ósmy dzień tygodnia* i *Pętla*. Zaznaczyć wypada, iż kino, którym się zajmuję – nie tylko zresztą w tej książce – nie oznacza jedynie ekranizacji prozy lub raczej nie tylko. Oczywiście punktem wyjścia są książki, które zostały sfilmowane; lecz jest to wyłącznie pretekst przedstawiania nie tylko samych filmów, ile też kwestii związanych z zagadnieniem szeroko pojętego problemu przekładu prozy na język obrazu – na kod filmu. I to też nie na zasadzie wyłącznie analizy i interpretacji, lecz przede wszystkim ze względu na próbę rekonstrukcji pewnych sensów. Sensów możliwych do wyłapania i przekazania właśnie z perspektywy kilkudziesięciu lat. Mój komentarz był możliwy – tak uważam – właśnie po wielu latach od powstania dzieł filmowych. Z perspektywy człowieka, który urodził się w roku, w którym Hłasko umarł. W monografii tej jest też między innymi o aktorstwie Zbigniewa Cybulskiego, muzyce Krzysztofa Komedy czy roli w kinie polskim Romana Polańskiego.

Teksty Twoje cechuje wielostronność tematyczna. Jest w nich erudycja, obserwacja i ciekawość świata. Kilka Twoich tekstów dotyczy sztuki sakralnej...

To prawda. Nie jest łatwo zrozumieć złożoność kultury europejskiej, nie pamiętając o dwóch zasadniczych jej źródłach, z których bierze ona swój początek: o kulturze śródziemnomorskiej i kulturze chrześcijańskiej. To w orbicie oddziaływania grecko-rzymskiego antyku i przemożnej inspiracji Biblią rozwijała się sztuka starego

kontynentu. Zwiedzając Rzym czy w ogóle Włochy oraz oglądając najwybitniejsze znajdujące się tam dzieła sakralne, pisałem dla Kwartalnika Mariologicznego „Salvator Mater” o sztuce maryjnej. W tekstach poświęconych sztuce sakralnej odwołuję się do dzieł mistrzów, które znam i które w większości oglądałem bezpośrednio nie tylko w Watykanie. Temat maryjny w malarstwie od najdawniejszych czasów przedstawia najczęściej Jej zwiastowanie. Dla porządku – o czym też piszę w swoim tekście – warto przypomnieć, że najprawdopodobniej najstarszy wizerunek tego typu (pochodzący przypuszczalnie z II w.) zachował się w katakumbach św. Pryscylii w Rzymie; co czasami zdaje się umykać krytykom. Mówię o tym w jednym ze swoich tekstów.

W Twoich esejach pojawia się też temat muzyki. Zarówno tej poważnej, jak i rockowej...

Tak. W Norwegii, będąc w wytwórni płytowej „Reinbow Studio”, pisałem później o muzyce tam powstającej. O estetyce tej wytwórni, jak też o monachijskim studiu ECM, na swój sposób spowinowaconego z wytwórnią „Reinbow” Zajmowałem się muzyką między innymi Tomasza Stańki, Jana Garbarka czy Torda Gustavsena. W Wielkiej Brytanii natomiast w miejscowości Cheltenham, rodzinnym mieście współtwórcy Rolling Stonsów, chodziłem śladami Briana Jonesa. Później powstał tekst o estetyce rocka i latach sześćdziesiątych.

Powróćmy jednak do literatury. Kogo sobie cenisz szczególnie w jej świecie? Jakie eseje i książki kształtują Twoją świadomość literacką?

Najbardziej w świecie literackim kształtują mnie ci, którym poświęcam swoje książki. Nie dotyczy to oczywiście tylko Hłaski, Pessoa czy Konińskiego. Eseje moje – chociażby te wydane w antologii *W kręgu kultury i literatury wieku XX* – od-

noszą się też do tematów okołoliterackich. Do teatru Kantora, do malarstwa Nowosielskiego, dzienników Czapskiego, prozy i plastyki Schulza czy wspomnień Maraia. Jest w nich o filmach Lyncha, Jarmuscha i Wajdy, o muzyce i tekstach rockowych. Jednak meritum moich zainteresowań literackich stanowi przede wszystkim egzystencjalizm wieku dwudziestego. Ciekawią mnie tacy pisarze jak przykładowo Julio Cortazar, Leo Lipski, Emil Cioran, Franz Kafka, Jarosław Iwaszkiewicz i ci – bardziej lub mniej – spowinowaceni z nimi. Skoligaceni nade wszystko pod względem emocjonalności i wrażliwości.

Jako prozaik wydałeś powieść *Lakrimma* i zbiór miniatur *Ściana*. Przybliż nam te dwa zbiory.

Mówiąc najkrócej zasadniczą treścią *Lakrimmy* jest defetystyczna miłość. To opis – jeśli wolno mi użyć takiego określenia – złożonych i cokolwiek pokrętnych relacji męsko-kobięcych. Również tych z obszaru psychiki.

Na ile tekst Twojej powieści jest kreacją?

Jak bodaj w każdej prozie jest fikcja, ale jest też i jakaś autopsja. Jest doświadczenie autora – moje po prostu – które poprzez trawestacje wybrzmiewa w tekście. Uprawianie kreacji jest – tak sądzę – niemal zawsze podszyte empirią. Znacznie bardziej fikcyjne, a nawet fantastyczne, są moje miniatury zamieszczone w zbiorze *Ściana*.

Nad czym ostatnio pracujesz? Piszesz coś nowego?

Pracuję obecnie nad książką, która dotyczy myśli melancholijnej i przemijania. Dotyczy miłości i erotyki. To będą jej zasadnicze zagadnienia. Będzie miała charakter raczej krytyczny i eseistyczny.

Powiedz coś więcej na jej temat

Problem relacji pomiędzy umysłem a myślą nie przypomina w niczym problemu relacji

między, przykładowo, sercem a krwioobiegiem bądź żołądkiem a systemem trawienym – to, w sposób metaforyczny – stanowi punkt wyjścia w mojej książce. Chyba tylko mózg, będący materią, jest w stanie stworzyć coś niematerialnego. Uparcie – niestety – rozpatrujemy owo „coś” posługując się nieadekwatnymi pojęciami. Tradycja kategoryzacji nie zawsze służy refleksji. Świat i jego widzenie – co oczywiste – jest poszczególny i indywidualny dla każdego z nas. Chyba przez to myśl nasza, jak i refleksja, będzie wyłącznie intymna i własna. Jedynie nasza jest z istoty swej samą subtelnością. „Nasza”, bo niedostępna dla innych oraz „nasza”, bo indywidualna. Zupełnie moja i oddzielna. W gruncie rzeczy nie do pozbycia. Acz przecież i nasze dumanie obok własnych myśli umiejętnie trawestuje i podąża też za myślą cudzą; myślą innych. Nadto i wyłącznie nasza myśl zależna jest jakoś od Boga – co wszak nie zawsze sobie uświadamiamy. Wszystko jest przecież jakoś osadzone w Bogu, nawet jak z pozoru Boga pozbawione. O tym również piszę w swojej najnowszej monografii. Drugi jej wątek to przemijanie... i jego różne konteksty.

Jak widzisz kondycję współczesnej literatury polskiej?

Przyznam się, że preferuję generalnie tych pisarzy czy filozofów, którzy już, niestety, nie żyją. Oni robią na mnie wciąż największe wrażenie. Nadal są aktualni. Staram się być naturalnie w miarę możliwości na bieżąco ze współczesną prozą, niemniej trudno znaleźć mi coś, co dziś robiłoby na mnie takie wrażenie, jak kiedyś ci, których już nie ma. Przywołam – ograniczając się do piśmiennictwa polskiego – przykładowo Henryka Elzenberga, Karola Ludwika Konińskiego, Alberta Krąpca, Zbigniewa Herberta, Andrzeja Bobkowskiego czy Zygmunta Haupta. Oczywiście nie sposób przyswoić sobie wszystko, co zostaje wydane aktualnie. Ze współczesnych ciekawy jest

dla mnie wczesny Andrzej Stasiuk czy Joanna Bator. Myślę, że wiele interesujących tekstów pojawia się w reportażu...

Przybliż nam jeszcze – jako prozaik – swoją metodę pracy.

Warsztat – zresztą chyba nie tylko mój – trudno zdefiniować. Nie siadam przy biurku z konkretnym planem pisania. Oczywiście jest coś w głowie, jest jakiś pomysł, jakaś idea. Jest ogólny zamysł i koncepcja. Potem jednak tekst się rozrasta w różny sposób. Przybiera – bywa i tak – często niezamierzoną formę, a i treść. Niemniej całość jest i musi być głęboko przemyślana... Jest wyłącznie jedna poetyka – poetyka autora.

Nie ma podczas Twojego pisania improwizacji, zapisu strumienia świadomości?

Nie ma improwizacji jako totalnego wymysłu bądź lepiej – że użyję takiego zwrotu – koloryzacji. Innymi słowy: jako czegoś nieprzemyślanego. Całość – nawet jeśli zupełnie konfabulowana – jest poddana refleksji i przemyśleniom. Oczywiście – o czym marginalnie już wspomniałem – jest fikcja, niemniej zawsze czemuś służąca i mająca nierzadko swój archetyp po prostu w życiu; w empirii. Wymyślenie musi być rozważne i – o co się staram – nie absurdalne. Nie nonsensowne. Bądź prawidłowo nie do końca absurdalne. Bo wiem sam absurd jest mi też jakoś bliski. Widać to chociażby w moim zbiorze miniatur *Ściana* wydanym w Częstochowie i w Warszawie.

Mówiliśmy trochę o Twoich inspiracjach literackich. Pewnie można też mówić o inspiracjach malarstwem czy w ogóle sztuką. Ograniczmy się jednak do Twoich inspiracji muzycznych. Wiadomo mi, że jesteś audiofilem.

Muzyka jest w moim życiu niezmiernie istotna. Płyty, również te analogowe, i ich

kolekcjonowanie to jedna z moich pasji. Rzecz jasna, nie o samo zbieractwo chodzi, lecz o kontakt z muzyką. O potrzebę słuchania. Pisałem na ten temat dość obszernie w jednym z rozdziałów (*Literatura a muzyka*) monografii na temat Pessoa. Pisanie jest dążeniem do rodzaju nieśmiertelności. Pewnie dlatego też jest często skoligacone z muzyką. Muzyka jako najczystsza ze sztuk jest esencją nieśmiertelności – mówiłem o tym we wspomnianej książce. Konstrukcja utworu literackiego posiada cechy budowy niejako muzycznej. Na przykład jazz, który jest mi bliski, wydaje się niejednokrotnie przepajać twórczość niektórych pisarzy wieku dwudziestego. Proces pisania i powstające dzieło może być wszystkim, tylko nie tym, czym jest naprawdę. Muzyka jako sztuka najbardziej nieuchwytna stanowi nieustanną tajemnicę. Dźwięk wnika w nas zupełnie inaczej niż inne sztuki. Dana muzyka może pobudzić obszary w mózgu, które z kolei coś nam uświadamiają. Uświadamiają również i to, co może pojawić się następnie w tekście podczas pisania. Dziś słucham coraz to cichszej muzyki... prze-różnych gatunków, poetyk i wykonawców. Niemal zupełnie zaprzestałem słuchania – tak bliskiej mi kiedyś – muzyki rockowej...

Konrad Ludwicki – prozaik, esteta, literaturoznawca, Autor sześciu książek. Ostatnio opublikował *Bóg – Zło – Modlitwa. Wokół „Uwag 1940-1942” Karola Ludwika Konińskiego* (Kraków 2016). Jest też autorem artykułów naukowych i popularnonaukowych z zakresu kultury i sztuki XX wieku. Wykładał na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie, Akademii Jana Długosza w Częstochowie i Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

Bożena Gorska

ET IN ARCADIA EGO
ALBO
LESZKA DŁUGOSZA KRONIKA LIRYCZNA

A ja z tym trzymam, kto co w czas uchwyci.

Jan Kochanowski



Takie książki nie powstają bez udziału emocji. Na szczęście. Bo przecież można było zgromadzić mnóstwo faktów, rzetelnie je zweryfikować, przesiać, posortować i poukładać – a w efekcie dostalibyśmy encyklopedię. Encyklopedie są cenne, niewątpliwie, ale jednak... Cóż pozostanie z twórczości, której zabrakło najważniejszego impulsu? „Miedź brzęcząca albo cymbał brząający”?

Urzekło mnie już pierwsze wydanie tej książki. Był rok 2013, kiedy niemal nieosiągalny egzemplarz sprowadziłam wprost od wydawcy. Luksusowy album. Wysmakowany. Dzieło sztuki wydawniczej. Harmonia słowa, ilustracji, oprawy graficznej i typografii. Oj, nie był on tani...

Upłynęły trzy lata i nowe wydanie – równie piękne – mogłam już kupić w księgarni. Przeczytałam książkę na nowo. Obie edycje dyskretnie się różnią w szczegółach. Wtedy nie pokusiłam się o recenzję, tylko się zachwyciłam. To, co teraz piszę, recenzją nie jest. Ale przecież ani literatury, ani książki jako pięknego przedmiotu nie dotyczy przedawnienie (w przeciwieństwie do grafomanii i komputerowej sztancy).

Takie książki pisze się z dystansu lat. Po osiągnięciu stanu naturalnej dojrzałości, bogatej w refleksje nad дарami czasu – bo czas i odbiera, i obdarza. Ale podobny dystans charakteryzował Leszka Długosza już za młodu. A mało komu jest dana owa przedwczesna dojrzałość, kiedy w wieku dwudziestu kilku lat przeżywa się sprawy, które „z natury” temu wiekowi nie przystoją. Bardzo młody Leszek Długosz angażował się emocjonalnie w legendę przedwcześnie zmarłego Andrzeja Bursy. Poświęcił pocie wspomnienie w tej książce – wspomnienie z drugiej ręki, za pośrednictwem Janiny Garyckiej – a wcześniej wiersz *Leci, leci, czyli spotkanie z Bursą*. W pewnym sensie doświadczył odejścia Haliny Poświatowskiej. I świadomie uczestniczył – z naszego brzegu – w odchodzeniu Hanny Mortkowiczowej.

Temat osobny to ilustracje, zwłaszcza fotografie. Były pierwszym źródłem inspiracji, kiedy krystalizował się pomysł na książkę. Bowiem w 1995 roku, podczas tournée, w Edmontonie, spotkał Długosz Andrzeja Kobosa, piwniczniana zamieszkałego w Kanadzie. A ten podarował mu zbiór fotografii swojego autorstwa – właściwie obszerne piwniczne archiwum. Kolekcję nigdy niepublikowaną. A że wywoływanie zdjęć ma coś z wywoływania duchów, odżyły w pamięci tamte postaci, miejsca, uobecnił się tamten czas. Zdjęcia ignorują niszczyielską złośliwość czasu. Piwniczenie na zdjęciach są piękni i młodzi, uchwyceni w momencie apogeum twórczego – na zawsze.

(Jednak do książki trafiły także inne zdjęcia: urzędowych pism, które przed każdym programem trzeba było nieść do cenzury, żeby zyskać jej „dozwolenie”. To prawdziwa dokumentacja nie „kabaretu absurdu”, ale bezsensu, w jakim się wtedy żyło. Piotr Skrzynecki nie liczył się zbyt z opinią Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk i w każdym programie znalazł miejsce na swobodną improwizację. Jak się okazało, przemycana w ten sposób wolna myśl była... niebezpieczna dla ustroju).

Tak więc książka narodziła się z podwójnej inspiracji. Drugie źródło to zbiorek wierszy Długosza *Piwnica idzie do góry*. Można go uznać za „szkie” tej opowieści. Zawiera w formie syntezy myśli rozwinięte potem w książce. Autor inkrustuje ją wierszami, głównie swoimi. Pochodzą z różnych tomików, ale najwięcej z tego właśnie.

Towarzyszymy romantykowi *pur sang* w jego podróży do lat młodości. Zarazem *Ten szczęśny czas* płynie w tempie proustowskim. Bo też i Długosza kronika liryczna w podobną kompozycję się układa. A może wynalazek Prousta już na zawsze będzie towarzyszył naszym rozmyśleniom o czasie?

W Krakowie z tej opowieści poruszamy się w enklawie wokół najważniejszego adresu: Rynek Główny 27. A potem są „strony”. A więc ulica Świętego Jana – strona Dymnych, pary: Zachwatowicz – Obłoński i przez krótki czas Długoszów (zanim się przenieśli do Szarej Kamienicy). Stąd niemal w prostej linii na południe, w kierunku Wawelu, chociaż od Franciszkańskiej trochę w bok – plac Na Groblach, strona Garyckiej i Skrzyneckiego. A w drodze powrotnej na Rynek – Szewska, gdzie Karasiowie, stąd tylko mały skok

na zachód i już Krupnicza 22, gdzie tak wielu. A do Ewy Demarczyk na Wróblewskiego trzeba od Rynku pokonać kawałek na północ – ale to też zaledwie kwadrans. Taki był układ krążenia zaczarowanej wyspy.

Książka została wydana pięknie, bogato ilustrowana. Wśród ilustracji – fotografie pamiątek. Wzruszających drobiazgów. Oto drewniane pudełko po herbacie, niegdyś własność Piotra Skrzyneckiego. Oto pudełeczko zapalek z wydrukowaną inskrypcją-cytatem z piosenki kończącej piwniczne spotkania. Albo – nigdy niezapalona – świeczka-choinka, dar Janiny Garyckiej z ostatniej Wigilii. Są wśród nich przedmioty, jak pisze autor, dosłownie „uniesione spod miotły”, ocalone z mieszkania na Groblach porządkowanego po śmierci Janiny – ważne, jak fotografia alpinisty Jana Długosza, i błahe: numerki z szatni w Cyganerii. (Rozumiem to, bo sama przechowuję... bilety do paryskiego metra sprzed czterdziestu lat). Obrastamy w dziwne rzeczy. I tylko w rzadkich momentach trzeźwej refleksji spod tych nawarstwień wydobywa się jęk: „jak żyliśmy, jak żyjemy i do czego doprowadziliśmy nasze mieszkania”! Ano cóż – nieraz do stanu istnego Pocijowa.

Ale jakże te krakowskie wnętrza bywały malownicze – nieraz dosłownie, na przykład kiedy widzimy trzy anioły przeniesione przez Janinę Garycką z wiersza Długosza na plafon w pokoju na Groblach. A klimat uwieczniony na fotografii stołu wielkanocnego w tym samym mieszkaniu – ze stosem książek w tle – rozgrzesza czytelnika z domowego bibliotecznego bałaganu. O tym szczególnym wystroju i o nieustannych „posiadach” pisze Leszek Długosz: „W mieszkaniu na Groblach – karnawał wenecki/ Na ścianach anioły – pod sufitem kiecki/ W precudnej pieczarze – artyści kuglarze”.

Mniej więcej co tydzień, przeważnie po udanym sobotnim wieczorze Pod Baranami, do mieszkania Janiny Garyckiej „zajeżdżał kulig” piwnicznan. Balowali do świtu, pustoszyli lodówkę, kredens i spiżarnię, a gospodarzy pozostawiali nad ranem ślaniających się po – jednak nieco przymusowym – nocnym czuwaniu. Rozkosz, ale i przekleństwo właścicieli „domów otwartych”. Dla gościnnej Janiny z czasem nawet własne łóżko przestało być azyłem, a rozochoceni goście jakoś nie mogli pojąć, dlaczego pani domu już się położyła – ot, takie dziwactwo, czyżby aluzja? – nic to, pozostawało machnąć ręką.

Piwnica bez wątpienia kontynuowała tradycję Jamy Michalikowej. Tamtą kulturę, tamten klimat krakowskiej moderny i bohemy. Styl widoczny nie tylko w scenografii, ale i „na wynos”. Tutaj wypadało się snuć w pozaczasowych nieco teatralnych przebraniach z minionych lat. Tutaj były one na miejscu, co zarejestrowały fotografie. Nikt się nie dziwił, wszyscy się znali, a wokół krążyli sami wtajemniczeni. No, może z małymi wyjątkami – jak wówczas, kiedy robotnikowi z pierwszej zmiany nie spodobało się piórko na kapeluszu Skrzyneckiego. Wszędzie było blisko – do przyjaciół najdalej kwadrans piechotą. I żyło się jak na scenie.

W zasobach Piwnicy znajdowały się dziwne obiekty, przeważnie darowizny pochodzące „z dobrych domów”. Jakies boa z piór, egrety, suknie z lat dwudziestych, trzydziestych, „kotyliny, onegdajsze kreacje balowe, buciki, rękawiczki (...) fraki, fulary, koszule, kapelusze po zmarłych adwokatach”. Ech, szczęśliwi szpargaliści, dziedzice szuflad i bywalcy starych strychów. W Krakowie ocalało tego dobra bez porównania więcej niż w Warszawie. Kraków miał szczęście. Wykorzystała te skarby Piwnica na rekwizyty albo jako elementy kostiumów. Współtworzyły surrealistyczny czar tego miejsca.

I pewnie zachowalibyśmy w świadomości ten idylliczny krakowski świat, gdyby kroniki Leszka Długosza nie poprzedziła wydana w 2006 roku książka Jolanty Drużyńskiej i Stanisława M. Jankowskiego *Kolacja z konfidentem. Piwnica pod Baranami w dokumentach służby bezpieczeństwa*. Wydobyła z kąta i odkurzyła szatańskie zwierciadło, pokazujące drugą stronę

piwnicznej rzeczywistości. „Sam diabeł pewnego dnia wpadł w świetny humor, zrobił bowiem lustro, które posiadało tę właściwość, że wszystko dobre i ładne, co się w nim odbijało, rozplywało się na nic, a to, co nie miało żadnej wartości i było brzydkie, występowało wyraźnie i stawało się jeszcze brzydsze. (...) najlepsi ludzie byli szkaradni albo stali na głowach bez tułowia. Twarze w tym lustrze były tak wykrzywione, że nie można ich było rozpoznać...” Tyle baśń. Niestety, lustro odnalezione przez dwoje autorów było proste i nie zniekształcało. Pokazało tylko ludzkie karykatury. Tym boleśnieszka jest tamta opowieść. Ale czytając piwniczne „sceny i obrazy” Leszka Długosza, dobrze mieć ją w pamięci. Bowiem „ten szczęśny czas” był zarazem „czasem marnym”. (*Et in Arcadia Ego?*).

Opowieść autora o życiu Piwnicy obejmuje lata od jej legendarnych początków w roku 1956, przywołanych ze wspomnień cudzych, lata rozkwitu 1964-1978 – zarazem czas Długoszowej czynnej tam obecności – oraz schyłek. Do śmierci Piotra Skrzyneckiego w kwietniu 1997 roku, a w kilka miesięcy po nim do odejścia Janiny Garyckiej. Potem już nie ma Piwnicy. To, co prezentuje od czasu do czasu – nadużywając jej szyldu! – objeżdżający Polskę zespół z Krakowa dalekie jest od autentyku. To replika, słaba podróbka, właściwie plagiat.

Poszczególne rozdziały poświęcił Leszek Długosz wybitnym piwniczantom: Ewie Demarczyk, Piotrowi Skrzyneckiemu, Wiesławowi Dymnemu, Andrzejowi Warchałowi, Zygmuntovi Koniecznemu, Stanisławowi Radwanowi, Janinie Garyckiej, Krystynie Zachwatowicz, Krzysztofowi Litwinowi, Mirosławowi Obłóńskiemu i innym. To, o czym nie napisał, pozostawiając w cieniu mniej znaną stronę ich życia, możemy sobie dopowiedzieć na podstawie *Kolacji z konfidentem*. I doznać wstrząsu na wieść, do jakiego stopnia dosłownie dzień po dniu było inwigilowane środowisko Piwnicy, z jaką intensywnością i regularnością bezpieka śledziła artystów, ile razy Dymny i Skrzynecki nie tylko doznali upokorzenia, ale i zostali pobici na przesłuchaniach w Komendzie Wojewódzkiej MO.

Do Piwnicy przylgnęła elita. Autentyczna. Elita ducha. Najbardziej utalentowani artyści, a zarazem nietuzinkowe osobowości. Oczywiście, towarzyszyła im grupa „kibiców” i szczerych admiratorów. Ale kręciły się także – i to na co dzień, w tym miejscu wręcz zakorzenione i uznane za swoje – indywidua, których liczne „zasługi” donosielskie wypłynęły dopiero po latach. No cóż – te osoby umiały się kamuflować. Ba – były „na poziomie”, wywodziły się „z towarzystwa”, jedna szczególnie utytułowana. (*Et in Arcadia Ego?*) Kraków kochał się w tytułach („radczyni jestem z Krakowa”) – że dodam z warszawską uszczypliwością.

Leszek Długosz ciągle boleśnie przeżywa ten temat. Aczkolwiek z ludzką podłością już się spotykał – piosenka *Także i ty* nie wzięła się znikąd. Jednak *Kolacja z konfidentem* dostarcza wiedzy szczególnej. Jak to było możliwe? Wyobraźnia tego nie obejmuje. Bo wyobraźnia człowieka szlachetnego przeważnie okazuje się ułomna w takich sprawach. Wszystko dokładnie przebadali i opublikowali Drużyńska i Jankowski. Długosz do dziś nie może się pogodzić z faktem niefrasobliwego przejścia do porządku nad tą książką niektórych dawnych piwniczian i skwitowania donosielsstwa wspaniałomyślnym „wybaczeniem”, bo przecież... takie to były czasy.

Że takie zło czynił profesjonalny donosiiciel, który ten akurat nędzny a intratny zawód sobie wybrał – jego ubeckie prawo. Co najwyżej budzi obrzydzenie. Ale zdumiewa i poraża fakt, że podobnego zajęcia imali się nieraz tak zwani intelektualści, jak chociażby dziennikarz Lesław Maleszka czy poeta Krzysztof Gąsiorowski. Od poety oczekuje się jednak nie tylko daru słowa – albo co najmniej ekwilibrystyki słownej – ale i wrażliwości. Także wrażliwości sumienia. A co powiedzieć o parającym się donosami przez niemal trzydzieści lat panu z najwyższego towarzystwa, Michale hrabim Ronikierze? Gorliwość bije na głowę tamtych dwóch, bowiem jego szpiegowskim zainteresowaniem objęci zostali nie tylko

piwniczanie, ale i polska emigracja, ba – nawet własna rodzina. Cynizm tej postaci przerasta wszelkie wyobrażenia. Nawet po latach Ronikier nie poczuwa się do wyrządzonego zła. Niczego nie wyjaśnia. W rozmowie z Drużyńską i Jankowskim udaje, że nie rozumie, o co im w ogóle chodzi. A może naprawdę nie rozumie? Może to patologiczna osobowość?

Leszek Długosz tych nazwisk nie przytacza – *nomina sunt odiosa*. Naruszałyby zasadę *decorum*. Bowiem ta piękna, bogata, syta, bardzo osobista książka ocala pamięć o niezwykłym kraju lat już nie dziecinnych, ale młodości („górnej i durnej”?), który z czasem ulega podobnej sakralizacji, jak tamten Mickiewiczowy. Musi więc pozostać „święty i czysty” – na zawsze. Wbrew chichotowi historii, marność i szarzyźnie tego, co wokół. Bo przecież to czysty przypadek, że trafiło się piwniczantom żyć akurat wtedy.

W tok opowieści – ot tak sobie, *en passant*, niby nawiązując do niekończących się piwnicznych rozmów o poezji, a w istocie dla własnej radości, nawet nieskrywanej – autor wpłótł analizę porównawczą dwóch wierszy: *Próby zazdrości* Mariny Cwietajewej i *Zdrady* Zuzanny Ginczanki. Pretekstem były mu wspomnienia z seminariów „z wiersza”, w których uczestniczył jako student krakowskiej PWST. Wpadł mu wtedy do głowy pomysł „analizy temperamentów poetyckich”. Właśnie tych dwóch. Do tej pory jest z tego dumny: „Kto by tak zwąchał? Nawet dziś podtrzymuję dorzeczość tego zestawienia. Kto by tak spostrzegł i tak wyszperał?” Ba! Ta dygresja to jeden z najpiękniejszych fragmentów książki.

Na deser podaję cytaty o pewnym fakcie z historii piwnicznej i własnej autora, zarazem próbkę mistrzostwa stylu Leszka Długosza. To tylko kilka zdań, ale tak właśnie jest napisana ta książka. Dlatego urzeka.

„Pierwszym i jakże mocnym do dziś moim w y r ó ż n i k i e m stała się *Karczma jurgowska* Jerzego Lieberta. Ten arcywiersz podsuwany był różnym kompozytorom, łącznie z Zygmuntem Koniecznym i Staszkiem Radwanem. Nie udawało się, nie trafiali w ton? Napisałem piosenkę, o której i dziś mogę powiedzieć, że jest udana pod każdym względem. Nie wymyślałem, nie pisałem jej, otrzymałem gotowy prezent. Mam na myśli atrakcyjność motywu melodycznego, rodzaj napięcia, jakąś spójność semantyczną i emocjonalną. Wszystko w niej rwie »łeb w łeb«, rozwija się, rozwiązuje właściwie i naturalnie. Nic bym w tej całości, jednego miejsca nie zmienił, nie ulepszył. *Karczmę* zaśpiewałem w 1966 roku. Wielka premiera odbyła się z okazji dziesięciolecia Piwnicy na balu w Pieskowej Skale. Uważałem, że to jeszcze niegotowe, zbyt świeże, ale ochota, potrzeba ryzyka, to też kusilo i rwało do przodu. Półżywy z przerażenia, świadomy ceny tej gry, z impetem rzuciłem się z estradki z tą *Karczmą* na oślep... I ustrzeliła serca widowni. Poczułem to zwłaszcza od momentu, kiedy rozpęd piosenki osiąga kulminację, a potem następuje sekunda zawieszenia między światem i zaświatem... Kiedy się na wysokościach załamuje, rozpryskuje się i spada pasaż fortepianowy i wkracza ten uwodzicielski motyw... »Tylko walczyk czarci będzie łkał/ słodki walczyk, ach niezapomniany/ Pierwsze pas, drugie pas, trzecie pas/ i wypłyniesz lekka poprzez ściany...«. Ten jakby poza rzeczywistością i poza czasem zawieszony moment. Jest, trwa... Trzeba go wytrzymać, dać mu szansę, aby się wyraził. Moment fizycznie wręcz odczuwanej nadrealności. Zagarnia wszelaką przestrzeń, ów diabelski walczyk. »Raczej zawróć, raczej nadłóż parę staj/ Choćby ziać cię spalił, wiatr oślepił/ Przed tą karczmą nie zatrzymuj sań/ Nie pij, moja miła, nie pij...« Tak, wtedy na tym balu, słodko łkający, ten uwodzicielski »czarci ten walczyk« chyba objął nad widownią władzę? Dzieje się tak do dziś”.

Ten fragment to prezent ode mnie dla częstochowian. Bo przecież Jerzy Liebert urodził się w Częstochowie. Przypadek. Fakt biologiczno-historyczny, na który poeta nie miał wpływu. Ale jednak...

Janusz Mielczarek

KTO CHCE – NIECH WIERZY. JAZZOWA TRZYNASTKA



Parada Nowoorleańska

Na II Festiwal Jazzowy w Sopocie, w roku 1957, pojechaliśmy z przyjacielem motocyklem. Maszyna, jak na owe czasy, była nie byle jaka, bo jawa 250. Nic więc dziwnego, że prosto z drogi, po paru godzinach jazdy, zakurzeni i głodni, ale żądni usłyszenia jazzu, podjechaliśmy motocyklem na widownię, za ostatnie rzędy. Festiwalowa estrada usytuowana była po lewej stronie wejścia na sopockie moło, a na widowni siedziało się na zwykłych drewnianych ławach.

Bycie na tej imprezie niesamowicie nobilitowało towarzystwo i liczyło się o wiele bardziej, niż paradowanie z najładniejszymi nawet dziewczynami. Ale pierwsze zetknięcie z muzyką rozczerowało; trafiliśmy akurat na występ Kwartetu Kome-

dy – potem laureata GP Festiwalu – który wówczas grał już jazz odmienny od tradycyjnego. W ogóle jazz, według ówczesnej władzy: „zatruił ideologicznie charaktery młodych ludzi”. Nie przejmowaliśmy się tym i kochali go taką miłością, która pozostała do dzisiaj.

Do muzyki, jaką grał Komedą, nie byłem jeszcze przygotowany; przecież z jazzem moje pokolenie szerzej zetknęło się ledwie rok, półtora wcześniej. Wprawdzie Komedę pamiętałem, jak w Częstochowie grywał ze starszymi ode mnie kolegami, m.in. z Ryszardem Popko i Grzegorzem Danielakiem, ale tam, w Sopocie, mój jazzowy entuzjazm nieco przygasł. Na krótko. Bo kilka godzin później, w oddalonym kilkadziesiąt metrów od festiwalowej estrady



Tadeusz Erhardt-Orgielewski

słynnym sopockim Non-Stopie, było już jazzowo tradycyjnie, a szaleństwa muzyczne trwały do świtu. A nawet o wiele dłużej, ponieważ zaczadzone jazzem kapele i wielbiąca je publika o świcie wychodziły na pobliską plażę i tam grały i bawiły się, póki sił starczyło.

Wspominam ten niezwykle dla mnie jazzowy epizod sprzed lat sześćdziesięciu – o kurczę, nie chce się wierzyć, że to tak dawno – rozkoszując się w pierwszy weekend czerwca koncertami XIII Hot Jazz Spring w moim rodzinnym mieście. Nie opuściłem żadnego, a żałuję, że nie mogłem być do końca na bardziej luzackich i improwizowanych *jam session*.

Tegoroczne częstochowskie spotkanie z jazzem tradycyjnym było bogatsze o imprezy towarzyszące i trwało aż pięć dni. Felietonowy charakter tego tekstu nie aspiruje do oceny imprezy, ale jest impresją dotyczącą jego ostatnich trzech dni. Staram się nie opuszczać festiwalowych koncertów od lat czterech i sądzę, że w tym roku uczestniczyliśmy w produkcjach muzycznych na tak wysokim poziomie, że organizatorom, czyli duetowi Ireneusz Kozera, dyrektor Filhar-

monii i Tadeusz Erhardt-Orgielewski, dyrektor Festiwalu, trudno będzie utrzymać go w przyszłości. Ale cośmy się nacieszyli, to nasze, i niech inni nam tego w Polsce zazdroszczą.

Tak więc tort był wyśmienity, ale ja pozwolę sobie wyciągnąć z niego jeszcze trzy wisienki: Vano Bamberger Quartet z wirtuozowskim Siergiejem Wowkotrubem, amerykańskiego pianistę i wokalistę Stanleya Brekendrige'a oraz niemieckiego harmonijkarza Marca Breitfeldera. To oczywiście mój subiektywny wybór, ale na pewno znalazłbym sporo sprzymierzeńców, mających podobne zdanie.

Stara to prawda, która mówi, że o poziomie imprezy najlepiej świadczy widownia, a ta nie tylko wypełniała salę Filharmonii, ale grzmiała oklaskami i fetowała artystów ze znanstwem i entuzjazmem. Zapełniali ją weterani, moi rówieśnicy, którzy często docierali na widownię z pomocą bliskich, nawet o kulach. Podziwiałem ich najbardziej; ale jak pozostać w domu, skoro tu, na estradzie, jest na wyciągnięcie ręki coś, co się pokochało w latach szczenięcych? Dopisali młodzi, którzy – wierzę

w to – nie porzucą już tej muzyki i... kobiety. Tak, przez kolejne trzy wieczory przyglądałem się starannie składowi widowni i z niejakim wstydem przyznaję, że w czasie każdego z nich większość stanowiły kobiety. Nastolatki i panie, ale wszystkie rozbawione i szczęśliwe. Panowie, czyżby waszym uszom zaszkodziło piwo? W czasie *jam session* w Jazz Klub Five O'Clock też je piliśmy.

W tej edycji Festiwalu prestiżową nagrodę Honorowego Swingującego Kruka, przyznawaną m.in. za popularyzację jazzu tradycyjnego, otrzymał Dymitr Markiewicz, którego polsko-szwedzki band, z niesamowitą Gunhild Carling, zagrał na zakończenie częstochowskiego XIII Festiwalu Jazzu Tradycyjnego „Hot Jazz Spring”.

Szanowni organizatorzy, Panie Prezydencie i Wy, niezastąpieni sponsorzy, cieszymy się ze wszystkiego, co dobrze świadczy o częstochowskiej kulturze. Kultura jest – moim skromnym zdaniem – tą dziedzina, w której Częstochowa przoduje, a jedną z ważniejszych dla miasta imprez jest Festiwal, o którym było zdań kilka.



Dymitr Markiewicz



Gunhild Carling,

I jeszcze ponownie refleksja sprzed lat. Gdy przyglądałem się w czasie koncertów, jak Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski, szef artystyczny imprezy, czynił honory gospodarza, grał i – jak było potrzeba – przedstawiał krzesła, to miałem też przed oczami Tadeusza; nieśmiałego, szczupłego blondynka, który z nieodłączną trąbką na początku lat 60. przychodził do Studenckiego Klubu „Filutek” (wówczas mającego siedzibę w akademiku przy ul. Kilińskiego), żeby pograć ze studentami. Nie zawsze mu się to udawało, bo ówczesni muzykujący żacy też musieli czasem zajrzeć do „uczonych ksiąg”, a jeden z nich (o ksywce „Żuż”) studiował tak bardzo dokładnie, że zajęło mu to 10 lat. Ale to stopienie się Tadeusza z instrumentem robiło szczególnie wrażenie i wspominam je rozczulająco. Jak widać, z trąbką nie rozstaje się do dzisiaj, a nam funduje imprezę, którą wymyślił i realizuje.

foto Marcin Szpądrowski

Tomasz „Aztzenty” Barański MIKOŁAJ KOPERNIK -- MIEJSCE DZIEWIĘTNASTE...

... – takie miejsce przyznano wielkiemu polskiemu astronomowi w rankingu zamieszczonym w publikacji *100 postaci, które miały największy wpływ na dzieje ludzkości* – autorstwa Michaela H. Harta. Z kolei w publikacji *100 postaci, które tworzyły historię Polski* autorstwa m. in. A. Szwarca i M. Urbańskiego stwierdzono, iż „w dziejach świata na wieki pozostaną dwa nazwiska Polaków: Kopernika właśnie i Lecha Wałęsy (z tym, że nie na pewno – gdyż będąc szczęśliwym posiadaczem-widzem telewizji satelitarnej oglądałem raz teleturniej na francuskim kanale TV5 Europe, w którym padło pytanie o twórcę teorii heliocentrycznej; do wyboru były dwa nazwiska – Ptolemeusza i Kopernika – odpowiedź padła taka, że zgodnym chórem uczestnicy teleturnieju wskazali na Ptolemeusza!!!).

Oczywiste jest, że teoria Kopernika zawarta w dziele *De revolutionibus orbium coelestium* zrewolucjonizowała nasze pojęcie wszechświata i doprowadziła do wielkich zmian w poglądach filozoficznych. Oceniając znaczenie Kopernika należy jednak pamiętać, że astronomia nie ma tak szerokiego zastosowania w praktyce, jak fizyka, chemia i biologia. Zasadniczo można zbudować telewizor, samochód czy fabrykę chemiczną bez znajomości teorii Kopernika, nie można tego jednak uczynić nie korzystając z odkryć Faradaya, Maxwella, Lavoisiera i Newtona. Z historycznego punktu widzenia opublikowanie *De revolutionibus* było punktem wyjścia dla nowożytnej astronomii – a co najważniejsze – nowożytnej nauki. Książka Kopernika była nieodzownym prologiem prac zarówno Galileusza, jak i Keplera. Ci z kolei byli wielkimi poprzednikami Newtona i to ich odkrycia umożliwiły Newtonowi sformułowanie praw ruchu i grawitacji.



Nicolaus Copernicus Tornaeus Borussus
Mathematicus, Theodorus de Bry (1528 – 1598)

Co możemy powiedzieć o samym twórcy teorii heliocentrycznej (czyli o takiej, która mówi, iż to Ziemia obiega Słońce, a nie jak dotąd twierdzono, na odwrót)? Musimy przenieść się na północne rubieże Polski, do nadbałtyckiego Fromborka na przełomie piętnastego i szesnastego wieku – to tu na wiedzę o niebie czekała renowacja i gruntowna przebudowa. Mikołaj Kopernik urodzony w 1473 roku w grodzie nadwiślańskim Toruniu, w zamożnej rodzinie, studiował w latach 1491-1494 na wydziale sztuk Uniwersytetu Krakowskiego, wybijającego się wówczas na pierwsze miejsce pośród uczelni z tej strony Alp. Tu zaznajomił się gruntownie z geometrią, arytmetyką i astrono-

mią, w oparciu o podręcznik Ptolemeusza. Po rocznej przerwie kontynuował naukę na uniwersytetach w Bolonii i Padwie, by 31 maja 1503 roku doktoryzować się z prawa w Ferrarze. Po odbyciu 7-letniego stażu u boku wuja Łukasza Watzenrode, jako sekretarza lennego Polsce biskupstwa warmińskiego, osiedla się Kopernik w 1510 roku na stałe we Fromborku jako jeden z szesnastu kanoników kapituły. Tutaj przez trzydzieści trzy lata kontynuuje prace nad głównym dziełem swego życia *De revolutionibus*. Korzystając ze wskazówek zawartych u Ptolemeusza zbudował sobie z jodły nadwiślańskiej narzędzia obserwacyjne. Przy użyciu tych zgoła skromnych – przenośnych narzędzi dokonuje Kopernik brakujących mu aktualnie obserwacji położenia na niebie Słońca, Księżyca i planet. W czasie wojny polsko-krzyżackiej, kiedy to uległa spaleniu jego kuria oraz przechowywany w niej, przeznaczony do obserwacji ruchów Słońca – kwadrant, przenosi się Kopernik do jednej z siedmiu wież obronnych katedry, kupuje ją na własność i przerabia na mieszkanie. „Dostregalnię” swą zainstalował wtedy na ośmiobocznej wieży zachodniej, o murach sześciometrowej grubości, niepokrytej dachem. Wieści o nowej teorii budowy świata, wedle których Ziemia przestała stanowić centrum układu, a stała się tylko jedną z planet okrążających nieruchome Słońce – rozeszły się szeroko w Europie.

Warto też dodać, że Kopernik nie był zawodowym astronomem; swego wielkiego dzieła, które przyniosło mu sławę, dokonał w czasie wolnym od obowiązków kapłańskich. W czasie pobytu we Włoszech Kopernik zapoznał się z koncepcją filozofa greckiego Arystarcha z Samos (III w. p.n.e.), który twierdził, iż Ziemia i inne planety krążą wokół Słońca. Kopernik nabrał przekonania, że ta heliocentryczna hipoteza jest słuszna. Arystarch z Samos wysunął hipotezę heliocentryczną ponad siedemnaście wieków

przed Kopernikiem, słusznie jednak całą zasługę przypisuje się Kopernikowi. Hipoteza Arystarcha była jedynie natchnionym domysłem; nigdy nie przedstawił on swojej teorii na tyle szczegółowo, aby była użyteczna z naukowego punktu widzenia. Kopernik opracował szczegółowo matematyczną stronę hipotezy i tym samym przekształcił ją w użyteczną teorię naukową, w oparciu o którą można było przewidywać i której słusność dawało się potwierdzić przez obserwacje astronomiczne. Miało też sens porównywanie jej ze starszą teorią, wedle której Ziemia była ośrodkiem wszechświata.

Tezy nowej teorii docierają i do Wittembergii. W wyniku tego wiosną 1539 roku zjeżdża do Fromborka profesor matematyki wittenberskiego uniwersytetu Joachim Retyk. Zapragnął on u jej twórcy, na miejscu zapoznać się z nową nauką. Po trzyletnich studiach wywozi do drukarni w Norymberdze sporządzoną przez siebie kopię *De revolutionibus*, stając się niejako redaktorem tego dzieła.

Jeszcze przed tą datą w roku 1533, mając lat sześćdziesiąt, Kopernik wygłosił szereg wykładów w Rzymie, w których przedstawił główne punkty swojej teorii. Papież nie wyraził wówczas swej dezaprobaty. Ostatecznie Kopernik zdecydował się opublikować książkę mając już blisko siedemdziesiąt lat i dopiero w dniu swojej śmierci 24 maja 1543 roku otrzymał z drukarni jej pierwszy egzemplarz.

Dziełem swym Kopernik definitywnie uwolnił ludzkość od złudzeń geocentryzmu i płynących stąd błędów. Aby tego dokonać, wprowadził do nauki pojęcie ruchów względnych, widząc w pozornych epicyklach planet obraz rzeczywistego obiegu Ziemi wokół Słońca w okresie rocznym. Mechanizm świata przez takie postawienie zagadnienia (odsyłam do teorii deferensów i epicykli) – stracił swą dotychczasową zawilgość i sztuczność, stając się prostym i przejrzystym. Po mozolnych

i wieloletnich dociekaniach i obliczeniach uporządkował Kopernik chronologię, która będąc w wielkim chaosie nie mogła być bazą dociekań. Do tego celu użył zjawisk astronomicznych. Pozwoliło mu to powiązać ze sobą obserwacje astronomiczne starożytności i średniowiecza i na tej podstawie obliczyć bliską prawdy długość zasadniczych okresów astronomicznych. Obserwował też Kopernik pilnie zaćmienia Słońca i Księżyca, gdyż w czasie tych zjawisk te dwa ciała niebieskie znajdują się na jednej linii prostej z Ziemią, co dawało ich dobrą lokalizację w tym momencie. W ciągu życia udało mu się prześledzić piętnaście zaćmień (notabene – używał do tych obserwacji wynalezionej przez siebie „metody ekranowej”). Jako konsekwencję systemu heliocentrycznego przewidział Kopernik fazy Wenus i Merkurego. Potwierdził to później obserwacyjnie Galileusz. Te i inne rozeznania sprawiły, że obliczenia Kopernika z reguły były bliższe prawdy niż współczesnych mu astronomów.

Godne uwagi są poglądy kosmologiczne Kopernika. Uważał on siłę ciężkości za przyczynę kulistości ciał niebieskich. W gwiazdach widział najdalsze ciała niebieskie, świecące własnym blaskiem. A oto jak określił rozmiary świata: „według oceny zmysłów rozmiary drogi Ziemi wokół Słońca mają się tak do rozmiarów świata, jak rzecz o rozmiarach skończonych do nieskończoności. Kosmos jest niezmierny, jest całością w sobie zawartą, a do nieskończoności podobny”. Pokrywa się to ze współczesnymi poglądami wypowiedzianymi przez Einsteina. Wpływ, jaki wywarło dzieło, był ogromny. Rozładował on bezpowrotnie zacofany obskurantyzm średniowieczny, obalił poglądy, jakoby świat istniał tylko dla człowieka.

W swej książce Kopernik słusznie stwierdził, że Ziemia obraca się dookoła swej osi, że Księżyc krąży wokół Ziemi i że Ziemia oraz inne planety krążą wo-

kół Słońca. Jednak, podobnie jak jego poprzednicy, nie docenił wielkości Układu Słonecznego. Mylił się również sądząc, że planety poruszają się po okręgach (a nie po elipsach) – jego teoria była zatem nie tylko skomplikowana pod względem matematycznym, ale i również niedokładna. Mimo to książka (ze względu na swą dużą wartość naukową) wzbudziła szybko ogromne zainteresowanie. Skłoniła też innych astronomów, między innymi duńskiego Astronoma Tycho de Brahe, do przeprowadzenia bardziej dokładnych obserwacji ruchu planet. Właśnie na podstawie danych obserwacyjnych, które zgromadził Tycho de Brahe, Johannes Kepler zdołał wreszcie ustalić dokładne prawa ruchu planet.

Kopernik był również czynny w takich dziedzinach wiedzy, jak geografia, fizyka i ekonomia (Prawo Kopernika). Będąc kanonikiem warmińskim, przez wiele lat zajmował różne stanowiska w administracji księstwa. Na czas wojny z Krzyżakami został mianowany przez króla polskiego komisarzem Warmii. On też osobiście dowodził polską załogą przy obronie Olsztyna (1520). Z historycznego punktu widzenia opublikowanie *De revolutionibus orbium coelestium* było punktem wyjścia dla nowoczesnej astronomii i – co ważniejsze – nowożytnej nauki.

Wykorzystano książki:

- Michael H. Hart, *100 postaci, które miały największy wpływ na dzieje ludzkości*, „Świat Książki”, Warszawa 1996,
- Jan Gadowski, *Poczet wielkich astronomów*, „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1965.

Barbara Strzelbicka

FESTIWALOWE JUBILEUSZE



*Aleksandra Mieczynska, Małgorzata Zuzanna Nowak, abp Wacław Depo, ks. Piotr Zaborski,
foto Marcin Szpądrowski*

Pierwszymi zwiastunami 27. edycji Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” były plakaty, które pojawiły się w mieście. Autorem ich projektu już po raz czwarty był Leszek Mądzik, dawniej systematycznie goszczący ze spektaklem Sceny Plastycznej KUL, który zawsze był o tyle oczekiwanym, co elitarnym wydarzeniem, ponieważ czasem oglądać go mogła niewielka grupka widzów. Tym razem twórca obecny był symbolicznie – poprzez swoje dzieło. Obraz przedstawiony na plakacie jest metaforą – metaforą niezwykle nośną, przemawiającą do wyobraźni i przywołującą liczne skojarzenia, przedstawia bowiem odcisk linii papilarnych na jasnym tle tkaniny, przy bliższym

spojrzeniu niejednolicie białej, pokrytej żyłkami jak ludzka skóra, fakturą przypominającej także marmur. Odcisk palca jest śladem, identyfikującym tożsamość człowieka. Jest to jednocześnie ślad obecności i działalności. Umieszczenie go na tkaninie odsyła do chusty św. Weroniki, do całunu turyńskiego, ale także do fotografii. Nadanie tłu cech niejednoznacznych: miękkości tkaniny i trwałości marmuru oraz czułości skóry sprawia, że ten prosty obraz jest jeszcze bardziej wymowny. Skojarzenia można snuć dalej, bo odcisk jest także plamą i pieczęcią, jest plamą na białźnie, piętnem.

Tegoroczna edycja Festiwalu upłynęła pod znakiem kilku jubileuszy, co zapowiedziała na konferencji prasowej dyrektor Fe-



Romina Basso, foto Marcin Szpądrowski

stiwalu Małgorzata Zuzanna Nowak. Wtedy także zostały przedstawione informacje na temat tegorocznej edycji imprezy, przygotowanej już po raz piąty przez Towarzystwo Przyjaciół „Gaude Mater”, w imieniu którego konferencję prowadziła jego wiceprezes Grażyna Domaszewicz. Dyrektor Festiwalu towarzyszyli przedstawiciele jego częstochowskich współorganizatorów: Klasztor Jasnogórski reprezentował o. Nikodem Kilnar OSPPE, Filharmonię Częstochowską jej dyrektor Ireneusz Kozera, a Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” dyrektor Tadeusz Piersiak. Impreza została objęta honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy, zaś Komitet Honorowy stanowili przedstawiciele najwyższych władz państwowych i kościelnych: Wicepremier, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotr Gliński, Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki, Metropolita Częstochowski abp Wacław Depo, przeor Jasnej Góry o. Marian Waligóra. Liczne było także grono partnerów, tym bardziej, że Festiwal swym zasięgiem objął inne polskie miasta (w kolejności odbywania się koncertów: Kłomnice, Nowa Brzeźnica, Toruń, Radomsko i Bydgoszcz) oraz niemieckie Brauweiler. Patronatem medialnym objęły Festiwal m.in. TVP Kultura, radiowa Dwójka i „Rzeczpospolita”. Wszystkie te informacje, uzupełnione o listę sponsorów, z których najbardziej hojnym było Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, były wymieniane przed każdym koncertem.

W tym roku Festiwal rozpoczął się nietypowo, bo inauguracją liturgiczną, co wynikało z kalendarza: początek Festiwalu przypadł na niedzielę. Liturgię sprawował o. Nikodem Kilnar, zaś homilię wygłosił tradycyjnie ks. prof. Kazimierz Szymonik. Padło podczas niej wiele słów o wartości kultury dla życia duchowego człowieka i narodu, przytoczone zostały wypowiedzi św. Jana Pawła II oraz Benedykta XVI,

wielkiego admiratora kultury muzycznej, pojawił się, jak zwykle, kontekst filozoficzny. Podkreślone zostało, że muzyka sakralna realizuje najwyższy wymiar kultury, a kultura jest przymiotem Boga. Apologia chrześcijaństwa realizuje się w dwóch wymiarach: poprzez świętych i poprzez wielką sztukę, zrodzoną z inspiracji Ewangelią. Szczególnie wymowne były słowa Benedykta XVI, który powiedział, że Kościół, który uprawia wyłącznie muzykę użytkową, staje po stronie tego, co nieprzydatne i sam staje się w ten sposób nieprzydatny. W kwestii kultury Kościół musi być wymagający. Św. Jan Paweł II z kolei podkreślał, że kultura jest potwierdzeniem człowieczeństwa i wyrazem międzyludzkiej komunikacji. Ks. Kazimierz Szymonik podkreślił także wagę edukacji muzycznej i wyraził nadzieję, że zreformowana szkoła będzie przykładac do niej większą wagę. Szczególnie ważne były słowa o roli muzyki dla tworzenia wspólnoty narodowej – padające w kontekście jubileuszu 300-lecia koronacji obrazu Najświętszej Maryi Panny.

Muzyka, stanowiąca oprawę liturgii, doskonale korespondowała ze słowami homilii. Wystąpił zespół Virum Schola Gregoriana Cardinalis Stephani Wyszyńskiego, kierowany przez Michała Sławackiego, o którym pisaliśmy obszerniej w sprawozdaniu z ubiegłorocznej edycji Festiwalu. Warto przypomnieć, że zarówno Dyrygent jak i zespół uczestniczą w projekcie nagrywania muzyki ze zbiorów jasnogórskich, publikowanej w serii „Musica Claromontana”. Ze zbiorów jasnogórskich pochodziła oprawa liturgii zarówno w częściach *Proprium Missae*, jak i *Ordinarium Missae* (*Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus i Agnus Dei*).

Pierwszy z zapowiedzianych przez Dyrektora Festiwalu jubileuszy był świętowany na Jasnej Górze. Koronacja Cudownego Obrazu była wydarzeniem o tyle istotnym, że dokonana została przez papieża Klemensa XI. Obrzęd, który odbył się 8 września 1717 r., przypominał koronację

królewską i była to uroczystość o ogromnym znaczeniu dla historii narodu i państwa polskiego, jak również dla Częstochowy i dla zakonu paulinów, dlatego też Senat RP przyjął uchwałę o ustanowieniu roku 2017 Rokiem Koronacji Matki Bożej Częstochowskiej, Królowej Korony Polskiej.

Rocznica tego wydarzenia została uświetniona najważniejszym bodaj koncertem Festiwalu – występem Rominy Basso, włoskiej mezzosopranistki, z Wenecką Orkiestrą Barokową. Andrea Marcon stworzył przed 20 laty zespół, który obecnie jest uznawany za jeden z najlepszych w Europie zespołów grających na instrumentach historycznych. Współpracuje z takimi znakomitościami jak Cecilia Bartoli, Simone Kermes (była gościem ubiegłorocznej edycji Festiwalu), Anna Netrebko, Magdalena Kożena, Viktoria Mullova, Giuliano Carmignola, Andreas Scholl (dwukrotnie wystąpił na Festiwalu). Solistka – Romina Basso – także specjalizuje się w repertuarze barokowym, jest zwyciężczynią wielu konkursów, zapraszaną do współpracy przez wybitnych artystów i dyrygentów oraz przez prestiżowe rozgłośnie i studia nagrań. W koncertowym repertuarze znalazły się dzieła Arcangelo Corellego, Georga Friedricha Händla, Antonio Vivaldiego i Nicolo Porpory. Jednak największe brawa otrzymała śpiewaczka za bis, na który wykonała arię Almireny z opery Händla „Rinaldo”, którą mają w swoich repertuarach wybitne sopranistki i kontratenorzy – „Lascia ch'io pianga”.

Druga ważna rocznica, o szerszym zasięgu terytorialnym oraz znacznie bardziej zróżnicowanych skutkach dla chrześcijaństwa, to 500-lecie Reformacji, fetowane w świątyni ewangelicko-augsburskiej występem zespołu „Śląsk”. Jubileuszowy repertuar stanowiła składanka utworów związanych bliższym i dalszym pokrewieństwem z Reformacją, nosząca tytuł „Solus Christus”. Słowo wstępne, podobnie jak w przypadku poprzedniego koncertu, wy-

głosiła Beata Młynarczyk, zaś przewodnikiem po głównych zasadach Reformacji, którymi są, oprócz pierwszej wymienionej – jedynie Chrystus – jedynie Pismo, jedynie wiara i jedynie łaska, był proboszcz parafii ks. Adam Glajcar. W skład repertuaru muzycznego weszły kompozycje najbardziej znanych twórców wyznania protestanckiego – Jana Sebastiana Bacha i Georga Friedricha Händla – uzupełnione o kompozycje samego Marcina Lutra, Georges’a Bizeta, Stanisława Hadyny oraz o utwory mniej znanych twórców i o melodie ludowe. Większość utworów opracował muzycznie dyrygent Jean-Claude Hauptmann. Koncert został przygotowany w ramach projektu zrealizowanego w celu uczczenia 500-lecia Reformacji. Tak szeroki repertuar był zapewne dla „Śląska” sporym wyzwaniem, ale zespół wywiązał się z zadania znakomicie. Partie solowe wykonane zostały z wielką starannością, wzbudzającą szacunek i uznanie u słuchaczy. Koncert pokazuje, jakim fenomenem jest zespół, który potrafi wykonać zarówno repertuar klasyczny, jak i ludowy.

Swój jubileusz świętowała także Małgorzata Zuzanna Nowak – od 25 lat dyrektorka Festiwalu. Z tej okazji otrzymała wiele gratulacji, w tym także od Anny Milczanowskiej, posłanki na Sejm RP oraz statuetkę „Marka Częstochowskie – lubię TO!” od Katolickiego Radia Fiat, wręczoną na trzeciomajowym koncercie przez abp. Wacława Depo. Skromny jubileusz obchodziło Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater”, od pięciu lat zajmujące się organizacją tego olbrzymiego przedsięwzięcia, jakim jest Festiwal. Wspomnieć należy, że te jubileusze wiążą się z kolei z jubileuszem ćwierćwiecza powołania do życia Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”, utworzonego dla organizacji Festiwalu. Słusznym zatem było stwierdzenie Dyrektorki Małgorzaty Zuzanny Nowak, że 27. edycja Festiwalu upływać będzie pod hasłem jubileuszy...

Trzeciomajowy koncert miał jeszcze inny cenny walor – prawie wszystkie utwory zostały wykonane w obecności ich autorów. „Prawie”, ponieważ laureat II nagrody kategorii chóralnej 13. Międzynarodowego Konkursu Kompozytorskiego „Musica Sacra Nova” na uroczystość wręczenia nagród i prawykonywania nagrodzonych kompozycji nie przyjechał. Na częstochowskiej gali obecni byli: laureatka I nagrody Katarzyna Danel (Polska), kompozytorka utworu „Misericordias Domini” oraz Janusz Krzysztof Korczak (Polska), który otrzymał III nagrodę za kompozycję „Cum enim quietamsilentium contine-ret omnia”. II nagrodę otrzymał Słowak Andrej Makor za utwór „O Emmanuel”. Została także przyznana nagroda specjalna Metropolity Kolońskiego, otrzymała ją Irina Rebhuna (Łotwa) za utwór „Libera me, Domine”.

Wręczenie nagród w kategorii organowej konkursu odbyło się w tym roku w Niemczech: I nagrody nie przyznano, II otrzymał Michał Schaefer (Polska) za kompozycję „...Et verbum caro factum est... And He dwells us...”. Niewątpliwym odkryciem tegorocznej edycji jest Katarzyna Danel, nagrodzona w obydwu kategoriach – w kategorii organowej otrzymała III nagrodę. Jej talent docenił Konsul Generalny RP w Kolonii, przyznając nagrodę specjalną „Dla najlepszego kompozytora”.

Jak podkreśliła dyrektor Małgorzata Zuzanna Nowak, na tegoroczny konkurs nadesłano nadspodziewanie dużo, bo 70 kompozycji z 12 krajów. Rangi konkursowi przydał fakt, iż tegoroczna jego edycja zorganizowana została we współpracy z Papieskim Instytutem Muzyki Sakralnej w Rzymie, tam też 4 lutego miało miejsce jego rozstrzygnięcie.



„Śląsk”, foto Marcin Szpadrowski

Nagrodzone kompozycje chóralne wykonał Zespół Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia” pod dyrekcją Anny Szostak, twórczyni zespołu i jego dyrygentki od 1990 roku. Ten sam chór był wykonawcą głównej pozycji koncertu, kompozycji „Missa ex tempore” Marcela Pérèsa, który wystąpił również jako solista. Muzyk specjalizuje się w muzyce średniowiecza, jest autorytetem w kwestiach związanych z wykonywaniem chorału gregoriańskiego a także odkrywczą zapomnianych rodzajów śpiewu: chorału mozarabskiego, gallikańskiego, starorzymskiego i ambrojańskiego. „Missa ex tempore” jest próbą połączenia muzyki

średniowiecznej z muzyką współczesną albo też próbą nowoczesnego odczytania muzyki dawnej – taką interpretację sugeruje tytuł kompozycji. Ponieważ efektem tej próby jest niezwykle kontemplacyjna muzyka, powyższa interpretacja tytułu nie jest jedyna...

Festiwalowa publiczność miała też przyjemność słuchania muzyki skomponowanej przez Fryderyka Chopina w doskonałym wykonaniu solistów: Piotra Palecznego i Konrada Skolarskiego oraz Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia „Amadeus”, którą prowadziły Agnieszka Duczmal i Anna Duczmal-Mróż. Koncert został zatytułowany dość umownie „Chopin – sacrum-profanum”, ponieważ w dorobku kompozytora brak muzyki sakralnej, za to zostały wykonane dwa koncerty: II Koncert fortepianowy f-moll op. 21 i I Koncert fortepianowy e-moll op. 11. Za *sacrum* uznano muzykę w jej formie doskonałej, *profanum* – to jej wykonanie, bliższe lub dalsze od doskonałości. W przypadku tego koncertu wykonanie było bardzo bliskie *sacrum*, bowiem wystąpiły w Bazylice Jasnogórskiej gwiazdy pierwszej wielkości wraz z mającymi na swoim koncie niepodważalne sukcesy muzykami młodego pokolenia. Dwudzielnosc, zaznaczona w tytule koncertu i w doborze repertuaru, dotyczyła także wykonawców: jako soliści wystąpili przedstawiciele dwóch pokoleń, orkiestra była prowadzona odpowiednio przez przedstawicielki dwóch pokoleń – matkę i córkę.

Zupełnie inny był charakter spotkania z tradycją perską podczas koncertu Maryam Akhondy i irańskiego zespołu „Banu”. Tu elegancję wykonania zastąpiła żywiołowość, charakterystyczna dla pieśni towarzyszących codziennemu życiu, obrzędowych i rytualnych. Spotkanie było atrakcyjne nie tylko ze względu na wrażenia akustyczne, w tym także dzięki oryginalnym instrumentom, to-

warzyszącym śpiewaczkom, ale również ze względu na orientalne stroje, barwne i bogato zdobione. Niestety, widowisko było niedostępne dla oczu osób siedzących dalej...

Prawosławie było obecne na Festiwalu poprzez fotografie Grupy Twórczej „Motycz”, których wystawa, zatytułowana „Спаси и сохрани” (Zbaw i ochraniaj), zawisła w OPK „Gaude Mater”. Jej inicjatorem był Krzysztof Muskalski, lekarz, podróżnik i fotograf. Nazwa grupy pochodzi od nazwy wsi koło Lublina, z którą związani są fotografowie, a która ma bardzo ciekawą i bogatą historię. Grupa powstała w 2011 r. i jest to jej trzeci projekt – poprzednie to „Ich portret” i „Kupcy”. Warto zaznaczyć, że do projektu „Kupcy” dołączył z niepublikowanymi wcześniej fotografiami Tadeusz Rolke. Częstochowski wernisaż odbył się w szczególnej atmosferze – w sali wystawienniczej zostały, jak w cerkwi, zapalone świece, przy których widzowie mogli obejrzeć pokaz zdjęć oraz fotografie wyeksponowane na ścianach. Obecni byli członkowie Grupy, ale brak było ich nazwisk zarówno pod pracami, jak i w programie – taka zasada w sposób oczywisty kojarzy się ze średniowieczną zasadą twórczości „ad maiorem Dei gloriam” (na większą chwałę Bożą). Fotografie, które znalazły się na wystawie, opowiadają o życiu i tradycji ludzi, połączonych prawosławiem. Tereny wschodniej Polski okazują się być ciekawe kulturowo ze względu na przenikanie się różnych wpływów (katolickich, prawosławnych i żydowskich). Malowniczość prawosławia została przybliżona częstochowianom już w roku ubiegłym dzięki wystawie Tadeusza Żaczka, w tym roku zaś zyskała nowe spojrzenie.

Każde z wydarzeń Festiwalu „Gaude Mater” zasługuje na odrębny tekst – ze względu na zawartość treści, liczne konotacje, a przede wszystkim ze względu

du na wartość muzyczną. Każdy koncert i wernisaż to wydarzenie artystyczne, ich zbieg na początku maja w Częstochowie śmiało więc można nazwać festiwalem (z łac. *festivus* = świąteczny) nie tylko z powodów formalnych. Kolejnym pretekstem do świętowania było spotkanie z zespołem „Kwadrofonik” i z Adamem Strugiem, wykonawcami „Requiem ludowego”. Tytuł koncertu jest nawiązaniem do tradycyjnego znaczenia nazwy rekwiem jako: śpiew i muzyka do mszy za zmarłych lub zespół specjalnych modlitw; rzadziej – msza za zmarłych. Twórcą tego projektu, na który złożyły się XIX-wieczne polskie pieśni pogrzebowe oraz melodie barokowe, zaaranżowane na fortepiany i instrumenty perkusyjne, jest zespół „Kwadrofonik”, kwartet klasycznie wykształconych muzyków, poszukujących nowych brzmień. Teksty pieśni pochodziły ze „Śpiewnika Pelplińskiego”, w którego współczesne wydanie zaangażowany był śpiewak Adam Strug. Pełny tytuł śpiewnika to: „Zbiór pieśni nabożnych do użytku domowego i kościelnego”, po raz pierwszy wydany został w 1871 r., zawiera 1102 teksty pieśni, pochodzących częściowo z XVII i XVIII w. Wydanie śpiewnika z 2015 r. jest wierną kopią wydania z 1886 r., przygotowaną w technice faksymilowej.

Na koncert złożyło się 10 pieśni, ułożonych w tryptyk: Śmierć-Wędrowka-Wieczność. Układ związany jest z silnie zakorzenionym w tradycji ludowej wierzeniem, że przez pewien czas po śmierci dusza przebywa jeszcze na ziemi; w ślad za tym wierzeniem idą pewne rytuały, zwłaszcza modlitwy, zakaz dokonywania zmian w dawnym otoczeniu zmarłego, dysponowania spuścizną itp. Wykonanie Adama Struga, zwolennika śpiewania tradycyjnego, silnie nacechowanego emocjami, ale pozbawionego patosu, zostało uzupełnione o dźwięki charakterystyczne tzw. muzykę konkretną, jak

odgłos zegara, przelewającej się wody, szmery, stuki i – na koniec – sygnał telefonu, którego nikt nie odbiera. Całość stanowiła zapis ludzkiego doświadczenia związanego ze śmiercią, wysoce emocjonalny, pozbawiony intelektualizmu, przepełniony lękiem, ale także pokorą.

Motywy przewodnim tegorocznego Festiwalu, jak zapowiedziała Małgorzata Zuzanna Nowak w radiowej Dwójce, była msza i jej różne odsłony. Nie wszystkie koncerty rygorystycznie wpisały się w wyznaczone ramy, jednakże czytelny był prymat muzyki liturgicznej. Finałowy koncert spełnił obydwa kryteria wyznaczone jako motywy przewodnie tegorocznej edycji: poświęcony był 140. rocznicy urodzin Feliksa Nowowiejskiego, którą uczczono wykonaniem „Missa pro pace”, poprzedzoną uwerturą „Swaty polskie”. Obydwie kompozycje Nowowiejskiego wykonane zostały przez Chór i Orkiestrę Filharmonii Częstochowskiej, którą poprowadził gościnnie Piotr Sułkowski, dyrektor Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie, noszącej imię Feliksa Nowowiejskiego.

Przysłowiową kropką nad „i” nie był jednak koncert finałowy, lecz dziękczynienie, ogłoszone nazajutrz podczas liturgii mszalnej w bazylice przez arcybiskupa Wacława Depo. Dziękczynienie za 27. edycję Festiwalu i modlitwa w intencji jej organizatorów i twórców były mocnym akcentem, bo msza była transmitowana przez TVP Polonia, dzięki czemu sława Festiwalu zyskała szerszy zasięg. W homilii Festiwal został wpisany w szeroki kontekst kultury chrześcijańskiej, stanowiącej fundament kultury europejskiej, wyznaczającej moralny azymut ludzkości. Homilia wyraźnie nawiązywała do tej ogłoszonej na inauguracji Festiwalu przez ks. prof. Kazimierza Szymonika, zamykając w ten sposób klamrą to ważne dla Częstochowy – i nie tylko – wydarzenie muzyczne.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

CZAS



„wszystko kończy się prędzej niż musi”
(M. Pawlikowska-Jasnorzewska)

Smutne, nieobce chyba nikomu refleksje, że życie ludzkie jest w gruncie rzeczy tylko dążeniem do śmierci, są odwieczne. Grecy, personifikujący rozmaite sprawy, wyobrazili sobie ongi trzy Mojry, boginie przeznaczenia i losu człowieka, z których Koto przędła nić żywota, Lachesis jej strzegła, a Atropos przecinała. Przeświadczenie o niszczycielskiej sile czasu odnaleźć można w wierszu Klemensa Bolesławiusza, jednego z kaznodziejów doby baroku:

„Zrazu, by kwiatki, z ziemie wynikamy,
Potem pod kosę śmierci podpadamy”,

a także w twórczości Hieronima Morsztyna, kolejnego przedstawiciela owej epoki:

„Wszystko idzie za czasem;
Jam żyw, a śmierć za pasem”.

W znakomitym utworze o przemijaniu *Na sklenicę malowaną* myśl podobną pomieścił niemal zupełnie dziś zapomniany Kasper Miaskowski:

„Popiół szkło, ale i popiół człowiek”.

W groteskowej natomiast formie pisał o „śmierci niechybnej” Józef Baka:

„Śmierć babula,
Jak cybula,
Łzy wyciska,
Gdy przyciska”.

Co ciekawe, owego wielokrotnie wydrwiwanego jezuickiego kaznodzieję ceniła („Ulubiony mój poeto, księżo Bako...”) Pawlikowska-Jasnorzewska, doskonale wyczuwająca nastrój i siłę ekspresji jego stylu.

Nieuchronność przedwczesnej śmierci boleśnie przezuwała chora na serce Halina Poświatowska:

„W abstrakcji którą nazwano historia
wyznaczono mi wąski przedział
stąd – dotąd”.

Halina, młoda, pełna uroku kobieta o smutnych oczach, pragnęła, nim odejdzie, poznać wszystkie smaki życia, walczyła o każdy dzień:

„gdy życie odchodzi ode mnie
przywieram do niego
mówię – życie
nie odchodź jeszcze...”

Gorzka myśl o nieodwracalności śmierci pojawiła się w wierszu także chyba zbyt młodo zmarłego Grochowiaka, który, nawiązując do własnej biografii, pisał:

„Urodziłem się w środę. Gdzieś o piątej nad ranem.
Z nieba zesłano garstkę duszy, ból i skrawek ziemi
Na pogrzebienie”.

Daniel Naborowski, autor często przywoływanych wierszy wanitatywnych, przypominał: „Kołem niehamowanym lotny czas uchodzi”, a konstatacja ta zwłaszcza kobietom bywa szczególnie przykra.

„A więc już do nich należę,
do tych starych kobiet” –

- pisała Ludmiła Marjańska.

Podobną nutkę bolesnego zdziwienia znaleźć można w jednym z wierszy Pawlikowskiej:

„I już kurze łapki na skroni?
Ach, czas jak gdacząca kura
o zabłoconych pazurach
przebiegł po białych płatkach okwitłej jabłoni”.

Lilka uciekała w świat marzeń, w którym miało nie być rozczarowań i cierpień, w którym nawet ze śmiercią łatwiej byłoby się pogodzić:

„Niechaj śmierć mi nie będzie niewiastą w całunach,
lecz mężczyzną o bujnych ramionach;
a pękne w jego ręku jak dzwoniąca struna,
roześmiana i rozmarzona”.

Lęk przed mijaniem czasu wiązał się u pełnej czaru, zawsze bardzo dbającej o swój wygląd Lilki, z lękiem przed utratą urody, utratą szans na miłość:

„Bywają dziwacy,
którzy z pokrzyw i mleczów składają bukiety,
lecz gdzież są tacy,
którzy by całowali włosy starej kobiety”.

Obawy te nie były však bezpodstawne, wystarczy przywołać jedną z fraszek Kochanowskiego:

„Teraz by ze mną zygrywać się chciała,
Kiedyś, niebogo, sobie podstarzała.
Daj pokój, prze Bóg! Sama baczysz snadnie,
Że nic po cierniu, kiedy róża spadnie”.

Cóż zatem pozostaje starej kobiecie? Niewiele, może czasem czyjeś współczujące spojrzenie, o czym napomknął, sam zresztą przez los doświadczony, Witold Kowalski:

„Zegar odarł jej dni ze złudzeń,
pozostawił kapitał zmarszczek
...ze starych dłoni kwiaty wytrzebił
...idzie przez czas nieoświecony
stara”.

Zegar lat może się jednak cofnąć we śnie. Pochrapujące stare babsko z wiersza Pawlikowskiej (ach, ta tak charakterystyczna dla Lilki obsesja starości!) znów było młodzieńskim dziewczęciem:

„We śnie, gdy pamięć ulata,
odnajdują niewiasty
właściwe swoje lata –
a więc rok szesnasty”.

Zmiany, jakie przynosi z sobą upływ czasu, poczucie bezsilności wobec nieuchronnych praw życia, przecież i mężczyźni równie boleśnie dotykają. Cytat z wiersza *Ojciec* Tuwima doskonale to ilustruje:

„Myślałem kiedyś, że potrafię
Dać tobie wieczność modlitwami,
I tak cię jakoś przysposobić,
Byś wieczną starość miał szczęśliwą.
Dziś – wszystko, co syn może zrobić
To spojrzeć, westchnąć – i na ścianie
Poprawić twoją fotografię,
Gdy wisi krzywo”.

Uchodząca błyskawicznie młodość wywołuje przekonanie o niesprawiedliwości ludzkiego losu. W jednej z pieśni pisze o tym z mocno wyczuwalnym smutkiem Kochanowski:

„Jeleniom nowe rogi wyrastają,
Nam, gdy raz młodość minie,
Już na wiek wiekom ginie,
A zawsze gorsze lata przypadają”.

Upływ lat każe też z coraz większą bojaźnią myśleć o nadchodzącym kresie własnego życia:

„Im głębiej idziem w życie, coraz większa troska,
Coraz większa nas nęka obawa tej chwili,
Gdy wreszcie się ostatnia zasłona rozchyli;
Biedna ludzka komedia – okaże się boska”.

Lechoń, autor tych słów, wybrał ostatecznie śmierć samobójczą, może łatwiejszą dla jego skolataną psychiką, niż życie w ciągłym udręczeniu.

Podobny ton smutku, rozpacz, nawet, pojawił się w wierszu innego skamandryty – Wierzyńskiego:

„Jesteśmy coraz bliżej końca,
Nic nas nie jętrzy już, nie gniewa,
Tylko ta żałość przejmująca,
Z serca do serca się przelewa”.

Człowiek u schyłku lat pamięta wprawdzie kochanych ongi ludzi, jakieś dawne smaki i zapachy, ale wie, o czym zapewnia Iwaszkiewicz, że:

„(...) nie ma już powrotu, nie ma, nie ma, nie ma (...)
Parę smutnych uśmiechów i echo. To mało!”

Mijający czas odziera też, co gorsza, z wcześniejszych marzeń, złudzeń, o czym pisał, wcześniej już przywoływany, Witold Kowalski:

„Dnie odchodzą za dniami, idzie mi w stronę zmierzchu,
Nie łudzę się snami, co pierzchły”.

Przyczyną cierpienia człowieka jest też świadomość, że czas zabiera intensywność przeżyć, co boli – jak wyznawał Tetmajer – może bardziej niż zbliżający się kres:

„W odczucia mego głęb spoglądam z żalem –
coraz większe dzielą mnie przestrzenie
od wrażeń dawnych świeżości i siły –
i jest mi smutno, smutno nieskończenie”.

Motyw nieuchronnej śmierci powracał często w utworach kochającego życie i piękne kobiety (z wzajemnością, co ciekawe, i choć urodą nie grzeszył, miał większe, niż przystojni koledzy, powodzenie) Słonimskiego:

„Zetrą nas czasu żarna,
Noc pochłonie czarna
Ciebie i mnie”.

Antoni, z pewną dozą humoru, podzielił się jeszcze inną, ludzkiego losu tyczącą, refleksją:

„Zostanie po mnie para butów (...)
I długo jeszcze mój zegarek
Wydzwaniać będzie swe tik – tak,
Bo trwalszy jest szwajcarski werk
Niż mego serca wąły wrak,
Dogasający już ogarek”.

Znacznie bardziej gorzko, bez żadnych złudzeń, o tym, co zostaje po człowieku, którego pogrzebią, mówił Witold Kowalski:

„a tu nie eksploduje słońce,
ani się ziemia rozstąpi na zrębie”.
Ktoś może stypę wyprawi, a potem:
„przed trybunały pójda o portki,
zamówią tanie «wieczne odpoczywanie»
i tyle zostanie z trwania”.

Śmierć przynębia, budzi strach, ale gdyby mogła przyjść tak, jak wymarzył Tetmajer, może łatwiej byłoby odejść?

„Gdybym mógł sobie wybrać śmierć podług mej woli,
Chciałbym z wolna utracić świadomość istnienia,
Przestać czuć, co rozkosz przynosi lub boli,
I pogрузić się w cichą otchłań zapomnienia”.

„Zegar, słyszę, wybija”
(Jan Kochanowski)

Początkowo, by wyznaczyć porę dnia, ludzie obserwowali położenie słońca, gwiazd i księżycy, długość własnego cienia, zwierzęta (koguty, nawet koty, których źrenice zmieniają się z upływem godzin). Z czasem powstały pierwsze gnomony, zegary słoneczne, klepsydry piaskowe i wodne. Sławę zdobył, skonstruowany dla jednego z bagdadzkich kalifów, zegar z pawiem, prawdziwe arcydzieło sprzed wieków. W środku srebrnego basenu umieszczony był złoty paw, który co godzina dotykał dziobem jednej z 24 pawic ze złota.

Wytwarzanie zegarów, coraz bardziej skomplikowanych, rozwinęło się z czasem w jedną z najtrudniejszych, wysoko cenionych dziedzin rzemiosła. Miarowe cykanie zegara (u nas wcześniej zwanego także horologium lub godzinnik) budzi rozmaite skojarzenia, by zacytować fragment wiersza Marjańskiej:

„Lubię stare zegary, które nakręcać trzeba.
To jakby pomagać godzinom płynąć do nieba”.

Częściej jednak, czego doświadczał na przykład Tetmajer, odgłos zegara przypomina o nieuchronnym przemijaniu:

„Jak dziwnie smutne, posępne, złowieszcze
jest to zegaru miarowe stąpanie –
słucham i zimne przejmują mię dreszcze...
Coraz mniej życia, niebytu otchłanie
coraz mi bliższe”.

Zegarem jako memento mori posługiwał się Kościół. Posuwająca się nieustannie wskazówka była symbolem znikomości życia, służyć miała utrzymaniu wiernych w pokorze i posłuszeństwie. Maria Stuart miała czasomierz, którego obudowa w kształcie przerażającej czaszki przypominała o nietrwałości życia, a inskrypcja (zaczepiona z jednej z pieśni Horacego) głosiła, iż śmierć tak samo nawiedza ubogie chaty, jak i komnaty królewskie. W kontekście tragicznych losów królowej było to szczególnie znamienne.

Podobnie jak lustro, zegar uświadamiał człowiekowi niszczący wpływ czasu i marność spraw doczesnych.

„Zwierciadło ci pokaże
– pisał w jednym ze swych sonetów Szekspir –
jak wędnie uroda, zegar słoneczny powie, jak płyną minuty, (...)
Zmarszczka, którą ci lustro prawdopodobnie wskaże,
Przywiedzie na myśl grobów rozdziawione jamy”.

Skojarzenia równie wymowne odnaleźć można w utworach polskich twórców, choćby Jakuba Teodora Trembeckiego (zasługi odniósł przede wszystkim jako autor pierwszej antologii poetów *Wirydarz poetycki*):

„Zegar bije, wspominaj na ostatnie rzeczy,
A tak nigdy nie zgrzeszysz, mając to na pieczy.
Zegar bije, godzina żywota uchodzi.
Czuj o sobie, śmierć z łuku w serce twoje godzi”.

Motywy serca, źródła życia i uczuć rażonego śmiercią, pojawił się też w jednym z wierszy z tomu *Ciemne ścieżki* Iwaszkiewicza:

„(...) serce (...)
Fontanna nakręcona złą sprężyną – śmiercią,
Która swoich zegarów przenigdy nie zmienia”.

Fascynująca historia zegarów przypomina np. papieża Sylwestra II, któremu legenda przypisywała wynalazek pierwszego zegara mechanicznego, a przeciwnicy zarzucali sojusz z diabłem. Historia owa przypomina też nękanego przez rozmaite fobie cesarza Rudolfa II, który w ciągu długiego panowania zgromadził na pełnym przepychu dworze w Pradze wiele dzieł sztuki, w tym kunsztowne zegary.

W Polsce ich miłośnikiem był Zygmunt III Waza, małomówny introwertyk, trochę marzyciel, który miał talenty artystyczne i obok relikwiarzy, kielichów i monstrancji, które z upodobaniem wykonywał, konstruował także zegary. Pasję tę odziedziczył Jan Kazimierz, powiększył kolekcję czasomierzy, ta jednak po jego abdykacji trafiła do Francji.

Stanisław August z kolei obdarowywał zegarkami znaczniejsze osoby (miał kilku nadwornych zegarmistrzów). Z podobnej okazji książę biskup Naruszewicz napisał podziękowanie:

„Królu łaskawy, cóż za podarek
Odnoszę z pańskiej szczodroty?
Widzęc ja dobrze, iż to zegarek
Kształtnie zdobiony i złoty”.

Pojawienie się zegarów mechanicznych nie sprawiło, by słoneczne odeszły w zapomnienie. Jan Heweliusz zbudował piękny zegar słoneczny na frontonie pałacu Jana III Sobieskiego w Wilanowie, a astronomowie gnomoniką zajmowali się jeszcze w XIX wieku. Bogactwo rozmaitych zegarów oszałamia, bywały bowiem ukryte w rękojeściach sztyletów, nawet w buławach, bywały kafelkowe, pektoraliki czy kurantowe, przywodzące na myśl wnętrza szlacheckich dworów, by przypomnieć znaną arię z opery Moniuszki czy powrót Tadeusza do Soplicowa:

„(...) stary stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał, u wnijścia alkowy,
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek”.

Pomysłowość konstruktorów sprawiała, że zegary wskazywały nie tylko upływ godzin, ale i miesiące, lat, czas księżycowy, znaki Zodiaku itp. Polacy też mają w tej mierze swoje zasługi, by przywołać tylko Adama Kochańskiego i Antoniego Patka, którego zegarki cieszyły się zasłużoną sławą. „Zegarek to firmy «Patek» - wspominała w jednym z wierszy Pawlikowska – wierniejszy pradziadzi niż serce”.

„uciekam wahadłu zegara w skokach mamucich”.
(Witold Kowalski)

Odwieczna chęć życia, przemożne pragnienie szczęścia zawsze budziło w ludziach nadzieję, że można znaleźć sposoby, by wywinąć się śmierci. Wyrazicielem wspólnych chyba wszystkim tęsknot był choćby Daniel Bratkowski:

„Ej, śmierci, śmierci, ciągniesz nas do siebie,
Niejeden by się odkupił od ciebie.
Bogacze świata daliby millony,
Gdyby w podziemne nie wchodzili strony”.

Poeta nie tylko (oczywiście) śmierci się nie wykupił, ale z wyroku sądu wojskowego został ścięty.

Ludzie marzyli (i nic się chyba w tej mierze nie zmienia), by zapewnić sobie, jeśli nie nieśmiertelność, to przynajmniej długowieczność. Wierzyli w magiczne właściwości wody z ukrytych źródeł, wieki całe poszukiwali w różnych miejscach mitycznego Źródła Wiecznej Młodości. Szukali roślin mających wyjątkowe moce. Proszek z owoców cyprysu rzekomo pozwalał dożyć lat tysiąca, równie skuteczny miał być wąż (opiekuńczy zwłaszcza dla urodzonych w znaku Wagi) i oczywiście dąb, którego moc przywoływała zawsze bardzo zainteresowana magią, wróżbami, zielarstwem, Pawlikowska:

„Kto chce zdrowia i siły, niech stanie pod dębem
I wdycha rozrost mocy, tego lwa drzewnego”.

Amulety wykonane ze srebra, jako gromadzące energię Księżyca, chroniły, wedle wierzeń, nie tylko przed chorobami, ale i uśmierzały strach przed śmiercią.

Pociechą dla niektórych była nadzieja na żywot wieczny w niebie. Myśl tę ujął w jednym ze swych wierszy cenionyongi poeta Józef Bartłomiej Zimorowic:

„(...) człowieczeństwo nasze, lubo śmierć pożera,
Nie wszytek jednak człowiek zarazem umiera.
Duch jako ziarno czyste idzie do szpiżarni
Boskiej, ciało z plewami obraca się marnie”.

Częściej jednak pozaziemskie szczęście wydawało się (choćby Tuwimowi) zbyt mizerną rekompensatą:

„O, sprawo smutna i daleka,
Jakkolwiek jest – czy duch, czy ciało –
Jedna mnie tylko wieczność czeka...
Jak mało!”

Pragnienia ludzi na przezwyciężenie śmierci w ziemskim wymiarze przez wieki próbowali zrealizować alchemicy. Adeptci owej wiedzy tajemnej (naśladowcy mitycznego Hermesa Trismegistosa) badali zagadki palingenezy, czyli odradzania się życia, a szczytem ich ambicji była chęć stworzenia sztucznego człowieka (homunkulusa). Wertowali stare księgi pełne sekretnych słów, liczb, znaków tajemnych. Poszukiwali, zazdrośnie strzegąc swej wiedzy, kamienia filozoficznego, by przy jego udziale zdobyć tajemnicę chryzopei (wytwarzania złota). Złoto miało zapewnić nie tyle bogactwo, ale stać się uniwersalnym lekiem. Alchemicy sądzili, że spożywanie go (wszak jest to metal niezniszczalny) powstrzyma rozkład ciała i zapewni życie wieczne. Wszelkie doświadczenia prowadzić miały nie tak do zdobycia panowania nad materią i energią, jak do przemiany samego alchemika, do jego przejścia na wyższy stopień świadomości.

Dzieje alchemii to także dzieje szalbierstw, prześladowań, tortur, zbrodni. Głośny oszust Gregor Honauer zawisł na szubienicy, Annę Ziegler żywcem upieczono na żelaznym krześle, a Roger Bacon lat 12 spędził w więzieniu. Głód złota i nieśmiertelności ogarnął wielu, ludzie wszak zawsze potrzebowali złudzeń, ale równie wielu potępiało alchemików; „(...) omylony i fałszywy jest przemysł alchimicki, każdemu szkodliwy” – pisał Stanisław Poklatski.

Alchemii i astrologii poświęcił się Phillippus Theoprastus Bombastus, lepiej znany jako Paracelsus, dostrzegając w nich zastosowanie w leczeniu pacjentów. Tajemnicze życie Paracelsusa, zagadkowe podróże, które nieustannie odbywał, sprawiły, że posądzano go o kon-szachty z siłami nieczystymi. W heroikomicznym poemacie *Hudibras* Samuela Butlera można odnaleźć tę sugestię:

„Bombastus trzymał wszak diabelca (...)
A ten go sztuczki robić bystrze
Uczył, jak czasów wszech sztukmistrze”.

W Polsce najśłynniejszym alchemikiem był Michał Sędziwój, którego życie było równie tajemnicze, pełne przygód, niebezpiecznych ucieczek.

Alchemia uwiodła wielu uczonych (Newton) i koronowane głowy (Fryderyk II czy Rudolf II). Polscy monarchowie przejawiali podobne zainteresowania, choćby Zygmunt August, o którym Bielski pisał w kronice: „O magijej i alchimijej rad się pytał”.

Doświadczenia alchemików nie doprowadziły (niestety) do odkrycia sposobu na nieśmiertelność, ale w toku eksperymentów udało im się poznać właściwości różnych pierwiastków i związków chemicznych, dzięki nim rozwinąć się mogła produkcja saskiej porcelany. Pozostawało więc ludziom poszukiwać innych sposobów, by przezwyciężyć przemijanie, zapewnić sobie przynajmniej pamięć u potomnych (swoisty rodzaj nieśmiertelności) poprzez czyny chwalebne czy dzieła.

„Ktokolwiek pieśni umie wiązać składnie
Abo padwany ruskie wykwintować ładnie,
Niech się najmniej nie boi ludzkiej niepamięci,
Bo taki imię swoje wieczności poświęci” –

- pisał, przywoływany wcześniej J. B. Zimorowic. Co więcej, jak zapewniał poeta, nawet niewielkie dokonania, mogą być powodem dumy:

„Sobiem śpiewał, nie komu, swe, nie cudze rzeczy (...)

Chociaż to małe brydnie, przecię własne moje”.

Horacjańska myśl „non omnis moriar” przetrwała wieki, pojawiając się w rozmaitych wariantach. Witold Kowalski marzył w skrytości ducha, by los w doczesnym życiu niełaskawy (widoczne kalectwo) przyniósł taką przynajmniej pociechę:

„A chciałbym przecie, aby me słowo

Przetrwało po mnie na piędzi ziemi

W czasie, gdy w chmurach będę kołował”.

Tuwimowi, sentymentalnemu jak każda zodiakalna Panna, pośmiertna sława pociechą stać się nie mogła:

„Smutku! Uśmiechu! Melancholio!

W bęben żałobny bije gloria...

I smutno brzmi «Dum Capitolium»...

I śmieszne jest «Non omnis moriar».

Zgoła odmienną postawę prezentują ci, którzy akceptują życie we wszelkich jego przejawach, starając się, by póki ono trwa, użyć ziemskich rozkoszy:

„A teraz, żeśmy popiół, proch i glina,

Póki nie pomrzem, napijmy się wina” –

- radził Zbigniew Morsztyn, a sekundował mu jeszcze dobitniej inny przedstawiciel tego rodu poetów – Jan Andrzej:

„Tak ci umrze trzeźwy,

Jako ów przy czopie (...)

Śmierć nam tuż na karku,

Trzeba z nią litkup pić

I jako na złym jarmarku

Przynajmniej się upić”.

Hieronim, kolejny z Morsztynów, głosił, iż trudno:

„(...) uciekać od tego,

Co Bóg z upodobania sam dał człeku.

Moja rzecz opisać ziemskie delicyje,

Których każdy, póki żyw, niech, jak chce, zażyje,

Bo po śmierci, acz wierzym o wiecznej radości,

Daleka ta od ziemskich będzie rozpustności”.

Znany kpiarz, Tadeusz Boy-Żeleński, którego poglądy, romanse i niektóre utwory budziły w swoim czasie zgorszenie, jeszcze inaczej spoglądał na ludzki los:

„Gdy się człowiek robi starszy,

Wszystko w nim po trochu parszy-

wieje (...)

Wówczas nań przychodzą żale (...)

I w letnią noc, w smutku szale

Łzami skrapia własne kale-

sony”.

Czas wprawdzie nieżywczy, na szczęście ludziom nie brakuje fantazji. A przepis na wiersz?... Wystarczy sięgnąć do spuścizny Witolda Kowalskiego:

„Wiesz... Tak rodzi się wiersz... Księżyc...

Świerszcz cyka. A potem

Flet srebrny... Sypie glisando półnutek”.

Magdalena Syguda

KALENDARIUM HISTORYCZNE

KWIECIEŃ-WRZESIEŃ 2017



KWIECIEŃ

23 kwietnia 997 roku (1020 lat temu) – biskup Wojciech poniósł męczeńską śmierć w trakcie misji chrystianizacyjnej Prus. Jego ciało wykupił Bolesław Chrobry, od 999 roku św. Wojciech jest patronem Polski.

28 kwietnia 1857 roku (160 lat temu) – przyszedł na świat Władysław Biegański, doktor medycyny, filozof i działacz społeczny. Od 1883 roku związany z Częstochową, gdzie pracował m.in. jako lekarz fabryczny, oddziałowy lekarz na kolei warszawsko-wiedeńskiej, pełnił również funkcję dyrektora szpitala miejskiego.

30 kwietnia 1632 roku (385 lat temu) – zmarł w Warszawie Zygmunt III Waza, syn króla szwedzkiego Jana III Wazy i Katarzyny Jagiellonki, król Polski (1587-1632), a także król Szwecji (1592-1599).

MAJ

18 maja 1792 roku (225 lat temu) – doszło do rozpoczęcia wojny polsko-rosyjskiej, która nazywana jest także wojną w obronie Konstytucji 3 Maja (uchwalona 3 maja 1791 roku).

25 maja 992 roku (1025 lat temu) – zmarł Mieszko I – pierwszy historyczny władca Polski pochodzący z dynastii Piastów.

W 965 roku poślubił czeską księżniczkę Dobrawę, w 966 roku przyjął chrzest, włączając nasz kraj do kręgu państw chrześcijańskich.

31 maja 1592 roku (425 lat temu) – miał miejsce w Krakowie ślub Zygmunta III Wazy z Anną Habsburżanką oraz jej koronacja na królową Polski. Anna żyła w latach 1573-1598, była pierwszą żoną Zygmunta i matką Władysława IV.

CZERWIEC

22 czerwca 1792 roku (225 lat temu) – król Stanisław August Poniatowski ustanowił po zwycięskiej bitwie pod Zieleńcami (z Rosjanami) Order Virtuti Militari.

24 czerwca 972 roku (1045 lat temu) – wojska Mieszka I odniosły zwycięstwo nad wojskami margrabiego Hodona w bitwie pod Cedynią.

25 czerwca 1447 roku (570 lat temu) – Kazimierz Jagiellończyk (syn Władysława Jagiełły i Zofii Holszańskiej) został koronowany na króla Polski w katedrze wawelskiej.

LIPIEC

7 lipca 1572 roku (445 lat temu) – zmarł ostatni męski przedstawiciel dynastii Jagiellonów – Zygmunt August (syn Zygmunta I Starego i Bony Sforzy). Był trzykrotnie żonaty (Elżbieta Habsburżanka, Barbara Radziwiłłówna i Katarzyna Habsburżanka), a mimo to nie pozostawił po sobie następcy.

7 lipca 1807 roku (210 lat temu) – Francja podpisała w Tylży dwa traktaty pokojowe: z Rosją i Prusami. Na mocy tych traktatów utworzone zostało Księstwo Warszawskie. W jego skład wchodziły ziemie II i III zaboru pruskiego.

26 lipca 1887 roku (130 lat temu) – Ludwik Zamenhof, okulista z Białegostoku, wydał drukiem pierwszy podręcznik do międzynarodowego języka esperanto, którego był twórcą.

SIERPIEŃ

5 sierpnia 1772 roku (245 lat temu) – w Petersburgu podpisane zostały traktaty rozbiorowe pomiędzy Rosją, Prusami i Austrią, które ustalały granice ziem zabranych Rzeczypospolitej w wyniku I rozbioru.

7 sierpnia 1942 roku (75 lat temu) – zginął w obozie zagłady w Treblince Janusz Korczak (właściwie Henryk Goldszmit), lekarz, pisarz i działacz społeczny.

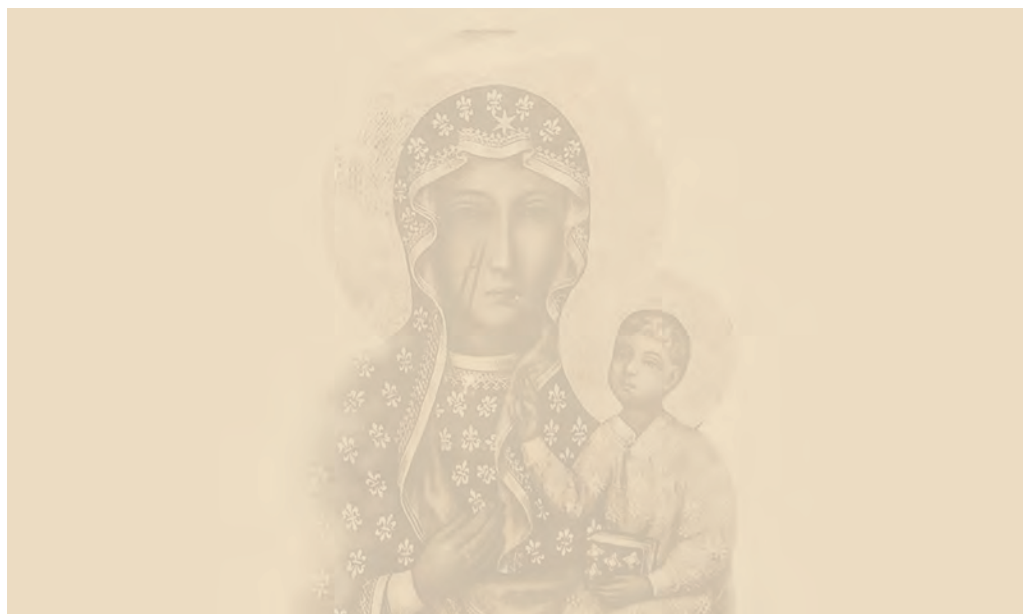
27 sierpnia 1492 roku (525 lat temu) – w Piotrkowie miała miejsce elekcja Jana Olbrachta na króla Polski. Syn Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanki panował w latach 1492-1501.

WRZESIEŃ

8 września 1717 roku (300 lat temu) – miała miejsce uroczysta koronacja koronami papieskimi Cudownego Obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej.

23 września 1637 roku (380 lat temu) – odbył się w Warszawie ślub Władysława IV Wazy, syna Zygmunta III Wazy i Anny Habsburżanki, oraz Cecylii Renaty, córki cesarza Ferdynanda II.

29 września 1747 roku (270 lat temu) – przyszedł na świat w Będominie Józef Rufin Wybicki, działacz polityczny, pisarz, szambelan Stanisława Augusta Poniatowskiego, autor słów polskiego hymnu narodowego.



Jarosław Kapsa

KOBIETA WŚRÓD SKORPIONÓW



Widzimy ją na fotografii sprzed 110 lat. Skromnie ubrana w szarą suknię ze stojką przysłaniającą szyję, z krótkimi włosami gładko zaczesanymi do góry; twarz zdobi smutny uśmiech, a jej oczy... W jej oczach dostrzec można przyjazną opiekuńczość, ciepło siostry miłosierdzia. Trzydziestoletnia *femme fatale*, szpieg, zdrajca i morderca, a może nieszcześnie skrzywdzona przez życie i ludzi: Janina Borowska, córka Klecana, właściciela garbarni w Rohatyniu, żona doktora filozofii Mariana Borowskiego, conceptualisty Namiestnictwa we Lwowie.

Wiosną 1908 r. kończyła studia medyczne w Krakowie, do uzyskania tytułu dyplomowanej akuszerki pozostało jej jedynie kilka obowiązkowych egzaminów. 5 maja przywitał ją na sali wykładowej osontentacyjny chłód ze strony kolegów, z wy-

rażną niechęcią odsuwali się od niej, jak od trędowatej. Cóż, nie pierwszy raz męski szowinizm pojawił się na *Alma Mater*. W Krakowie kobieta pracująca uchodziła za upadłą; a coś dopiero taka, która zamiast uszczęśliwiać męża, bawi się w studia. Znosić trzeba było złośliwe przytyki profesorów; uwagi, że ćwiczenia z sekcji zwłok zdemoralizują studentki widokiem nagiego męskiego ciała. Z czasem uprzedzenia zniknęły, zwłaszcza w gronie lewicującej grupy koleżeńskiej Janina Borowska czuła się w pełni akceptowana. Niestety, 5 maja cios zadały przyjazne ręce. Bliski kolega z jednego roku studiów, PPS-owiec Krzysztoń, z grobową miną rzucił na pulpit ostatni numer partyjnego pisma „Naprzód”. Czytała pani? Tytuł brzmiał „Szpieczy”, pod nim lista nazwisk zdemaskowanych agentów rosyjskiej Ochrony. Na pierwszym miejscu Stanisław Brzozowski, idol lewicowej studenterii, potem jakieś nieznane warszawskie nazwiska... Na czwartym, a może na piątym miejscu, jej nazwisko: Janina Borowska. Ale opis się nie zgadza, w gazecie piszą, że jest żoną lekarza... „To nie o mnie” – szepcze spłoszona. Krzysztoń puszcza to mimo uszu, z urzędową powagą informuje, że w takiej sytuacji koleżeństwo ogłosiło bojkot towarzyski i domaga się natychmiastowego opuszczenia sali. Stała chwilę skamieniała, powtarzała pytanie: „a co z moimi egzaminami?”, potem, nie mogąc znieść pogardy w oczach kolegów, wybiegła płacząc...

Dwa dni później, przybyły do Krakowa, wściekły na cały ten skandal mąż Marian Borowski, dopadł Krzysztonia w kawiarni Janowskiego. Chciał go wyzwać na pojedynek, a gdy ten odmówił, zaczął go przy stoliku okładać laską. Studen-

tów było w kawiarni więcej, więc lwowski urzędnik, miast obronić honor żony, został fizycznie sponiewierany. Nie ostudziło to jego nastroju, z krzykiem „żonę mi zhańbiliście” wpadł do redakcji „Naprzodu”. Naczelnego redaktora Ignacego Daszyńskiego nie było, od kilku miesięcy przebywał w Stanach Zjednoczonych. Borowskiego przyjął jego zastępca Emil Haecker; widząc rozjuszenie męża, próbował łagodzić. Tłumaczył, że tekst jest przedrukiem z warszawskiego pisma, że ukazał się bez jego wiedzy, że to może nie jest o tej Janinie Borowskiej, lecz o innej. Obiecał, że partia urządzi specjalny sąd, w przypadku uniewinnienia gazeta ogłosi specjalne słowa rehabilitujące zniesławioną. W takim też duchu opublikował 8 maja komunikat, że do czasu rozstrzygnięcia przez partyjny sąd należy wstrzymać się z wyrażaniem jakichkolwiek opinii i przedwczesnym wyrokowaniem.

Sprawa jednak tak się nie zakończyła i zakończyć nie mogła. Kilka dni później wrócił ze Stanów Daszyński. Do niego należało ostatnie słowo, a tym była odmowa organizowania partyjnego sądu. Podobno powiedział, że lepiej, by dziesięciu niewinnych cierpiało, niż by jeden winny naraził organizację partyjną. Marian Borowski mówiąc o liderze PPS-u nie ukrywał emocji. „Weszliśmy z żoną do kawiarni, a na nasz widok Daszyński zawołał: łotry. Gdy dowiedziałem się, kto zacz, chciałem go na pojedynek wezwać. Wywinął się, szkoda, że mu we tej kawiarni gęby nie obiliśmy”. Daszyński poznał Janinę jeszcze jako młodą Klecanównę w 1902 r. na lotnisku w Kossowie. Wspominał w „Pamiętniku” wzruszającą scenę, gdy po śmierci swojego dziecka Borowska przekazała mu na cele partyjne 100 guldenów, uzbieranych na nagrobek, mówiąc, że śmierć była wynikiem jej nieumiejętności medycznej, więc niech pieniądze służą ludowi, a ona sama samobójstwo popełni. Mimo takich wspo-

nień Daszyński był przekonany o winie nieszczęsnej kobiety. Lecz nie to subiektywne przekonanie zdecydowało o losie sprawy. Szło o rzecz poważniejszą, o wiarygodność całej listy uzyskanej od byłego agenta Ochrony Michaiła Bakaja. Tym samym o rzecz najbardziej bulwersującą nie tylko polskich socjalistów: czy agentem Ochrony był Stanisław Brzozowski. Kilka miesięcy później kwestia wiarygodności Bakaja stał się sprawą pierwszej wagi dla europejskiej lewicy; ujawnił on, że Azeff, szef terrorystycznej organizacji rosyjskich Socjal-Rewolucjonistów, był także agentem Ochrony.

Gdy partia odmówiła przeprowadzenia sądu honorowego, a redakcja „Naprzodu” odmówiła sprostowania, Janinie Borowskiej pozostała jedyna droga walki o cześć; wytoczyła Emilowi Haeckerowi proces o zniesławienie. Ława przysięgłych miała się wypowiedzieć o winie lub niewinności krakowskiej studentki, tym samym o wiarygodności informacji ujawnianych przez Bakaja. Rozgłos sprawy Azefa i Brzozowskiego powodował, że proces cieszył się wyjątkowym zainteresowaniem; relacjonowało go trzydziestu dziennikarzy z pism nie tylko polskich, ale i rosyjskich, niemieckich, austriackich.

Brzozowski zyskał prawo do sądu partyjnego. W czasie procesu partia udzielała mu pomocy materialnej, umożliwiono mu wyjazd na leczenie na południe Włoch. W jego obronie występowali wielcy: Stefan Żeromski, Maksym Gorki; dramat twórcy „Płomieni” przedstawił współcześnie Czesław Miłosz, pisząc esej „Człowiek wśród skorpionów”. Także Azeff, wyjątkowa kanalia, zasłużył na bezstronny sąd partyjny. Gorsza była sytuacja „szaraków”. Po ujawnieniu sieci informatorów przez Bakaja trzech z nich zastrzelono w Warszawie bez sądu i wyroku. Także Borowskiej nie groził wyłącznie bojkot towarzyski, przed sądem walczyła tak o dobre imię, jak i o życie. Walka mia-

ła swoją cenę. Ten proces, jak i późniejszy, który w dalszej części przedstawię, był spektaklem odzierającym kobietę z godności, naruszającym sekrety prywatności, przełamującym barierę wstydu.

Zeznania ukazywały los kobiety w świecie zdominowanym przez różnych samców alfa. Urodzona w 1879 r. Janina, w 1903 r. wyszła za mąż za doktora filozofii Mariana Borowskiego. Mąż, prócz tytułu naukowego, nie miał wiele więcej; starał się o posadę w galicyjskich urzędach. Po ślubie Janina próbowała studiować medycynę w Krakowie, utrzymując się z udzielania korepetycji. Studia przerwała, gdy Marian zdobył posadę w urzędzie w Limanowej; przeniosła się w ślad za mężem, podejmując w tej górskiej gminie pracę jako nauczycielka. Straciła ją po roku; władze edukacyjne w Galicji zakazywały pracy ciężarnym nauczycielkom, by nie narażać dzieci na zgorszenie. W marcu 1905 r., dzięki pomocy dr. Rosnera, umieszczono ją na oddziale położniczym szpitala św. Łazarza, gdzie w kwietniu urodziła dziecko. Mąż zdecydował się pomóc jej materialnie, odpłacając mieszkanie i dając 50 koron na życie. Dzięki dr. Rosnerowi uzyskiwała stypendium z fundacji I. Kraszewskiego w wysokości 40 koron. To pozwalało jej wznowić studia ze specjalizacją położnictwa. W czerwcu 1905 r. zmarło jej dziecko; prawdopodobną przyczyną śmierci niemowlęcia było podanie mu skażonego bakteriami mleka krowiego, gdy chora na płuca matka nie mogła karmić. Janina boleśnie przeżyła śmierć dziecka, obwiniając siebie, że była złą matką. W dodatku skomplikowały się jej sprawy osobiste. Mąż, choć zadeklarował pomoc, płacił mniej niż obiecał. Janiny nie było stać na utrzymanie mieszkania i najęcie opiekunki do dziecka, by mogła studiować. Pomoc znów obiecał dr. Rosner, mogła przenieść się z dzieckiem do szpitala św. Łazarza, tam sypiała w kancelarii i pracowała na oddziale

położniczym. Po śmierci dziecka mąż odmówił utrzymywania żony, tłumacząc potem, że powodem było złe towarzystwo, w jakie wpadła Janina. Plotki czyniły z niej kochankę dr. Rosnera, w zeznaniach procesowych świadkowie mówili o scenie miłosnej między lekarzem a młodą adeptką położnictwa, podpatrzonej przez personel. O tym okresie życia wspominał zapis pamiętnika Daszyńskiego, mówiący o darze na rzecz partii „zamiast nagrobka” dziecku i o zamiarze odebrania sobie życia. Z tej woli samobójczej zwierzyła się nie tylko Daszyńskiemu, wykorzystał to inny wielki socjalista krakowski dr Emil Bobrowski. Pocieszając zdesperowaną dziewczynę przekonywał, że miast ginąć z rozpacz, czas swoje życie poświęcić wielkiej sprawie. I w ten sposób Borowska trafiła do PPS-owskiej konspiracji. Z oczywistych przyczyn działacze PPS w zeznaniach przed sądem oszczędnie mówili o jej konspiracyjnych zasługach. Podróżowała jako kurierka do Królestwa, pożyczając swój paszport innym kurierkom; musiała to być dość poważna rola, skoro poznała osobiście Aleksandra Sulkiewicza, twórcę całej PPS-owskiej siatki łączności przez granice.

Mamy więc jeden obraz: porzucona przez męża, dotknięta nieszczęściem utraty dziecka dziewczyna decyduje się wykonywać niebezpieczną misję łączniczką i kurierki, jednocześnie pracując jako elewka (wolontariuszka) w szpitalu i studiując medycynę. I na to nakłada się inny obraz, naszkicowany przez Bakaję. Ta sama kobieta jest goszczona w gabinecie szefa warszawskiej Ochrony płk. Petersena, otrzymująca za swoje agenturalne usługi 75 rb. miesięcznie. Zdradzała trasy kurierskie, wskazała tajną drukarnię PPS-u w Warszawie. Bakaję pamiętał, jak zwierzała się Petersenowi, że mąż ją zdradza przechwalając się triumfalnie swoimi seksualnymi podbojami. Który z tych obrazów jest prawdziwy? Czy można wie-

rzyć Bakajowi? Ukrainiec, jak sam podkreślał „prawosławny Małorus”, w młodości związany był z lewicową konspiracją. Aresztowany, załamał się w śledztwie, zdradził przyjaciół, „z łajdactwa” (to też jego ocena) stał się zawodowym agentem Ochrony. Od kwietnia 1905 do stycznia 1907 r. był sekretarzem warszawskiego szefa Ochrony Petersona. Wtedy, oburzony okrucieństwem stosowanym wobec Polaków, zmienił front, ujawnił szereg informacji rewolucjonistom i porzucił służbę dla Cara. Zesłany został na Syberię, skąd dzięki pomocy znanego literata Burcewa zbiegł na Zachód. Bakaj wraz z Burcewem przybyli do Krakowa, występując w procesie Borowskiej jako świadkowie. Był to uboczny powód ich przyjazdu; dla PPS ważniejsze były ich zeznania złożone w sprawie Brzozowskiego. Przed sądem krakowskim Bakaj rozpoznał w Borowskiej ową agentkę zwierającą się Petersonowi ze zdrad męża; podczas konfrontacji z obwinioną podtrzymał swoje zeznania. Było więc słowo przeciw słowu, inne zeznania tworzyły tylko otoczkę przydającą wiarygodności innym poszlakom.

Zaskakującym było, że w tym procesie aktywniejszą rolę odgrywał mąż Janiny Marian Borowski. Dziwne, bo jak sam przyznał po śmierci dziecka odmówił utrzymywania żony. Janina do września 1905 r. mieszkała w szpitalu, potem wynajęła mieszkanie. W 1907 r. ponownie była w ciąży, w lipcu urodziła kolejne dziecko. Niewyjaśniona była sprawa, skąd Borowską było stać na wynajęcie mieszkania (utrzymywała się tylko z 40 koron stypendium); krążyły też różne pogłoski dotyczące ojcostwa dziecka, choć Marian Borowski formalnie uznał dziecko jako swoje, lecz rzadko i niechętnie łożył na jego utrzymanie. Podejrzewać też można, że jego ostentacyjna i hałaśliwa obrona czci małżonki miała charakter pewnego teatru. Być może wynikało to z obawy, że udowodnienie żonie agenturalnej dzia-

łalności na rzecz Rosjan zwichnie jego urzędniczą karierę w Namiestnikostwie. Nie brakowało w tym teatrze gestów dramatycznych, jak publiczne prezentowanie przywiezionego na rozprawę rewolweru i odgrazanie się, że służyć on będzie do zabicia Bakaja, Burcewa, Daszyńskiego i Haeckera. Wzajemnie Daszyński przestrzegał, że jak go tylko ruszy Borowski, czterdziestu ludzi wlepi mu baty.

Nie wiadomo, czy to Borowski znalazł adwokata, czy też adwokat – czując zysk ze sprawy – zwrócił się do niego. Pełnomocnikiem znieważonej Borowskiej został dr Włodzimierz Lewicki, którego Daszyński w pamiętnikach określił jako „męta inteligenckiego”. Słowa wodza socjalistów pewnie bliskie były prawdy. Lewicki związany był z politykiem dawniej zasłużonym, lecz w tym czasie skompromitowanym: księdzem Stojalowskim. Ten dawny trybun ludowy zszedł na poziom antysemitkiej demagogii, czerpiąc pieniądze z lewa i prawa, sprzedając głosy swej partii, załatwiając za łapówki koncesje i orzeczenia administracyjne. W 1908 r. Stojalowski związany był z kołami moskalofilskimi, krzewił ideę słowiańskości, pobierając na ten cel sute zapomogi z Ochrony. Lewicki uchodził w tym za jego prawą rękę. Daszyński określał go jako „adwokata ryzykownego, nie przebiegającego w środkach, potrzebującego wiecznie dużych pieniędzy”.

Lewicki na swój sposób rozpoczął proces poprzez wysyłanie i ogłaszanie listów otwartych, pokazujących PPS jako szajkę bandytów niszczących uczciwe małżeństwo. Pokazał też swój charakter na procesie wmawiając, że Bakaj i Haecker to Żydzi manipulujący „pół-gojem” Daszyńskim. Na nic zdały się sprostowania, że Bakaj to Małorus, a rodzina Haeckerów, mimo niemieckiego pochodzenia, od stuleci służy Polsce oddając krew w każdym postaniu narodowym. Powtarzana teza, że na cześć uczciwej Polki na-

stają „Żydzi i socjałowie”, „ciągle jad i trucziznę sączący w społeczeństwo polskie”, wpływała na postawę ławy przysięgłych. Zgodnie z prawem panującym w Galicji, to ława wybrana z obywateli miasta Krakowa zdecydować miała, czy Haecker znieważył Borowską, publikując jej nazwisko na liście szpiegów Ochrony. Nie wiemy, co ostatecznie przekonało ławę; czy antysemickie przemowy Lewickiego, czy błagalne spojrzenia Borowskiej. 23 lutego 1909 r. zapadł wyrok; Haecker uznany został winnym znieważenia, skazano go na miesiąc aresztu, karę jak na galicyjskie zwyczaje bardzo surową.

Wyrok jednak nie zakończył sprawy ani nie przywrócił czci Borowskiej. Haecker złożył odwołanie do trybunału wyższej instancji. Daszyński, dwa dni po wyroku, ogłosił w „Naprzodzie” tekst podtrzymujący zarzuty, listem otwartym poparł go Wacław Sieroszewski. Borowska nie zakładała nowych spraw o zniesławienie, a Trybunał Najwyższy w 1910 r. skasował wyrok skazujący Haeckera. Dla lewicy w sprawie Borowskiej wiarygodność Bakaja była niepodważalna. Inaczej ta sama wiarygodność potraktowana została w toczącym się równolegle procesie partyjnym osądzającym Stanisława Brzozowskiego. Proces ten miał swoją temperaturę; pierwsze posiedzenie zakończyło się mordobiciem; ostatnie unikiem; sąd partyjny umorzył sprawę twierdząc, że nie jest zdolny orzec o winie lub niewinności autora „Płomieni”.

Janinę Borowską mąż zabrał, zaraz po wyroku, do Lwowa. Wróciła dwa miesiące później pod pretekstem konieczności zdania ostatniego egzaminu na studiach. Był to jednak tylko pretekst; trzydziestoletnia kobieta po przejściach oszalała z miłości. Uwiódł ją Włodzimierz Lewicki, człowiek cieszący się nie tylko u socjalistów opinią cynicznego łajdaka. Kochankami zostali w czasie procesu; święte oburzenie, wyrażane przez ad-

wokata na spisek żydowsko-socjalistyczny uderzający w uczciwą polską rodzinę, nie przeszkadzało mu w pobieraniu od tej rodziny premii w naturze. Borowska oszalała, widoczne to było w listach, przedstawianych później przed sądem. „Włódku Mój Ubóstwiony (...) Coś miał w tem, żeby doprowadzić do szału, a potem mię zdeptać, zmiażdżyć, jak tyle innych (...) Poznałam z Tobą te dreszcze rozkoszy cielesnej (...) Chyba już na zawsze zostanę Twoją... tylko Twoją niewolnicą...”. Takie słowa to nie dekadenska ekstaza, to krzyk o miłość kobiety, nie dbającej już o nic więcej, ani o świat, ani o pozycję w świecie, ani o swoje dobre imię. A Lewicki, korzystając z wdzięków kochanki, publicznie drwił z niej, że robi do niego miny i na każdym kroku deklaruje miłość.

Adwokat formalnie był żonaty, jednak uzyskał sądowy wyrok separacji. Podjął też w 1909 r. kroki, by ostatecznie rozwiązać węzeł małżeński. W jednym też przypominał urzędnika z Lwowa – Borowskiego: swoją żonę też zostawił bez środków do życia. Kawalerskie życie adwokata w „separacji” cechował duży luz; według opinii krakowskiej palestry przez kancelarię i mieszkanie Lewickiego przewijały się tuziny kochanek. Jednakże w czasie, gdy zdesperowana Janina, rzucając męża, przybyła do kochanka, serce i umysł adwokata zajmowała już tylko jedna – inna wybranka. Rena Tyszkiewicz, trzydziestoletnia wdowa po lekarzu, uchodziła w Krakowie za „hrabiankę”, osobę zamożną i wpływową. Swoje robiła magia arystokratycznego nazwiska. Daszyński, wyraźnie uprzedzony do Lewickiego, uważał ją za agentkę Ochrony i kochankę różnych carskich dostojników. W każdym razie tego typu pogłoski nie przeszkadzały adwokatowi, gotów był dla niej zakończyć kawalerski żywot. Janiny mimo to z łóżka nie wyrzucał; co więcej, chciał ją jeszcze wykorzystać do załatwienia trudnej sprawy. W 1907 r. Lu-

dwik Szczepański, wydawca i redaktor „Nowin”, były kolega, opublikował list otwarty „Do chuligana adwokackiego”, zarzucający Lewickiemu szereg nadużyć. W odpowiedzi Lewicki wystąpił z zarzutem wobec Szczepańskiego, zwracając się do sądu honorowego izby adwokackiej (tzw. sądu Ligi Honorowej) z wnioskiem o obronę dobrego imienia. Sprawa toczyła się dość leniwie; zarzuty Szczepańskiego były poważne i dobrze udokumentowane, palestra jednak nie kwapiła się z uznaniem racji redaktora i wykluczeniu Lewickiego z grona ludzi honorowych. Lewicki próbował sprawę załatwić polubownie, wysyłając swoją kochankę jako emisariuszkę do Szczepańskiego. Ten jednak odmówił ugody, przedstawiając, że taka propozycja, złożona w taki sposób, potwierdza tylko winy Lewickiego. Podobno dowody tego znalazły się w liście będącym w posiadaniu Borowskiej.

Wieczorem 4 czerwca 1907 r. miało dojść do spotkania adwokata z kochanką, wymienić się mieli kompromitującymi listami i ostatecznie zakończyć romans. To, co się stało tej nocy, stało się przedmiotem kolejnego procesu z Borowską w roli głównej.

Spotkali się po godz. 22 przed lokalem „Sokoła”, by uniknąć plotek oboje innymi ulicami udali się do mieszkania Lewickiego na ul. Sławkowską 28. Nad ranem do tego mieszkania wezwane zostało pogotowie. Karetką przybył dyżurny medyk, student medycyny Kuryluk, drzwi mieszkania otworzyła mu Borowska. W ciemnym pokoju na podłodze, przykryty kocem, z głową na poduszce, leżał Lewicki. Po zapaleniu światła Kuryluk dostrzegł na jego głowie ranę postrzałową. Borowska, znając medyka ze studiów, błagała, by nikomu nie mówił o jej obecności. Tłumaczyła, że sama próbowała udzielić pomocy rannemu, potem dzwoniła po pomoc do profesora chirurgii Kadera; ten dopiero nakazał jej wezwać pogotowie.

Ciężko rannego, nieprzytomnego adwokata sanitariusze odwieźli do szpitala św. Łazarza; wraz z nim pojechała Borowska. Szpital zgodnie z procedurą powiadomił policję. Ta w osobie młodego praktykanta niewiele wyjaśniła, przyjmując jedynie wyjaśnienia Borowskiej, że rana jest wynikiem samobójczego postrzału. Janina była tak przekonująca, że młody policjant pozwolił jej nawet zabrać do domu pistolet, z którego ranny się postrzelił.

Lewicki w szpitalu nie odzyskał przytomności, zmarł 5 czerwca o 11.30. Wówczas już formalnie prowadzono śledztwo pod nadzorem sędziego śledczego. Okoliczności śmierci wskazywały na morderstwo, aresztowano podejrzaną Borowską. Popelnione początkowo błędy próbowano naprawić angażując do pomocy znakomitych kryminologów z UJ: prof. Wachholza i dr. Jankowskiego. Zdaniem historyka kryminalistyki prof. Jana Widackiego, postępowanie śledczych było wzorcowym przykładem zastosowania najnowocześniejszych wówczas metod. Wykonano prekursorskie badania balistyczne, zastosowano metody badania rany postrzałowej ustalające miejsce oddania strzału, odtwarzano kilkakrotnie czynność oddania strzału, znaleziono zatarte wcześniej ślady krwi i wymiocin. Nawet jednak tak skrupulatne badania nie dały jednoznacznej odpowiedzi. Strzał z pistoletu w prawą skroń, oddany z odległości 6 centymetrów, mógł być zarówno dokonany przez zabójcę, jak i przez samobójcę.

Rozprawa przed Trybunałem Przysięgłych Sądu Krajowego rozpoczęła się 12 stycznia 1910 r. Oskarżona Borowska nie przyznała się do winy. Z zeznań i wyników śledztwa zarysował się niejasny obraz dramatu.

W mieszkaniu na Sławkowskiej kochankowie spotkali się ok. godz. 23. Lewicki oddał Janinie kompromitujące listy, spalili je w kominku. Borowska jednak nie przyniosła swoich listów. Adwokat za-

reagował na to oburzeniem „Więc chcesz mnie zniszczyć, mam zginąć jak pies?” Kochanka odparła zarzutami o zmarnowanie życia. Ta wymiana wymówek zakończyła się w łóżku. Po zaspokojeniu namiętności Lewicki zapytał, „ale do sądu pójdziesz”; chodziło mu, by Janina zaprzeczyła w sądzie honorowym, jakoby adwokat chciał ugody ze Szczepańskim. To bezceremonialne oczekiwanie pomocy od kochanki zbulwersowało Janinę, powiedziała: „nie, nie pójdę”. Wtedy Lewicki zaczął straszyć, podnosząc pistolet, że popełni samobójstwo. Borowska uznała to za teatralne błazeństwo. Padł strzał, Lewicki wyszeptał „to nie błazeństwo”. Na prośbę sądu Borowska jeszcze raz to powtórzyła: „Wstyd mi tego, że po zerwaniu z Lewickim, gdy już od kilku miesięcy miała jasny pogląd na swój stosunek do niego, że mimo to, w ciągu kilku godzin zdołał mnie przekonać. I gdy mi wtedy, gdy był całkiem rozebrany, a ja na wpół rozebrana, postawił pytanie – a do sądu Ligi pójdziesz – rzuciłam mu w twarz słowa, że to wszystko dlatego, aby wymóc na mnie pójście do sądu Ligi, wtedy stało się nieszczęście”. Stało się nieszczęście... Ale jakie? Czy Lewicki, zrozpaczony odmową kochanki, strzelił sobie w głowę? Czy też, widząc cynizm instrumentalnego potraktowania, Borowska zastrzeliła kochankę? Biegli nie potrafili jednoznacznie określić, kto oddał strzał. Prokurator, przedstawiając logiczny ciąg wydarzeń, akcentował opinie, że Lewicki nie był w takim stopniu zdesperowany, by popełnić samobójstwo. Przeciwnie, zamierzał swoje życie ułożyć na nowo z „hrabianką” Różą Tyszkiewicz. Psychiatrzy wskazywali, że w odróżnieniu od zimnego cynika, jakim był adwokat, to Borowska była osobą egzaltowaną i nerwową. Na jej niekorzyść przemawiało także postępowanie po wypadku. Zamiast natychmiast wezwać pomoc do rannego, ale żywego Lewickiego, zwlekała, nieudolnie zacierając

ślady, usiłując swoją obecność na miejscu tragedii uczynić tajemnicą. Z argumentami prokuratora rozprawił się adwokat Borowskiej dr Ludwik Szaley: „Tajemnica tej nocy jest nierozświetlona. Bez dowodów silnych, niezbitych, nienaruszalnych, zasądzić człowieka nie można. Wszyscy jesteśmy omylni, sądy nasze opierają się na kruchych podstawach, a wyrok na kruchej podstawie to szansa odpowiedzialności, to wieczna wątpliwość i niepokój. Choćby kto o tym wątpił, że oskarżona jest niewinna, to przyznać musi, że brak tu dowodów winy”.

Decyzja należała do ławy przysięgłych wybranej spośród obywateli miasta Krakowa. Po godzinnej naradzie ława uznała jednogłośnie, że Borowska nie jest winna morderstwa z premedytacją. Na drugie pytanie sądu, czy oskarżona winna jest nieumyślnego zabójstwa, ława nie potrafiła udzielić jednoznacznej odpowiedzi; głosy podzieliły się: 6 za, 6 przeciw. Na tej podstawie sąd ogłosił werdykt uniewinniający. Prokuratura nie wniosła zażalenia. 8 lutego 1910 r. Janina Borowska została zwolniona z aresztu.

Kraków czekał na dalszy ciąg tragedii. Róża Tyszkiewicz ostentacyjnie kupiła rewolwer, odgrając się publicznie, że zabije łajdaczkę, która ją pozbawiła przyszłego męża. Na szczęście były to tylko słowa. Borowska wyjechała do Wiednia, potem do Ameryki, ślad po niej zaginął.

Czy była winna? Dwa razy werdykt ławy przysięgłych wydany był na jej korzyść. Ława nie uznała dowodów mówiących o agenturalnej współpracy Janiny Borowskiej z Ochroną; ława także nie uznała jej za winną morderstwa Lewickiego. Orzeczenia sądu budzić mogą szereg wątpliwości. Bakaj ujawnił kilkudziesięciu agentów Ochrony; późniejsze dowody potwierdziły jego prawdomówność nawet w najbardziej dyskusyjnym przypadku Stanisława Brzozowskiego. Jest więc wysoce prawdopodobne, że Borow-

ska rzeczywiście utrzymywała kontakty z Petersonem i brała od niego pieniądze. Jednocześnie jednak brak jest przesłanek mówiących o szczególnej szkodliwości jej agenturalnej działalności. Wspomina-na drukarnia warszawska wpadła półtora roku później, niż wskazywana przez Bakaję data kontaktów Borowskiej z szefem Ochrony. Nie została także zdekonspirowana i zlikwidowana siatka przerzutowa utkana przez Sulkiewicza.

Historyk kryminalistyki prof. Jan Władcki przeanalizował ponownie wszelkie dowody ze sprawy morderstwa Lewickiego. Jego zdaniem Borowska była winna, w afekcie oddała strzał z rewolweru w głowę kochanka. Trudno się z nim nie zgodzić i trudno się dziwić. Lewicki był zimnym, cynicznym draniem. Występując jako pełnomocnik Borowskiej w sprawie przeciw Haeckerowi, namawiał Janinę i jej męża, by zastrzelili redaktora, „a ja was przed każdą ławą przysięgłych wybronię”. W procesie Lewicki bardziej zabiegał o własny rozgłos i własne interesy niż o dobro klientki. Wykorzystał także jej położenie, czyniąc z niej kochankę. Spotkanie w tragiczną noc z 4 na 5 czerwca 1909 r. ilustrowało cynizm adwokata. Chciał pozbyć się oszalałej z miłości kochanki, planował związek z bogatą wdową po lekarzu, Różą Tyszkiewicz. Jednocześnie planował wykorzystanie uczuć Borowskiej, zachęcając ją do kłamstwa przed sądem honorowym. Wyobraźmy sobie uczucia dziewczyny, gdy idzie na spotkanie z kochankiem, by z nim ostatecznie zerwać; gdy ten raz jeszcze ją zwodzi, bierze do łóżka, a po zaspokojeniu pyta cynicznie, czy teraz luba pójdzie kłamać dla jego dobra do sądu... Zakochana kobieta idealizuje obiekt miłości, ale to uczucie potęguje ból, gdy spod zasłony wyobrażeń ujawnia się twarz łajdaka.

Fotografia Borowskiej oddaje jej smutny uśmiech i pełne serdeczności spojrzenie. Spojrzenie kobiety, która pragnie

dobrem obdarzać świat, marząc o wzajemności. Pech chciał, że ten świat okazał się terrarium egoistycznych samców. Mąż, myślący tylko o swej urzędniczej karierze, nie dający jej wsparcia ani duchowego, ani materialnego. Utraciła dziecko, była bliska samobójstwa; mąż w tym czasie zaprzestał przysyłać pieniądze na utrzymanie, zerwał kontakty, wierząc w złośliwe plotki o romansie Janiny z dr. Rosnerem. Trudno też nie dostrzegać egoizmu liderów PPS; przychodzi zrozpaczona dziewczyna, gotowa odebrać sobie życie, a Bobrowski i Daszyński myślą tylko, jak tę desperację przekuć w zysk dla ruchu rewolucyjnego. Potem Peterson, szef Ochrony, silny, możny i wszechwładny, a jednocześnie grający delikatnego i opiekuńczego, gotowego wysłuchiwać zwierzeń zrozpaczonej kobiety i wytrzeć jej łzy. I wreszcie Lewicki, zimny, cyniczny łajdak, wykorzystujący uczucie nieszczejnej, samotnej kobiety.

Przyszło jej żyć wśród skorpionów. I ten jad uczynił z niej zdrajcę i zabójczynię.

Na podstawie:

Daszyński I., *Pamiętniki*, t. 2, Kraków 1926.

Sensacyjny proces Janiny Borowskiej, Kraków-Warszawa 1909.

Władcki J., *Stulecie krakowskich detektywów*, Warszawa 1987.

Kacper Korbela

NIE SAMYMI PĄTNIKAMI ŻYŁA CZĘSTOCHOWA

*Michał Korybut Wiśniowiecki*

W swojej historii Częstochowa miała dość prostą drogę rozwoju. Od wieków do ikony Matki Boskiej zjeżdżali liczni pątnicy. Zarówno bogaci, jak i biedni. Zakon paulinów, mieszkańcy miasta oraz okoliczni chłopcy czerpali spore profity z ruchu pielgrzymkowego. Niespodziewanie w wyniku zawieruchy dziejowej Częstochowa została jednak przez pewien czas centrum politycznym Europy Wschodniej. Jak to możliwe?

Dwudziestego siódmego lutego tego roku minęła trzysta czterdziesta siódma rocznica ślubu miłośnicie nam kiedyś panującego Michała Korybuta Wiśniowieckiego oraz Eleonory Habsburżanki. Był to jedyny ślub królewski (i przy okazji ostatni w naszej historii), jaki odbył się na Jasnej Górze. Jak przystało na tego typu wydarzenie, całe państwo, i to nie tylko nasze, lecz także ojczyzna panny młodej (Austria), stanęły na głowie, by wszystko

przebiegło zgodnie z planem. A z tym były nie lada trudności. Zanim jednak o nich opowiem, wyjaśnię, skąd w ogóle pomysł, żeby król żenił się w niewielkim, przygranicznym miasteczku.

W tym celu należy się cofnąć do roku 1669. To właśnie wtedy, ku zaskoczeniu zarówno polskich magnatów, jak i dworów zagranicznych, na króla Polski wybrano Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Jego elekcja była głównie rezultatem niechęci do kandydatów zagranicznych. Nowy król musiał opowiedzieć się za którymś ze stronnictw magnackich w ówczesnej Rzeczypospolitej: malkontentami (do których należał m.in. Jan Sobieski), popierającymi politykę profrancuską lub za zwolennikami polityki proaustriackiej. Wiśniowiecki zdecydował się poprzeć tych drugich, gdyż podobnie jak oni zamierzał zawrzeć antyturecki sojusz z Austrią. Władca Austrii, cesarz Leopold, choć z początku zaskoczony (myślał, że królem zostanie popierany przez niego Karol Lotaryński), musiał dostosować się do nowej sytuacji i aby umocnić nowy sojusz, postanowił, że jego siostra, arcyksiężna Eleonora, wyjdzie za króla Michała. Ślub z cesarską siostrą umocniłby także pozycję Korybuta w kraju i za granicą. Tego z kolei obawiali się malkontenci, którzy zrywali sejmy (począwszy od koronacyjnego) i utrudniali przygotowania do ślubu. By ostudzić nastroje, postanowiono więc, że ślub nie odbędzie się w Warszawie, która stała się stolicą sporów, lecz w Częstochowie. Jasna Góra była w końcu symbolem oporu przeciw szwedzkiemu najeźdźcy. W dodatku przeor zakonu paulinów – Augustyn Kordecki – przez cały czas starał się zachować neutralność. Nie mówiąc już o wymiarze propagandowym małżeństwa zawartego przed ikoną Matki Boskiej. W ten sposób na Częstochowę spadł wielki zaszczyt, ale i wielkie wyzwanie.

Przygotowania do ślubu przebiegały w atmosferze gorączkowego pośpiechu.

Dwór wiedeński i król chcieli zdążyć przed marcowym sejmem, który mógł nie wyrazić zgody na ślub. Poza tym wypadało zdążyć przed Wielkim Postem (ostatecznie udzielono specjalnej dyspensy). Czas był jednak tylko jednym z problemów. Pan młody i zarazem główny gospodarz musiał bowiem zmagać się z nieprzychylnymi mu poddanymi. Na przykład nie mógł wymóc zgody na senacie na udostępnienie insygniów królewskich do uroczystości ślubnej. Dodatkowo na nic zdały się próby połączenia ślubu z koronacją nowej królowej. Po pierwsze, malkontenci dążyli do odwołania tego w czasie aż do sejmu, a po drugie naruszałoby to neutralność Częstochowy. Lepiej poszło królowi, jeśli chodzi o zaproszenia. Kancelaria słała je całe dnie, niektóre czysto kurtuazyjne (jak ten do Ludwika XIV). Na weselu mieli być obecni najwięksi dostojnicy Europy.

Michał Korybut przyjechał do klasztoru 14 lutego, gdzie zastała go wiadomość o tym, że, niestety, orszak jego narzeczonej nie zdąży przyjechać do następnego dnia, jak było zaplanowane. Wobec takiego obrotu spraw postanowił osobiście nadzorować ostatnie przygotowania. Między innymi remont budynków, w tym wykończenia nowego refektarza, który zbudowano specjalnie na tę okazję. Szczęście nie sprzyjało jednak panu młodemu. W stajni wybuchł pożar, w którym spłonęło sześć jego koni oraz dwie karety. Korybut nie miał jednak czasu na zamartwianie się, gdyż musiał jeszcze zadbać o aprowizację i zakwaterowanie dla tak licznych gości. Szkoda, że nie zachowały się dokładniejsze świadectwa odnośnie podjętych rozwiązań, wiadomo jednak, że do okolicznych wsi zwożono żywność i przygotowywano kwatery. Podobno rzemieślnicy królewscy, by przyjechać na miejsce, musieli skorzystać z aż trzydziestu sześciu wozów, a jedzenia szykowano dla siedmiu tysięcy osób, i to na osiem dni. Tak więc już sama

(choć z pewnością przesadzona) skala całego przedsięwzięcia robi wrażenie.

Częstochowa nie była wtedy w stanie samodzielnie się przygotować, zwłaszcza że jeszcze nie wyszła całkiem ze zniszczeń po potopie szwedzkim. Nie wiemy także, ile własnych środków musieli przekazać paulini, lecz podejrzewa się, że nie mogły być to znaczne kwoty. W końcu ślub był sprawą ogólnokrajową i odbywał się na koszt państwa.

W czasie, gdy pan młody doglądał ostatnich przygotowań, panna młoda przeżywała bodajże najtrudniejszą podróż życia. Orszak arcyksiężnej musiał zmagać się z rzęsistymi ulewami, a gwałtowne ocieplenie spowodowało wezbranie Dunaju i zawalenie się mostów. Z tego powodu należało przesunąć wyjazd. Gdy wreszcie wyruszono, należało spieszyć się jeszcze bardziej, gdyż – jak już wspomniałem – trzeba było zdążyć przed sejmem. Pośpiech mógł kosztować pannę młodą życie, ponieważ w trakcie przejazdu przez zamarzniętą rzekę łód załamał się pod dwoma kołami karety. Na szczęście dama zdążyła z niej wyskoczyć, ale przemoknięta do suchej nitki musiała czekać do najbliższego noclegu, aby móc się przebrać (by uzmysłwić czytelnikom powagę sytuacji, dodam, że w tamtych czasach takie choroby, jak zapalenie płuc były śmiertelne). Tak więc niewiele brakowało, a z orszaku zrobiłby się karawan, a ze ślubu pogrzeb. W końcu orszak dotarł szczęśliwie do Gliwic, gdzie Eleonora spotkała poselstwo od narzeczonego. Miała również okazję zapoznać się z polską gościnnością (choć miasto to wtedy w Polsce nie leżało), gdyż wyprawiono specjalną ucztę na jej cześć. Nieco inne wrażenie było po stronie polskiej. Choć orszak austriacki liczył blisko trzydzieści karet wiozących dwór, służbę i kapełę, to spodziewano się więcej po cesarskiej siostrze. Niektórzy uważali, że w ogóle wszystko odbywa się nazbyt skromnie, a Jan Chryzostom Pasek napi-

sał, że wręcz „Wydawano ją (Eleonorę) jak niecesarską córkę”. Cóż, nie można dogodzić każdemu. Kolejne przyjęcie odbyło się w Tarnowskich Górach, gdzie korzystając z okazji, Polacy urządzili defiladę wojskową.

W końcu dzięki szczęściu, odporności Eleonory i opiece Matki Boskiej orszak dotarł do celu. Król wraz z własną świtą i co ważniejszymi dostojnikami powitał gości. Oprócz Eleonory byli to: jej matka – cesarzowa Eleonora Mantuańska oraz młodsza siostra Anna Maria Józefa, generał Montecuccoli, hrabia Rajmund oraz Karol Waldstein, późniejszy ambasador w Warszawie, z którym Sobieski ustalał zasady współpracy podczas wojny z Turcją. Faktem, który może zaskoczyć współczesnego czytelnika, jest to, że narzeczeni zobaczyli się wtedy po raz pierwszy. W dodatku nie dane im było zostać sam na sam, gdyż całe spotkanie miało charakter oficjalny i można je porównać raczej do spotkania dyplomatycznego niż prywatnego.

Wreszcie nadszedł dzień ślubu. Uroczystość odbyła się w kaplicy przed obrazem Matki Boskiej. Ślubu udzielał nuncjusz papieski Galeazzo Marestotti przy akompaniamencie królewskiej orkiestry i huku armat. Zadbano także o odpowiedni wystrój. Kaplicę udekorowano arrasami i złotymi wotami, które pięknie się prezentowały w świetle lamp. Posadzkę przykryto czerwonym sukniem. Nawet klęcznik pary młodej nakryty był białym złotogłowiem. Król i arcyksiężna byli ubrani w najlepsze stroje, zgodne z ówczesną modą europejską. Uroczysta msza odbywała się w formie trydenckiej. Nawet przysięga ślubna była składana w języku łacińskim. Wszystko to w połączeniu z obecnością cudownego obrazu musiało robić wrażenie. W czasach późnego baroku przepych i mistycyzm w obrzędach katolickich był bardzo ceniony.

Po przebrnięciu przez uroczystość zaślubin młoda para jeszcze w kaplicy do-

stała pierwszy prezent. Był to panegiryk weselny Ambrożego Nieszporkowicza. Zawarte są w nim nadzieje, jakie naród polski wiązał z tym małżeństwem.

„Podnieście się mężne piersi lechickiego narodu.

Niech dom przyjazny austriacki oklaskuje Polskę

Do świętych związków, do łączności wysokiej krwi

Może wtedy lew turecki stuli swój pysk”.

O godzinie drugiej uroczystość dobiegła końca. Zarządzono dwugodzinną przerwę, by każdy mógł zaczerpnąć tchu po mszy trydenckiej. Następnie o czwartej udano się na bankiet. Nie przypominał on jednak aż tak bardzo dzisiejszego swowskiego wesela. Przede wszystkim para młoda została rozdzielona przez... teściową. Ta jako osoba o najwyższej godności (cesarzowa-wdowa) zajmowała miejsce przy specjalnym stole na podwyższeniu, a Korybut z żoną siedzieli po jej bokach. Przy tym stole posadzono jeszcze siostrę panny młodej oraz nuncjusza Marestottiego. Wprawdzie zmieściłoby się więcej osób, ale nie chciano, by wybuchła kłótnia o te honorowe miejsca. Dlatego reszta gości zajęła miejsca przy innych stołach. Dla nas zaskoczeniem byłby także z pewnością „stół krajczy”, na którym dzielono dania znoszone w półmiskach. Jednak nie robiła tego służba. Ta czynność poczytywana za zaszczyt wykonywana była przez krajczego koronnego Wacława Leszczyńskiego. Nie wolno zapomnieć o kapeli, a w zasadzie kapelach, bo panna młoda przywozła także swoją.

Dzięki temu, że nuncjusz udzielił dyspensy, nie żałowano na nią ani pieniędzy, ani wyobraźni. Marestotti pisze: „zastawiono potrawy w takiej obfitości, iż trudno byłoby powiedzieć, czy sładzy więcej strudzeni byli, niosąc je na stół, czy panowie i goście, patrząc na taki przepych”. Wśród

alkoholi królował miód pitny. Sekretarz Eleonory w swej relacji zwrócił uwagę na króla, który według niego odznaczał się ogromnym łakomstwem. Opinię tę potwierdzają inne źródła, jednak nie należy zapominać, że sam sekretarz kilka dni wcześniej brał udział w ucztach w Gliwicach i Tarnowskich Górach.

Niestety, jak to często bywa, nie każdy potrafił się zachować. Na tamtym weselu byli to przedstawiciele stanu szlacheckiego, którzy (jako że nie byli związani z dworem królewskim) nie posiadali należytej kurtuazji. Albo posiadali, ale rozpuściła się w alkoholu. W każdym razie ludzie ci zniszczyli jedno z dań. Pomyśleć można, że to nic takiego, dopóki nie uzmysłowimy sobie, że były to piramidy i kolosy zrobione z masy migdałowej, niezwykle kunstowne, za które trzeba było zapłacić osiem tysięcy franków. Zostały one od razu połamane i pokruszone przez podpitych gości. Reszta uczestników była bardzo oburzona takim zachowaniem.

Bankiet wreszcie dobiegł końca. Teraz należało przejść do najlepszej części wesela – tańców. Oczywiście zrobiono krótką przerwę. Raz, żeby przygotować salę, trzeba było ją wyścielić sukniem, by kurz się nie wzbijał (nie było to niechlujstwo, lecz kwestia praktyki). Król wykorzystał okazję, by wyrzucić wandali i wkrótce wszystko było gotowe. Muzyka była jak najbardziej dworska i przez to wesele zaczęło przypominać dzisiejszą studniówkę. Zaczęto bowiem polonezem. Pierwszą parę stanowili oczywiście nowożeńcy. Król chyba nie był w najlepszej kondycji, bo po drugim tańcu usiadł przy teściowej. Natomiast Eleonora tańczyła jeszcze długi czas. Bał skończył się o trzeciej nad ranem i młoda para została wśród huku armat odprowadzona do łóżnicy.

Dzień później odsypiano zabawę. Gdyby ktoś był jeszcze głodny, mógł liczyć na obiad w pokoju królowej. Był piątek, więc podawano same dania postne, ale nie

mniej wyszukane. Poza tym uczestniczyli w nim przede wszystkim ludzie ze stołu honorowego. Wielu gości się rozjechało.

Na tych, którzy zostali, czekało jeszcze trochę atrakcji. Na przykład pokaz sztucznych ogni. Młodzi oglądali je ze swojego pokoju. Pokaz również miał swój wymiar ideowy. Płonące race kreśliły na niebie inicjały nowożeńców. Człowiekiem, który odpowiadał za sztuczne ognie, był Marcin Kątski, generał artylerii koronnej. Później wykorzystał swoje umiejętności w bitwie pod Wiedniem. Innym widowiskiem był tak zwany wóz tryumfalny, którym jeżdżono po wałach. Nie wiemy, co dokładnie przedstawiały dekoracje. Na pewno były wśród nich boginie rzymskie, m.in. Wenus. Zapewne więc była to swego rodzaju personifikacja miłości czy małżeństwa. Sobota zaś była dniem pożegnań. Król wykazał się hojnością i obdarował zarówno dwór austriacki, jak i kapelę. Złożono również wota Matce Boskiej. W końcu przybycie z daleka na Jasną Górę to jednak pielgrzymka. I tak wśród wotów znalazły się dwa komplety ołtarzowe, suknia ślubna i diadem Eleonory. Niestety, niewiele z tych rzeczy zachowało się do naszych czasów. Także paulini mieli przygotowane pamiątki dla zwiedzających. Na odchodne goście otrzymali malowane na miedzianej blasze kopie wizerunku Maryi.

To wszystko, jeśli chodzi o Jasną Górę. Reszta wesela miała się odbyć w Warszawie, gdzie do pary młodej zjeżdżały prezenty od ziem i miast (i osób prywatnych). Zanim jednak to się stało, pan młody musiał wracać do stolicy. Oficjalny wjazd do stolicy nowej królowej wymagał kolejnych przygotowań, a sejm rozpoczął się piątego marca. Małżonkowie nie zapomnieli jednak o Częstochowie. Odwiedzali klasztor jeszcze wiele razy, na przykład podczas pierwszej rocznicy ślubu albo (tym razem sama Eleonora) w przeddzień bitwy pod Chocimiem.

Małżeństwo trwało trzy lata i dziewięć miesięcy, aż śmierć zabrała króla Michała. Czy było udane, tego nie wiemy, jednak współpraca polityczna układała się małżonkom pomyślnie. Królowa słynąca z urody i mądrości starała się nie mieszać do polityki, czym zyskała przychyłność polskiego społeczeństwa. Zawsze była przy królu, nawet gdy Sobieski z malkontentami próbował go obalić. Jej mediacja pozwoliła także zakopać topór wojenny między stronnictwami po utracie Kamieńca Podolskiego.

Dla Częstochowy ślub ten był jednym z najważniejszych wydarzeń w jej historii. Pomógł odbudować się ze zniszczeń potopu i zwiększył jej prestiż. Można to traktować jako nagrodę za niezłomną postawę w czasie potopu szwedzkiego.

Bibliografia:

- Hennel-Bernasikowa M., *Ślub Królewski na Jasnej Górze: Michał Korybut Wiśniowiecki i Eleonora Habsburg – 1670*, Częstochowa 2005.
- Jasienica P., *Rzeczpospolita Obojga Narodów. Srebrny wiek*, Warszawa 2007.
- Pasek J. Ch., *Pamiętniki*, Warszawa 2009.
- Przyboś A., *Michał Korybut Wiśniowiecki 1640–1673*, Kraków 2007.
- Rosik S., Wiszewski P., *Ilustrowany Poczet królów i książąt polskich*, Wrocław 2007.

Kacper Korbela – absolwent IX. LO. im. C.K. Norwida w Częstochowie. Rozszerzonymi przedmiotami zdawanymi na maturze były język polski, historia i WOS. Drugi wicemistrz Częstochowy Szkół Ponadgimnazjalnych w Szachach w 2015 r. Uczestnik Olimpiady historycznej w 2017 r. Obecne swoje zainteresowania koncentruje na historii, żeglarskim oraz muzyce gitarowej.

SUBIEKTYWNA KRONIKA WYPADKÓW KULTURALNYCH



Wernisaż wystawy poplenerowej ISD Huty Częstochowa, foto Barbara Strzelbicka

WERNISAŻ WYSTAWY POPLENEROWEJ ISD HUTY CZĘSTOCHOWA (12 maja 2017 r.)

Do udziału w Plenerze Artystycznym FOTO-ART. zaproszono fotografów – i chciałoby się dodać – znanych fotografów – związanych z Częstochową. Zarówno w katalogu, jak i w informacjach na temat pleneru zawartych w innych źródłach, jego uczestnicy wymieniani są alfabetycznie. Warto przyjrzeć się tej liście: Grzegorz Banaszkiewicz, Jan Bujnowski, Dariusz Dąbrowski, Waldemar Deska, Klaudyna Gondek, Łukasz Kolewiński, Małgorzata Kozakowska, Piotr Kras, Joanna Kamila Kwiecień, Aleksandra Lasoń, Janusz Mielczarek, Artur Młynarczyk, Krzysztof Muskalski, Kamil Pawlik, Leszek Pilichowski, Grzegorz Skowronek, Marcin Szpąderski, Michał Tkaczyński, Andrzej Zembik i Aleksander Żakowicz. Łatwo zauważyć, że znaczne grono uczestników stanowili fotografowie zajmujący się różnymi odmianami fotografii, stosujący różne techniki, akademicy, fotoreporterzy, podróżnicy, portreciści, fotografowie mar-

twnej natury i mody. Używają też różnych aparatów fotograficznych: od cyfrowych do otworkowych, różnie traktując materiał, stosując własne techniki. Dzięki takiemu zabiegowi plener zaowocował różnorodnymi pracami, których połączenie tematem huty dało dodatkowy efekt artystyczny. Komisarzem pleneru był tradycyjnie Mariusz Chrzastek, którego stalowe róże były dodatkowym trofeum uczestników pleneru, a także cenną jego pamiątką. Należy także przypomnieć o zasługach Jacka Kasprzyka, wielkiego propagatora idei pleneru, który za swoje zaangażowanie w działania na rzecz kultury został w 2015 r. odznaczony medalem Merentibus.

Wśród autorów fotografii są trzy osoby, związane z „Galerią”, które wymienię w kolejności ustalonej długością stażu oraz siłą współpracy. Janusz Mielczarek w „Galerii” znany jest przede wszystkim jako pisarz, jako fotograf pojawia się na naszych łamach rzadko, ale to dlatego, że jesteśmy magazynem literackim. Warto jednak przypomnieć, że w niektórych kręgach Janusz funkcjonuje wyłącznie jako fotograf,



Roman Sitkowski, foto Barbara Strzelbicka

nierozdzielnie związany z Częstochową, mistrz wielu fotografów, w tym także biorących udział w plenerze. Do grona Jego uczniów można zaliczyć Małgorzatę Kozakowską, której kibicujemy od kilku lat i z radością obserwujemy Jej artystyczny rozwój. Najmłodsza, ale bardzo dynamiczna, jest nasza współpraca z Andrzejem Zembikiem, a w bieżącym numerze grono naszych współpracowników poszerza się o Marcina Szpąderskiego.

W czasie uroczystości Marcinowi Szpąderskiemu została wręczona honorowa odznaka „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, przyznana przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na wniosek Jana Szymy, prezesa Stowarzyszenia Przyjaciół „Gaude Mater”. Roman Sitkowski zaś, nazywany „Sercem Rakowa”, został obdarowany portretem o takim właśnie tytule. Portret został wykonany przez Martę Frej podczas pleneru w 2016 r.

Plener ISD Huty Częstochowa stanowi bez wątpienia jedno z ważnych wyda-

rzeń artystycznych w naszym mieście. Jest pięknym ogniwem łączącym środowisko przemysłowe i świat sztuki. W tym integracyjnym duecie Huta występuje w roli mecenasa sztuki, nawiązując do starej tradycji mecenatu i – co należy przyznać – robi to w bardzo dobrym stylu. Katalog jest opatrzony słowem wstępnym Prezesa zarządu ISD Huty Częstochowa, wernisaż wystawy odbywa się w sali reprezentacyjnej Ratusza Miejskiego, obecni są na nim przedstawiciele władz Huty. W tej sytuacji nie trzeba słów na temat szacunku dla ludzi sztuki i dla sztuki samej – czyny mówią same za siebie. Takie działania spełniają także w naturalny sposób walor edukacyjny, zacierając podział na robotników i na artystów. Dobra to promocja dla Huty i dla Częstochowy.

POLONIŚCI CZĘSTOCHOWY – CIĄG DALSZY CYKLU SPOTKAŃ

(12 kwietnia, 17 maja, 14 czerwca 2017 r.)

Cykl spotkań poświęconych najwybitniejszemu polonistom Częstochowy został zainicjowany przez częstochowski oddział Towarzystwa im. Adama Mickiewicza i rozpoczęty w bieżącym roku. Drugi jego kwartał zaowocował trzema spotkaniami, poświęconymi kolejnym nauczycielom, których wspominali członkowie rodzin, koledzy z pracy oraz uczniowie i studenci. Spotkania zostały uświetnione popisami artystycznymi uczniów Liceum Ogólnokształcącego im. Romualda Traugutta, z którym wszyscy bohaterowie spotkań byli związani.

Jadwiga Wrzaszczyk (1945-2015) i Leokadia Kołodziejczyk (1938-2015) zostały połączone nieprzypadkowo – były przyjaciółkami, razem pracowały i razem zginęły w wypadku. Nauczycielki wspomniano jako mocno zaangażowane w pracę z uczniami, byli uczniowie często podkreślali, że zawdzięczają Im umiłowanie literatury polskiej i teatru, do którego z pasją organizowała wycieczki Leokadia Kołodziejczyk.

Gustaw Gracki (1927–2013), nauczyciel kilku szkół częstochowskich, w tym także Studium Nauczycielskiego oraz wizytator Kuratorium Oświaty zapisał się w pamięci uczniów i współpracowników jako człowiek wielkiej dobroci i skromności. Podkreślał swoją niewiarę w tzw. powołanie nauczycielskie, twierdził za to, że można ten zawód pokochać. Można i trzeba, bo nie może być nauczycielem ten, kto nie kocha swoich wychowanków. Wiele ciepłych słów padło z ust współprowadzącej spotkanie dr Edyty Sadowskiej, która przypominała o tym, że Gustaw Gracki na początku swojej drogi zawodowej planował być... edytorem, nie nauczycielem. Bohatera spotkania wspominali także współpracujący z Nim nauczyciele oraz uczniowie. Ważnym wątkiem wspomnień była wojenna przeszłość Gustawa Grackiego – jako 17-latek brał udział w Powstaniu Warszawskim (ps. Junek), czemu też poświęcił swoją książkę.

Edmund Łągiewka (1934–2005) miał bardzo bogaty życiorys zawodowy. Pracował jako nauczyciel w szkole wiejskiej, jako asystent w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach, jako nauczyciel w szkołach średnich w Częstochowie i jako asystent w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie (obecnie AJD). Tytuł doktora uzyskał na Uniwersytecie Łódzkim. Zwieńczeniem Jego pedagogicznej pasji było powstanie Liceum Społecznego im. Zbigniewa Herberta, w którego tworzenie był mocno zaangażowany i w którym pracował jako dyrektor i jako nauczyciel polonista. Działal aktywnie w Częstochowskim Oddziale Towarzystwa Mickiewiczowskiego, do którego wprowadził Go Józef Mikołajtis.

Szczególnie zaangażowanymi w przygotowanie spotkań osobami były dr Elżbieta Wróbel – przewodnicząca Częstochowskiego Oddziału Towarzystwa Mickiewiczowskiego i Ewelina Dziewońska-Chudy, która pisze pracę doktorską o częstochowskich Polonistach. Do prowadzenia poszczegół-

nych spotkań włączyły się: prof. Agnieszka Czajkowska, dziekan Wydziału Filologiczno-Historycznego AJD, literaturoznawczyni dr Beata Łukarska i dr Edyta Sadowska, pedagog i edytor, związana z Wyższą Szkołą Lingwistyczną.

PREMIERA CZĘSTOCHOWSKIEGO MAGAZYNU LITERACKIEGO „GALERIA” NR 41 (6 lipca 2017 r.)

Spotkanie promujące nieprofilowany numer „Galerii” w założeniu miało służyć prezentacji czasopisma oraz jego współtwórców, w tym zwłaszcza autorów tekstów, prac plastycznych i fotografii. Chcieliśmy także zachęcić ludzi twórczych, a dotąd z nami niezwiązanych, do nawiązania współpracy i zaprezentowania swojego dorobku lub debiutu na naszych łamach. Sala widowiskowa OPK „Gaude Mater” była wypełniona po brzegi, choć złośliwi twierdzą, że w większości Autorami, co nie jest prawdą, bo nie wszyscy – z powodu sezonu urlopowego – przybyli. A że przybyli w towarzystwie członków rodzin – to bardzo dobrze, w końcu mieli okazję pokazać się od innej, niż domowa, strony! Poza tym mieliśmy pewność, że salę wypełniają ludzie nam życzliwi, mało – nasi Przyjaciele. Niektórzy uważają, że prezentacja trwała za długo, ale ten zarzut również można dość łatwo obalić – spotkanie odbywało się przy drzwiach otwartych, zwłaszcza że było gorąco, i w każdej chwili można było salę opuścić. Jednak niewiele osób to zrobiło, zatem – nie było tak źle!.. Nasi Autorzy starali się jak najlepiej zaprezentować swoje teksty i siebie samych, w czym pomocne były krótkie biogramy, zawierające główne osiągnięcia literackie i artystyczne. Kolejna opinia dotyczyła wysokiej średniej wieku Autorów. No cóż... Zapraszamy ludzi młodych! Piszcie i przysyłajcie do nas teksty, chętnie będziemy je publikować! Na papierze, a nie w Internecie, gdzie znikają w powodzi innych tekstów i dezaktualizują się natychmiast po ich udostępnieniu. I jeszcze

jedna, tym razem pochlebna, opinia: nasze spotkanie nawiązywało do tradycji kabaretów literackich. To z kolei w dużej mierze zasługa duetu muzycznego, który wykonał piosenki do słów poetów związanych z „Galerią”: Barbara Wierzbicka je pięknie zinterpretowała, a Jacek Stawiarski, kompozytor muzyki, zagrał na fortepianie. Pomiędzy występami duetu muzycznego występowali nasi Autorzy, pięknie interpretujący własną i – niekiedy – cudzą

twórczość. Pozostając w konwencji należy dodać, że konferansjerami byli Barbara Strzelbicka i Bogdan Knop – skądinąd także autorzy tekstów oraz członkowie Zespołu Redakcyjnego „Galerii”. Z naszego spotkania Jacek Śliwczyński nakręcił zgrabny filmik, który będzie można obejrzeć na stronie OPK „Gaude Mater”, a Marian Panek zrobił zdjęcia, z których kilka prezentujemy poniżej.



Widownia na promocji Galerii 41



Barbara Anna Wierzbicka i Jacek Stawiarski



Bogdan Knop i Barbara Strzelbicka



Janusz Mielczarek



Małgorzata Franc



Wiesława Owczarek

ŚWIATŁOCZUŁE KADRY KRZYSZTOFA PIERZGAŁSKIEGO

(7 lipca 2017 r.)

Krzysztof Pierzgalski rzadko pokazuje swoje fotografie w Częstochowie, tym bardziej więc wystawę, na którą składają się dwa cykle: „Ślady” i „Wieś jurajska”, należy zaliczyć do ważnych wydarzeń kulturalnych. Wernisaż ekspozycji miał miejsce 7 lipca 2017 r. w galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” i zgromadził liczne grono gości.

To, czym na pierwszy rzut oka wyróżnia się wystawa, to obfitość fotografii przy zachowaniu tematycznej spójności. Fotografo-
wie rzadko eksponują tyle zdjęć na raz, każąc kontemplować nieraz zaledwie kilka lub kilkanaście, tym bardziej więc cieszy ta wielość obrazów – można się bowiem napatrzeć do syta. Cykle reportażowe mają ze sobą wiele wspólnego, stąd ich połączenie jest uzasadnione – obydwa przedstawiają polską wieś. Zdjęcia powstały w latach 2004–2014 i pokazują świat odchodzący w przeszłość – zarówno ten z okolic Częstochowy, jak i wsie położone w Beskidzie Niskim, zamieszkanie niegdyś przez Łemków. Połączenie zdjęć z odrębnych regionów na jednej wystawie



*Tadeusz Piersiak i Krzysztof Pierzgałski,
foto ze zbiorów OPK „Gaude Mater”*

pozwala zauważyć, że znacznie więcej ludzi łączy, niż dzieli, co jest tyle cennym, co oczywistym spostrzeżeniem. Można także mieć wrażenie, że ogląda się fotografie z całkiem innego regionu, co także potwierdza wniosek dotyczący wspólnoty ludzkiego doświadczenia.

Fotografie zawierają duży ładunek dramatyzmu, zwłaszcza te poświęcone ludności łemkowskiej, opowiadają bowiem historie powikłanych i niejednokrotnie tragicznych losów. Smutne są także losy rzeczywistości materialnej, bezpowrotnie odchodzącej w przeszłość. Niektóre fotografie zostały uzupełnione o opis, bowiem sam obraz nie w pełni przekazuje historie ludzi pozujących do zdjęć.

Jest w fotografiach Krzysztofa Pierzgałskiego prawda, której nie przeczy to, że wielu bohaterów pozowało do zdjęć. Dawniej dla wielu ludzi, zwłaszcza prostych, fotografowanie było wydarzeniem szczególnym, do którego należało się przygotować – wszak zdjęcie było pamiątką i na długo utrzymywało obraz człowieka, nieraz na dłużej niż trwało ludzkie życie. Nie było to pozowanie w dzisiejszym rozumieniu, przyjmowanie sztucznych póz i często mizdrzenie się do obiektywu, lecz poważne ustawianie się do zdjęcia. Taka postawa wyrażała szacunek do aktu fotografowania, do fotografa, ale też manifestowała szacunek dla egzystencji – cokolwiek się robiło, trzeba to było robić poważnie, na serio. Fotograf nie robił dziesiątek czy setek ujęć,

z których potem wybierał najlepsze – robił jedno zdjęcie. Jak najbardziej uzasadniony jest więc wybór tradycyjnej metody fotografowania „starym kliszakiem 6x9”, jak pisze Autor zdjęć w folderze i pokazanie zdjęć czarno-białych, co nie tylko stanowi nawiązanie do przeszłości, ale zwraca uwagę odbiorców na głębię obrazu.

Nie ma w tych zdjęciach sentymentalizmu – jest dystans, ale spojrzenie nie jest chłodne. Oko fotografującego jest nad wyraz czułe i wrażliwe – nie tylko na światło i na obraz, ale także na emocje, czytelne również dla odbiorców. Krzysztof Pierzgałski podjął próbę ocalenia ułamków świata, który odchodzi, ale nie są to fotografie dokumentalne *sensu stricto*. Ich przekaz odnosi się do sfery uczuciowej odbiorcy, porusza wyobraźnię. Wielu widzów zapewne potrafiłoby opowiedzieć własne historie, związane z przedstawionymi kadrami. Mają więc te fotografie wielką moc inspirującą.

Wernisażowi towarzyszyły wiersze Małgorzaty Januszewskiej, czytane przez Autorkę na tle fotografii ludzi, których teksty dotyczyły – bo Małgorzata Januszewska towarzyszyła Krzysztofowi Pierzgałskiemu w wyprawie do Beskidu Niskiego i poznała historie jego mieszkańców. Poetyckie teksty były cennym uzupełnieniem treści przekazywanych przez fotografie. Spotkanie zostało dodatkowo ozdobione nastrojową i nostalgiczną muzyką w wykonaniu zespołu towarzyszącego Aleksandrze Kowalskiej. Wydaje się, że wernisaż z założenia miał być interdyscyplinarny, co ostatnio staje się modne: mnożenie wrażeń i doznań poprzez połączenie sztuk, rozmywanie granic między tradycyjnymi dyscyplinami i wydarzeniami artystycznymi (wernisaż – koncert – wieczór autorski). W tym przypadku wszystkie reflektory – dosłownie i metaforycznie – były i tak skierowane na fotografie, bo to one były na wystawie najważniejsze. Fotografia bez światła obejść się nie może – sztuka fotografowania bowiem to sztuka „pisania światłem”.

Barbara Strzelbicka



Renata Radlak-Dominik, *Gwiazdy na piasku. Joginki opowieść o Indiach*, Wydawnictwo PURANA, Wrocław 2016.

Książka przedstawia historię, która zdarzyła się przed paroma laty. To pełna napięcia relacja z podróży do Indii, obfitującej w wiele trudów i przeszkód, ale przede wszystkim dającej możliwość poznania życia codziennego w egzotycznym zakątku świata, oferującej niezwykle spotkania z odległą kulturą i sztuką, ze wspaniałą przyrodą i pejzażem. To także zapis przeżyć duchowych, jakie stały się udziałem „Joginki”. Książka zaopatrzona została w przydatny *Słownik użytych terminów*, ozdobiona zdjęciami i ilustracjami Autorki, świadczącymi o Jej fascynacji krajem, ludźmi i kulturą. (E.H.)



Wojciech Orliński, *Lem. Życie nie z tej ziemi*, Wydawnictwo „Czarne”, Wołowiec, Wydawnictwo „Agora”, Warszawa 2017.

Z noty wydawniczej: „(...) to pierwsza w Polsce biografia autora *Cyberiady*. Korzystając z niepublikowanych dotąd źródeł, Orliński wyjaśnia duże i małe, poważne i zabawne tajemnice z życia pisarza. Jak Lem przeżył Holocaust? Czy kiedykolwiek uwierzył w komunizm? Dlaczego w 1945 r. porzucił intratną karierę spawacza? Jak się nauczył czytać po angielsku? Co sobie kupił za honorarium z *Obłoku Magellana*? (...)” (B.S.)



Rafał Socha, *Abubaka*, Oficynka, Gdańsk 2017.

Pierwsza powieść częstochowianina, znanego jako autor fabularyzowanych wspomnień *Jak zostałem bażantem* i tomu opowiadań *Kredyt na żula*. Powieść określana jest jako thriller, jego akcja dzieje się głównie w bliskich Częstochowie realiach, a rozpoczyna w Zakopanem napadem na mima. Przypadkowy turysta, który przychodzi z pomocą napadniętemu, doznaje urazów, a jego życie poważnie się gmatwa... (B.S.)

Konrad Ludwicki, *Bóg – Zło – Modlitwa. Wokół „Uwag 1940–1942” Karola Ludwika Konińskiego*, Universitas, Kraków 2016.

Kolejna książka naukowa prozaika, eseisty i literaturoznawcy. Jej bohater zajmował ważną pozycję w życiu intelektualnym dwudziestolecia międzywojennego, obecnie jednak został zapomniany i zasługuje na przywrócenie mu należnej rangi – czego próbuje dokonać Konrad Ludwicki. Książka, co nie jest oczywiste w przypadku dzieł naukowych, napisana jest przystępnym językiem, a myśl wyłożona niezwykle klarownie. Rozważania osadzone są w bogatym kontekście filozoficznym i literackim. (B.S.)



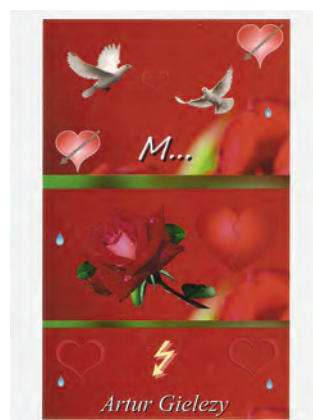
Ryszard Stefaniak, *Pułkownik Michał Kamiński, Kawaler Orderu Wojennego Virtuti Militari*, Częstochowa 2017.

Książka poświęcona postaci wybitnego częstochowianina, żyjącego w latach 1921–2014, bogato udokumentowana materiałami z archiwum domowego jej Bohatera. Można postawić tezę, iż ideą książki jest przedstawienie czytelnikom wzoru osobowego oraz złożenie hołdu jej bohaterowi. Ze wstępu Autora: „(...) książka to podziękowanie za szlachetne serce, zawsze wierną pamięć i przyjaźń, jaką płk Michał Kamiński mnie obdarzył”. (B.S.)



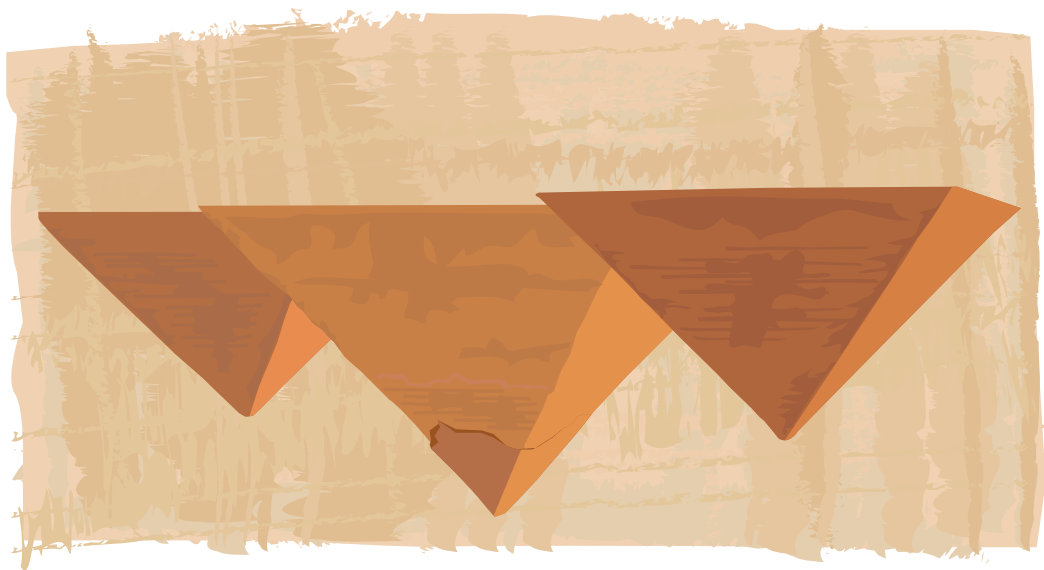
Artur Gielezy, *M...*, Częstochowa 2017.

Debiutancki tomik wierszy Autora, związanego z Klubem Literackim „Złota Jesień”. Zawiera 20 wierszy o miłości, o czym świadczy jego lakoniczny, a jednocześnie wymowny, tytuł. Jak podkreślają autorki wstępów: Elżbieta Hak i dr Marzena Forma, bohaterem lirycznym wierszy jest mężczyzna nieszczęśliwie zakochany. Wiersze są proste w formie, ukazują różne aspekty uczucia, a ich przekaz jest prawdziwy. (B.S.)



ZEP

SPRZEDAWCA SZCZĘŚCIA



Esemesuję nadzwyczaj rzadko, jedynie pod przymusem, pozostawiając ten instrument młodszemu, gdy tymczasem mój kolega sprzed lat Błażej S. pozostaje wystarczająco młodym, by regularnie wprasowywać mnie w ziemię zmasowanym nalotem dywanowym, przeprowadzanym podczas największych kościelnych świąt, czym czyni mnie dodatkowo bezbronnym. Pierwszy, zaskakujący nalot przeprowadził parę lat temu około czwartej nad ranem, w samym środku obchodów Bożego Narodzenia stawiając mnie w nocy na nogi, bo jakże się nie poderwać, gdy dzieci na wyjeździe, a w telewizji od Wigilii straszili wypadkami. Napinający chwilowy niepokój szybko przeistoczył się w rozbarwienie. Z należytą koleżeńską cierpliwością rozpakowywałem okazjonalne formułki, życzenia zdrowia i szczęścia poopłatane nabożnymi deklaracjami wiary, ściśnięte z największym trudem w czterech standardowych wiązkach po 456 znaków

każda. Błażej rozłożył mnie na łopatki. O podobnie kwiecistych wzlotach nie mogłem nawet marzyć. Nie wziąłem mu jednak tego za złe. Choć wiedziałem, skąd czerpał oręż i jakim sposobem posiadał powalający językowy artyzm, podziwiałem podjęty wysiłek, bo ileż potrzebował czasu, by wdziobać owe girlandy w komórkę. Do tego pisał w nocy, najpewniej z jakiejś imprezy. Uskrzydłony wdzięcznością ruszyłem z odpowiedzią. Oddziobywałem niemal do rana, doświadczając męczarni kolejnych porażek. Rozdygotany nieporadnością niedzisiejszych palców aparat trzykrotnie skasował mi niemal gotowe życzenia. Mimo wszystko o szóstej odtrąbiłem sukces. Nazajutrz, przez telefon, pyszniłem się nim przed córką. Dziewczyna wytknęła mi naiwność:

– A kim jest ten twój kolega?

– Sprzedaje ludziom szczęście – stanąłem w obronie chłopaka, jednak natychmiast pojąłem, że strzelam ze ślepaków.

Błażej S. buduje piramidy odwrócone czubkiem do dołu, więc raczej pod nimi wisi. Budowle, zwane strukturą, podlegają regułom ula. Pszczołki depcząc po sobie gromadzą słodki nektar, ten zaś siłą ciężenia spływa obficie w dół. Robotnice wpatrzone w matkę również pragną być nisko, więc tworzą własne struktury. Gdy plaster się rozrasta, zaczyna brakować kwiatów. Szukają ich coraz dalej, z coraz marniejszym skutkiem. Wtedy królowa odfruwa, opuszcza ogłupiały rój i podejmuje kolejne dzieło.

Błażej S. zaczynał od ubezpieczeń, w szczególności na szczęśliwe dożycie, pod egidą ogólnoswiatowej Global Group. Nim zaplątałem się w jego sieci, upłynęło półtora roku, czyli o tyleż za późno, by ugrać coś dla siebie. Łowiłem kolejnych jeleni, a każdego mamilem perspektywą zbudowania własnej struktury, której potem wystarczy pilnować, by pieniążki napływały same. Zanim pojąłem, że to lipa, wmotałem kilkunaśtu naiwnych. Nie byłoby nieszczęścia, bo o pożyteczności odkładania na starość trąbiono coraz głośniej. Jednak niektórzy po paru latach tracili uzyskiwane dochody i zrywali umowy z towarzystwem ubezpieczeniowym, ponosząc wielkie straty. Co do potrzeby ubezpieczeń, nie miałem wątpliwości, lecz system argentyński okazał się ewidentnym oszustwem. Postanowiłem ubezpieczać bez żadnych pośredniczących „Group” puszających się na potężne, niosące bogactwo korporacje. Postarałem się uzyskać licencję samodzielnego agenta ubezpieczeniowego. Straciłem czas i pieniądze i na tym zakończyłem.

– Nie zdołacie osiągnąć sukcesu, dopóki jego idea nie opanuje waszych umysłów – pouczał przyszłych łowców głów opromieniony sukcesami mistrz coachingu. – Nie ma takiego towarzystwa zabawowego, z którego nie można wyłowić potencjalnych klientów dla towarzystwa

ubezpieczeniowego. W kawiarni, na weselu, w pracy czy na wycieczce, kiedy inni świetnie się bawią, trzeba z uwagą testować twarze. Rozpoznawać ludzkie potrzeby i finansowe możliwości. Przydać może się wszystko. Nazwiska, telefony, jak najwięcej kontaktów. Kieszonkowe notesy powinny stale pęcznieć. A po powrocie do domu bezzwłocznie uzupełniajcie listę potencjalnych kandydatów do ubezpieczenia. U góry najbardziej obiecujące kaski, wokół których zarzucamy sieci, w środku zestawienia osoby dopiero zachęcane, dalej rokujące nadzieję a najniżej reagujące z niechęcią, nie stwarzające żadnych szans. Nie pomyliłem się: żadnych! Więc po cóż ci ostatni? Każdy kontakt stanowi dodatnią wartość, bo wszyscy mają znajomych. „Na bezrybiu i rak jest rybą”. Nigdy nie można być pewnym, gdzie przyplącze się płotka, a czasem nawet szczupak. Przed snem, gdy inni się modlą i proszą Boga o łaski, wy robicie rachunek: co dzisiaj zawaliłem? Gdzie popełniłem błąd? Dlaczego nie zdołałem przekonać? Ustalamy nową taktykę i ponownie zarzucamy sieci.

Po zaliczeniu egzaminów ruszyłem prosto na trasę wiodącą do rodzinnego miasta.

– Gdzie się tak dzisiaj śpieszysz? – spytała koleżanka, z którą jeździłem do Katowic. Może wstąpimy na kawę. Uczymy nasz pierwszy sukces.

Nie chciałem jej zapeszać i przyznać się, że zwiewam. W samochodzie spojrzałem w lusterko. Nie wyglądałem całkiem normalnie. Kiedy przysłali mi certyfikat, schowałem go tak głęboko, że do dzisiaj nie wiem, gdzie leży. O zarabianiu na ubezpieczeniach zapomniałem następnego dnia.

Niby więc wszystko wiedziałem, a jednak dałem się nabrać. Błażej nie pisał w nocy i było niemal pewne, że nawet o mnie nie wspomniał. Życzenia wysyłał hurtem z opasłej telefonicznej skrzynki,

co czynił przy każdej nadarzającej się okazji z wyczuciem niekwestionowanego mistrza coachingu. Potrzeba wielu godzin, nim zadławiana przez „Błazejów” sieć przetrawi tony kaszany. Sam S. gromadził na swojej liście tysiące nazwisk. Zbudował kilka piramid i chociaż je porzucił, pamiętają je opuszczone dusze. W branży jest faraonem na miarę słynnego Cheopsa. Jak najszerze kontakty stwarzające pozory bliskości. Czytając życzenia Błazeja czułem, że pisze kumpel. Byłem gotowy jeść mu z ręki. Odpisując na ostatni liścik zasugerowałem spotkanie przy piwie, by powspominać dawne czasy. Jednak czasu miał Błazej najmniej. Nie znalazł go nawet tyle, by wybrać pojedynczy numer i odpowiedzieć zbywającym: Ok., musimy koniecznie się zdzwonić – znaczące z reguły to samo, co – do następnych życzeń. Chyba że zainteresuje mnie specyfik warzony przez andyjskich Indian, gdyż na bazie owego cudu Błazej budował kolejną piramidę.

– Jest doskonały na wszystko. Blokuje wszelkie choroby, mężczyznom zapewnia jurność, a kobietom niewiedzącą urodę. Są dowody, że ją nawet poprawia, lecz by uzyskać ów bonus, trzeba wypić kilka butelek – po cztery łyżeczki dziennie. Ci co poznali magię Andyagyi, nie mogą się bez niej obejść, a przy okazji robią biznesy tworząc własne struktury. Wyrób jest ściśle strzeżony, w aptekach nieosiągalny. Lecz czego się nie robi dla swoich! Wystarczy jeden sygnał i urządzimy prezentację. Możliwy dowolny termin.

Kiedy widzieliśmy się ostatnio, promowałem poprzednią książkę, więc na pytanie – co u ciebie, nie omieszkalem się pochwalić. Był szczerze zaskoczony.

– Naprawdę? O czym piszesz?

– Najlepiej sprawdzić samemu.

Zapewniał, że lubi czytać. Polecił mi „świetny” tytuł: *Myslenie pytaniami*.

– Prawdziwa księgarska perełka. Napisał ją jakiś Adams. Dostałem tę książkę

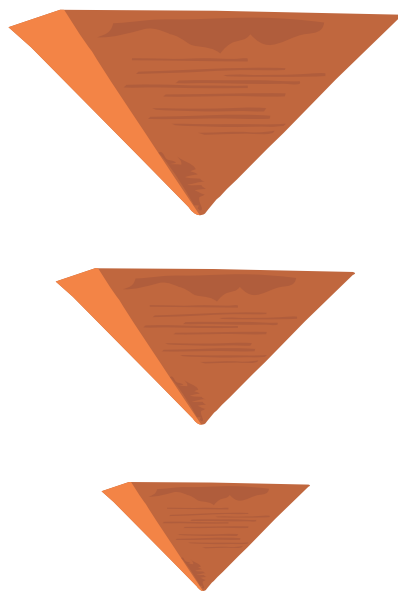
w Warszawie od dyrektora handlowego na Europę Wschodnią. Mówię ci, rewelacja! Uczy osiągać cele w sytuacjach najbardziej trudnych. Tylko od ciebie zależy, czy potrafisz wyciągać wnioski, czy wybierasz drogę uczącego się, zamiast z uporem trzymać się zgubnej marszruty wyrokującego. Zawsze dostępne są pasy zmiany. Wskazują je wykresy. Porozwieszałem je w całym mieszkaniu: na drzwiczkach szafek, w łazience...

– Czekają na mnie – przerwałem.

– Porozmawiamy innym razem.

– Odezwij się koniecznie. Zaproszę cię na prezentację Andyagyi, zobaczysz szczęśliwych ludzi – nie ustępował jeszcze na schodach. Wyprowadził mnie aż przed biuro.

Minęły cztery lata, a Błazej ciągle pamięta. Kiedy nadejdą święta, otrzymam kolejne życzenia.



Jan Ciesielski

MARZENIE

Wiesz, kochana, mam wielką ochotę
 By pojechać hen, poza miasto,
 Wybrać w świat się gdzieś poza opłotek,
 Zabrać ze sobą sucharek i ciastko.

Odjedziemy z przystanku w nadziei
 W nowy świat, co w zasięgu jest ręki,
 Wyciągniemy, co mamy, z portfeli
 – cały zysk za sprzedane butelki.

Lecz na bilet nam żaden nie starczy,
 Więc pójdziemy pieszo przez Aleje,
 Popatrzymy, jak tam życie warczy,
 Zobaczymy, jak miasto się śmieje.

Chodź, siądziemy, tam wolna jest ławka,
 Odłożymy na bok swoje kule
 I spoczniemy jak gawron i kawka,
 Pomilczymy razem sobie czule.

Spójrz do góry, jak rdzewieją drzewa,
 Chociaż w glebie nie braknie oliwy,
 A ten ptak, co przysiadł, tylko ziewa,
 Patrz, dym wytruł już nawet pokrzywy.

Co się stało, gdzie dawny jest nasz świat?
 Skąd czarnego tu tyle powietrza?
 Przecież wiosną miało ubyc nam lat...
 Widać rozum nam też trochę zwietrzał.

A ty także, kochana ma Muzo
 (dwie sikorki, popatrz, padły w locie),
 Z swą urodą – jakby nieco w gruzach
 (tak, z ptakami czasami sto pociech)...

Chcesz przez jezdnię przejść – ale po co?
 Tam tak samo ciasno na chodnikach!
 Nic nie mogę ci kupić, bo za co?
 Z takich kwot – nie wykarmisz chomika...

Jakiś chłopak z dziewczyną z liceum
 Przechadzają się, oddychając smogiem,
 Pewnie pójdą odwiedzić muzeum?
 Ba – muzeum też dla nas za drogie...

Powrócimy do naszych ścian czterech,
 Może ośmiu – nie liczysz kuchenki?
 Tak się mówi. Wracajmy, włóż beret.
 Tak się widzi – z perspektywy renty.



Marcin Szpądrowski, foto ze zbiorów prywatnych

Marcin Szpądrowski – częstochowianin, absolwent Politechniki Częstochowskiej, Szkoły Głównej Handlowej i Francuskiego Instytutu Zarządzania. Przedsiębiorca, dyrektor Biura Reklamy Wydawnictwa „Technopol”. Wielki miłośnik i propagator fotografii. Prezes Fundacji „Festiwal Sztuki Fotoreportażu” (www.festiwalsztukifotoreportazu.org), prowadzący portal częstochowskich fotografów www.fotomedaliki.pl. Organizator konkursów „Fotomaratón”, „Fotosprint”, „Częstochowianki” oraz „Fotograficznych wtorków w Odwachu”. Członek Fotoklubu RP, organizator „Grand Press Photo” w Częstochowie, współorganizator i juror części edycji „Klimatów Częstochowy”. Juror w wielu konkursach fotograficznych. Instruktor fotografii cyfrowej w Klubie Mieszkańców CSM „Nasza Praca”. Fotoreporter z szeregiem publikacji w prasie (m.in. „Press”, „Viva”, „Twoja Muza”, „Gazeta Częstochowska”, „Częstochowskie24”), w albumach oraz na wystawach indywidualnych i zbiorowych. Od 16 lat dokumentuje m. in. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. Laureat licznych nagród, w tym między innymi: I i III nagrody w konkursie „Moja Częstochowa” (2009), wyróżnienia Prezydenta Częstochowy za promocję Miasta (2009), głównej nagrody (którą było ostatnie pióro należące do Prezydenta Lecha Kaczyńskiego) w konkursie literackim „Katyń – Pamiętamy. Małopolska” za pracę poświęconą pamięci dziadka Kazimierza, bohaterskiego oficera wywiadu, straconego w Moskwie w 1940 r. (2010), główna nagroda w konkursie „Dzieci ulicy” (2010), nagroda Prezydenta Miasta w konkursie „Ona i On” (2010), I nagroda (2015) i wyróżnienie w konkursie „Klimaty Częstochowy” (2014). Otrzymał następujące odznaczenia: Odznaka Honorowa za Zasługi dla Województwa Śląskiego, Honorowa Odznaka „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2017).

Copyright © **TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA**

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny), Ida Jadwiga Łubińska, Magdalena Syguda.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Janusz Mielczarek, Aleksandra Keller, Jacek Gierasieński, Marian Panek, Agnieszka Złota, Andrzej Kalinin, Tomasz „Aztenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

J.M.K., Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:



Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl

Printed in Poland.

Wydawca:



Towarzystwo Galeria Literacka

ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przysyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168
Nr rachunku: BOŚ Bank S.A. 40 1540 1014 2101 8518 7364 0001

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Biennale miniatury 2014, foto ze zbiorów OPK „Gaude Mater”.

FOTOgaleria



Piotr Sułkowski na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” 2017,
foto Marcin Szpąderski